



STAWIAM BAŃKI!...

TEGOŻ AUTORA:

CUDA TEATRU
(dla młodzieży)

DZWONEK NIEDZIELNY
GEOGRAFJA SERDECZNA
(wyczerpane)

KSIĄŻKA ZAŻALEŃ
KUCHARZ DOSKONAŁY
NIEMCY À LA MINUTE
PRZYŁĄDEK DOBREJ NADZIEI
(wyd. IV)

PUHAR KRAKOWA
(wyd. III)

RUBIKON
(wyd. II)

SERCE I BAT
(dla młodzieży)

START EDMUNDA SULIMY
(wyd. II)

W POGONI ZA FORMĄ

WYMARSZ
(wyczerpane)

ZŁOTÓWKA MANOELA
(dla młodzieży)

ZYGMUNT NOWAKOWSKI

STAWIAM BAŃKI!...

1/2945

CZYTELNIĄ
I. ROLIŃSKIEJ
Marszałkowska 31a tel. 9-73-95



NAKŁAD
GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA

Biblioteka Pedagogiczna w Radomiu
nr inw.: K - 58478



BGZs 58478

OKŁADKA I ILUSTRACJE
KOMPOZYCJI CHARLIE'GO



58478
884 192

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE

1936

K-9/84/184

F A M I L J A...

Zaczynamy rzeczy nazywać po imieniu, coraz chętniej sięgając do starodawnych, uświęconych wiekową tradycją a pięknych nazw. Ostatnio dowiedzieliśmy się o zamierzonym wskrzeszeniu tytułu kasztelana. Bardzo sympatyczny koncept. Wyraz „kasztelan“ oznaczał popularną w zamierzonych czasach grę w karty. W niewinnym tym hazardzie naszych przodków ostatnia karta rozdana była atutem, inaczej kozerą.

Nie sądzę, aby pomysł wznowienia kasztelanji był bez kozery. Ciekawych odsyłam do „Encyklopedji Staropolskiej“ Glogera, gdzie szerzej wyłożone są zasady tego sarmackiego bridge'a czy też mizerki. Między innemi pisze Gloger „Kto z kartami w ręku pozostał ostatni, był kasztelanem“. (Tom III, str. 25).

Oprócz tego „kasztelan“ był tytułem wysokiego urzędnika, przyczem kasztelan, inaczej „pan“ krakowski, kroczył, względnie siedział przed wszystkimi senatorami świeckimi. Słusznie, bardzo słusznie! Należy się nam to! Jako Krakowiak cieszę się szczerze z tego moralnego profitu, który przypad-

nie memu miastu wzamian za tyle klęsk i prywacyj z ostatnich lat. Kto wie, czy to nie jest jakieś odszkodowanie za huragan z sierpnia 1935 roku? W każdym razie i my, dziady krakowskie, wreszcie będziemy mieli jednego „pana“. To też coś znaczy. Nie dziwię się więc ani trochę, że magistrat, pragnąc uświetnić tę datę, polecił podobno dyrekcji teatru rozpocząć sezon komedią Kraszewskiego p. t. „Miód kasztelański“. To sztuka niepozbawiona rodzimego humoru. Oby tylko administracja, swoim zwyczajem, nie dołała wody!...

Wymaga się — i trzeba temu gorąco przykłaśnić — od wójtów, aby urzędowo występowali nie inaczej jak w strojach regionalnych, więc w sukmanach, kierezjach, guńkach, kozuchach, pasias-tych portkach i t. d., sądzę więc, że (jak to dzieje się np. na Węgrzech) krok już niedaleki do kontuszów, żupanów, karabel, delij, które ozdobią naszych wojewodów, starostów i in. Znam kilku starostów, którzy w tych kostjumach wyglądać będą wcale komicznie. Np... Ale pocóż wymienić nazwiska? Zresztą taki wzgląd ściśle personalny nie powinien tu odgrywać poważniejszej roli. Raczej ta maskarada może wpłynąć na bardziej krytyczną selekcję warunków zewnętrznych ludzi, którzy w naszym repertuarze państwowym grają pierwsze role. Tak więc n. p. wojewoda powinien zaczynać się conajmniej od 1 m. 75 cm. wysokości.



Kontusz, pas, delja potrafią to jakoś ulegalizować...

Bez podgalania łbów po szlachecku obejdzie się, byłaby to już bowiem przesada. Natomiast kontusz stanowi nieuchronną konsekwencję samych tytułów, choćby np. starościńskich. Barwny ten kostjum pokryje, da niejako uzasadnienie pewnym objawom, usuwając nieznośny stan dotychczasowy, który można było określić hasłem „Hulaj, dusza, bez kontusza!“. Żupan, kontusz, pas, delja potrafią to, jakoś ulegalizować.

Mniemam, że w ślad za kasztelanami posypią się dalsze, stare, wiele mówiące nazwy, których nie brak było w dawnej Polsce. Zakwitną jak sama wstęga dziejów, żywe, bengalskie, kolorowe. Pojawią się, bo są potrzebne w chwili obecnej. Przyszli posłowie stanu rycerskiego, których w myśl ordynacji wybierzemy dnia 8-go września, to szczupła garstka zaledwie, dzięki czemu poza nawiasem zostanie bardzo, bardzo wielu aspirantów. Zważmy, że sam I. K. C. stanowił do niedawna okrąg dwumandatowy! Poszkodowanych kandydatów na przeróżne wysokie urzędy trzeba będzie jakoś ugłaskać bodaj tytułami, w danym zaś wypadku przystawić im już nie stołka, ale właśnie krzesła kasztelańskiego. O, niesłychanie wporę przyjdą te tytuły!

Oczywiście, przewiduję pewien kłopot formalny z przemianą tytułów męskich na żeńskie. N. p. mówi się „poseł“ i „posłanka“. Ale co zrobić z go-

dnością — dajmy na to — miecznika, powierzona kobiecie? Chyba, idąc wzorem form „klucznik-klucznica“, ukuć wyraz „miecznica“. Tak samo i „Stolnica Wielka Koronna“. Mam nawet stosowną kandydatkę na ten wakanś...

Kadenowi patrzyłby się słusznie tytuł „Pisarza Polnego“, pewien zaś generał mógłby zostać Podstolim, albo jeszcze trafniej generałem wojsk kwarcianych, krócej generałem kwarty. Albo: czy nie prościej zamiast „p. Kostek Biernacki“ powiedzieć zwyczajnie „Imci Pan Strażnik brzeski“. I już wiedziałoby się wszystko.

Jakaś stosunkowo mniejsza buława litewska dawno już należy się Prystorowi, podczas gdy Car, twórca konstytucji, powinien zostać Kuchmistrem Wielkim, podobnie jak nim był znakomity statysta XVIII wieku, Michał Wielhorski, Kuchmistrz Wielki Litewski, który z samym Janem Jakóbem Rousseau konferował o naprawie rządu Rzeczypospolitej. P. Michalskiego z Funduszu Kultury Narodowej możnaby nazwać rękodajnym, jako że daje oburącz. Zamiast „Strzelcy“ powinno się mówić otwarcie „piechota wybraniecka“. I tak jest ze wszystkim. Mamy już dawno wojewodów i starostów, rozdajemy na prawo i lewo panem quotidianum bene merentium, mamy Oboźnych Wielkiej Polski, mamy w Małopolsce Sicz Zaporoską, dlaczego więc zatrzymywać się w pół drogi?

Np. Generalny Inspektor Sił Zbrojnych? Skądże ta nazwa długa, obca, czteroczłonowa i skomplikowana? Dodajmy, że sam Generalny Inspektor ma też nazwisko dwuczłonowe, co łącznie z innemi tytułami daje razem ośm wyrazów. Znacznie prościej powiedzieć „hetman“. Albo „szef protokołu dyplomatycznego“? Znowuż forma niezdarna, którą znakomicie zastąpiłby „ochmistrz“. A jeszcze lepiej „Podkomorzy“. Przydałoby się również wznowić tytuł „instygatora“, który to urzędnik, jak mi się zdaje, był czemś równoznacznem z dzisiejszym prezesem Najwyższej Izby Kontroli Państwa. Słowo pochodzi od czasownika łacińskiego „instigo — podżegam“. Mógłby nas dodatkowo podżegać do cnót obywatelskich.

Najbardziej jednak proszą się o wskrzeszenie plastyczne, wymowne tytuły, związane bezpośrednio ze stołem, z kuchnią, z piwnicą. Więc obok wspomnianego już Kuchmistrza czy Stolnicy, Cześnik, Krajeży, Poczeszy, Piwniczy. Rzucam tylko luźne projekty, nie wskazując palcem najgodniejszych kandydatów, mam jednak nadzieję, że samo życie zajmie się tem w sposób konkretny i, zadowalając ambicję ludzką, obsadzi wakanse z powszechnym pożytkiem tak, aby nie pominąć prawdziwie zasłużonych i wykwalifikowanych. Chwała Bogu, tych ostatnich nie braknie!

Tytuły, dodane do nazwisk naszych królewiat

i możnowładców, urozmaicą, ubarwią opis wielu codziennych uroczystości, przedstawianych dzisiaj sucho, banalnie. Inaczej wypadnie więc rubryka „Dzień polityczny“. Dalej, zamiast jakiegś tam cienkiej „herbatki“ u pana premjera byłoby „Koło rycerskie“ albo „chorągiewne“ czy nawet zgoła „generalne“. Zamiast rautu w pałacu przy ul. Biełańskiej mielibyśmy zawiązanie konfederacji pod laską J. O. Księcia n. p. Klucznika. Obecnie mamy conajwyżej konfederacje barskie, zawiązywane przygodnie w byle barze. Kto wie, czy w związku z tytułami nie wrócą świetne nazwiska starych a wygasłych rodów. Słyszałem więc, ale to pewnie plotka, że ktoś z szarej braci pułkownikowskiej wobec wymarcia rodu Koniecpolskich pragnie przybrać dyskretne nazwisko Początekpolski... (Kawał kiepski, ale nie sztuka śmiać się tylko z dobrych dowcipów.)

Dałoby się także rozbudować i ceremonjał dworski. Tak więc przy ważniejszych uroczystościach ktoś niósłby miecz, ktoś inny kopję czy kopjał, a jeszcze ktoś inny jabłko niezgody, na którą podobno bardzo a bardzo się zanoszą...

Ileż subtelnych odcieni znajdzie się w recenzjach z balów przy opisie toalet naszych pięknych pań rządowych! Oraz ile komplikacji wobec jakże częstych rozwodów! — Przecież jedna i ta sama dama była kolejno panią podsędkową, podkomo-

ryzną, podczaszyną, podstoliną, pod... Ale któż to wyliczy!? Opisy balów będą jakby żywcem wyjęte z Trylogii. A może i tetralogji? Bywała bowiem i do czterech razy sztuka.

* * *

Feljetonowi memu dałem nagłówek „Familja“. Nie bez kozery wyciągnąłem ten termin z mroków niepamięci. Niedawno przeglądałem zapomnianą książkę galicyjskiego historyka, Schmitta, o panowaniu Stanisława Augusta. Otwieram ją przypadkiem na str. 84-tej i czytam passus tak wyjątkowo aktualny, tak charakterystyczny, że własnym oczom nie wierzę. Jestem wręcz olśniony. Mowa mianowicie o roli i programie „Familji“ w XVIII w. w związku z przerostem wolności:

„Wszystkie te urządzenia mogły być dobrami w swoim czasie, lecz stały się anachronizmem niemal w Europie, która coraz bardziej przetwarzała swe stosunki społeczne. Trzeba więc było i Polsce pomyśleć o zmianach w swym ustroju społeczno-politycznym, aby odpowiedzieć wymagom postępu i pouchylać to wszystko, co przez nadużycie wiodło do zupełnego rozprzężenia żywiołów społecznych... Familja starała się przedewszystkiem skupiać około siebie ludzi zdolnych oraz chcących się poddać jej kierownictwu“...

Przecież to kubek w kubek dzieje ostatnich naszych czasów! Gdybym nie wiedział, że mowa o działalności Czartoryskich, przysiągłbym, że autor ma na myśli całą walkę o nową konstytucję, o uchYLENIE WSZYSTKIEGO, „co przez nadużycie wiodło do zupełnego rozprzężenia żywiołów społecznych“! — I powie ktoś, że historia nie powtarza się!

„Familja“!... Tak, familja to coś wyjątkowo opowiadającego zarówno treścią, jak i zakresem. Nazwa zaszczytna, piękna, z powodu której nikt obrazić się nie może, a przytem ciepła, serdeczna, pieśmiotliwa. Mieści w sobie wszystko bez reszty i na milimetr pokrywa się z pojęciem. Puszczam ją w obieg i nie tracę nadziei, że przyjmie się rychło.

Napisałbym ewentualnie coś jeszcze, ale poczekam, aż sejm uchwali jakieś nowe „Neminem captivabimus...“.

KONRAD A KONSTYTUCJA

— *To jest zamykanie gęby!...*

— *A tobie co do tego, czem Polska ma być? Ty masz milczeć...*

„Wyzwolenie“.

Wydaje mi się, że ułożenie samego tekstu konstytucji jest stosunkowo łatwe, natomiast napisanie jakiego takiego wstępu do konstytucji stanowi chyba najtrudniejszą rzecz pod słońcem. Powinno się w takim wypadku rozpisać konkurs literacki z nagrodami. Niemniej rezultat będzie równie wątpliwy, jak np. przy konkursie na nowy tekst hymnu narodowego.

Niezwykle szczęśliwie wybrnął z tych trudności nasz Statut nieszawski z 1454-go r., zaczynając od prostych, skromnych słów. „Aby zaś rzeczpospolita na przyszłość zdrowszym była kierowana sposobem, chcemy i postanawiamy niniejszem...“ Zazwyczaj autorzy takich uroczystych wstępów popadają w megalomanię. Np. słynna „Magna charta libertatum“ z XIII wieku zaczyna się od nieprawdopodobnej fanfaronady: „Uczyniliśmy przedewszystkiem to ustępstwo dla Boga...“ Bezczelność! Najłatwiej zaś przy takiej okazji

o frazesy. Nawet rewolucyjna „Deklaracja praw człowieka i obywatela“, jeśli spojrzymy na nią bardziej analitycznie, wyda nam się zbiorem dość wątpliwych a efekciarskich powiedzonek. Ale właśnie te frazesy wstrząsnęły podstawami świata. Widać, na początku wszystkiego było zawsze i będzie słowo. Niekiedy nawet nie słowo, lecz frazes.

Naszą nową konstytucję rozpoczyna dziesięcioro przykazań. Szczerze powiem, że literacka forma tego dekalogu przyniosła mi niejake rozczarowanie. Treść także. I — rzecz doprawdy szczególna — już pierwsze zdanie nowouchwalonej konstytucji będzie musiało najdalej za kilka miesięcy ulec pewnej, mikroskopijnej zresztą, poprawce. Na szczęście, idzie wyłącznie o ortografię. To pierwsze zdanie brzmi: „Państwo polskie jest wspólnem dobrem wszystkich obywateli“. Otóż według nowych prawideł pisać będziemy „wspólnym“ zamiast, jak dotychczas, „wspólnem“. Oczywiście jest to drobiazg, o którym, równie jak i o innych rzeczach, redaktorzy mogli nie wiedzieć.

Daleki jestem od myśli krytykowania samej konstytucji, lecz warto przyjrzeć się bliżej choćby tylko dekalogowi. Chwała Bogu, piąte przykazanie zapewnia m. in. wolność słowa. To bardzo dobrze. I nie sądzę, aby takie zdanie umieszczono wyłącznie na wabia. Zresztą mam zamiar rozpatrzyć tylko

pewne literackie motywy wstępu, zahaczając jedynie zgrubsza o treść istotną. Pasjami lubię stawić bańki. Zwłaszcza cięte.

Dawna konstytucja, pochodząca z dnia 17 marca 1921, rozpoczynała się od Boga, po którym bezpośrednio szedł „Naród Polski“, pisany w przymiotniku nawet dużą literą. W nowej Bóg występuje znacznie później, bo dopiero w którymś z punktów artykułu drugiego i to wyłącznie jako jedyny obok historii organ kontrolujący prezydenta Rzeczypospolitej. Może na starość człowiek popada w dewocję, ale jakoś tu właśnie brak mi Boga. Mówiąc stylem Jana bez ziemi, można było zrobić to „ustępstwo dla Boga“... Ciekawe, że nawet wspomniana już a uchwalona w miesiąc po zburzeniu Bastylji, wcale radykalna „Deklaracja praw człowieka i obywatela“ żenuje się coprawda słowa „Bóg“, ale przecież nieśmiało mówi: „Zgromadzenie Narodowe uznaje i oświadcza wobec i pod opieką Istoty Najwyższej...“ Może tą „Istotą“ miał być Bóg? Nie jestem tego pewien.

Konstytucja z przed lat czternastu użyła na wstępie słowa „My“. Było to nieco naiwne. Co to znaczy „My“? Zaimek osobisty liczby mnogiej i nic więcej. W nowej konstytucji „nas“ niema wogóle. I tu żywo przypomina mi się rozmowa Konrada z maską Nr. 19, która to maska pyta z niepokojem:

— Więc my...

Konrad odpowiada jej w sposób wcale bezcere-
monjalny: „Was niema... Nie widzę was“. Sz! us!
Tak więc w nowej konstytucji „nas“ niema, rów-
nie jak nie znalazłem i „narodu“ jako takiego.
Właściwie dość rzadko występuje tam i słowo
„Rzeczpospolita“, którego to wyrazu, jako dosyć
mętnego, redakcja raczej unika. Jest tylko i wy-
łącznie „państwo“. Ono zaczyna wszystko i wszyst-
ko mieści w sobie. Może słusznie. Poeta tłumaczy
to w sposób następujący:

„Naród ma jedynie prawo być, jako państwo.
A państwo zaś jest w stanie pomieścić wszystkich,
jakichkolwiek, we wspólnej gminie“.

Bezwarunkowo Wyspiański zaważył na kon-
strukcji myślowej wstępu, żałować jednak wypa-
da, że jego wpływ w dziedzinie ściśle formalnej
i stylistycznej był niewielki. Może jeszcze wróci-
my do „Wyzwolenia“, lecz narazie zajmijmy się
w dalszym ciągu wstępem.

O ile przed czternastu laty odnosiliśmy się
z kurtuazją do Opatrzności, o tyle obecnie czynnik
ten, jako państwowotwórczy, został wyeliminowany
starannie. Z porównania obu tekstów jasno wyni-
ka, że w ciągu lat kilkunastu zmienił się nasz pogląd
na genezę powojennej Polski. W każdym razie
udział elementów nadprzyrodzonych zredukowano
do zera. Niedawno jeszcze dziękowaliśmy Opatrz-

ności „za wyzwolenie z półtorawiekowej niewoli“,
obecnie zaś stwierdzamy sucho i kategorycznie, że
państwo zostało „wskrzeszone walką i ofiarą naj-
lepszych synów“. I ci „najlepsi“ mają doskonałą
lokację, bo odrazu w pierwszym artykule. Przed
Bogiem. W dalszych artykułach nie zapomniano
również o nich, dając im nieco uprzywilejowaną
pozycję jakgdyby „udarników“ niepodległości. Re-
dakcja przy dzieleniu obywateli na dwie kate-
gorje wychodziła prawdopodobnie z tego samego
punktu, co i Konrad w „Wyzwoleniu“, który mówi:
„My zawsze będziemy mieć do usług i do rozporzą-
dzenia tę lichą część naszego narodu“. A o cóż in-
nego idzie?

Jeśli bezstronnie porównamy styl obu marco-
wych konstytucyj, musimy stwierdzić poprawę na
awantaz. Poprzednia zaczynała się od niesłychanie
skomplikowanego tasiemca, w którym chciano stło-
czyć wszystko bez reszty. Ciasno jest w tem zda-
niu od wszelakich wzniosłości. Znalazł się tam bo-
wiem m. in. Bóg, My, Naród Polski, Opatrzność,
ciepła wzmianka pod adresem bojowników wolno-
ści, była nawet „Matka Ojczyzna“, byli obywatele,
ład, prawo, siły moralne i materialne, dobro ludz-
kości, poszanowanie pracy i t. d., i t. d. Przy naj-
bardziej pocziwych chęciach powstał w ten spo-
sób wyjątkowy dziwoląg stylistyczny, wzorowany
żywem na manierze tekstu 3-go Maja. (Chyba już

teraz wolno tak pisać o ś. p. konstytucji z 21-go roku?) Żeby kto miał nie wiem jaką parę, musiał conajmniej dziesięć razy brać oddech przy tem zdaniu.

Nowa konstytucja operuje zdaniami krótkimi, stylem wręcz telegraficznym. Właściwie po każdym punkcie prosił się dodatek „Stop“. To już nie konstytucja, ale rozkaz, a może pobudka. Zawarto jedynie to, co musiało być powiedziane, z pominięciem wszystkiego, co mogłoby okazać się zbędne. Weźmy np. artykuł 5: „Twórczość jednostki jest dźwignią życia zbiorowego“. Czy można zmieścić więcej pozytywnej treści w jednym zdaniu? To już nie ornament stylistyczny, ale coś konkretnego i niezbędnego zarazem. Zdanie okrągłe, pełne jak jaje.

Zanim pójdziemy dalej, przyjrzyjmy się jeszcze raz temu radosnemu aksjomatowi: „Twórczość jednostki jest dźwignią życia zbiorowego“. Jakież to zacne! Jakie pocziwe! Jakie syntetyczne! I jakie świeże w tej metaforze o dźwigni! Przecież formułka „Módl się i pracuj!“ w porównaniu z tym artykułem odznacza się gadulstwem! I znacznie mniej posiada optymizmu. Zastanawia nowe ujęcie problemu, jako że właściwie można było przepisać dawne przysłowie „Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje“. Albo, jeżeli już absolutnie Pana Boga nie chcemy w to mieszać, wystarczyłoby

„Ziarnko do ziarnka a będzie miarka“. Zwłaszcza to ostatnie w sposób najdokładniejszy odpowiada sensowi artykułu, mówi bowiem o kolektywnych wartościach. Lecz ambitni autorzy woleli dać coś oryginalnego, niewyświechtanego.



„Praca jest podstawą rozwoju i potęgi Rzeczypospolitej...“

Idźmy dalej. W poszukiwaniu złotych myśli natrafiam na drugie źródło optymizmu państwowego. „Praca jest podstawą rozwoju i potęgi Rzeczypospolitej“. Przecież to jedno jedyne zdanie usuwa odrazu bezrobocie! Ileż w tym dogma-

cie zapału, ile dobrej woli! Ta konstytucja ma nie tylko mózg, ma przede wszystkim serce. Są artykuły, które poprostu wzruszają. Co więcej, artykuł o pracy jest sam w sobie melodyjny i, jak mi się zdaje, da się podłożyć pod muzykę.

Natomiast pewne wątpliwości budzą się przy twierdzeniu „Państwo zapewnia obywatelom możliwość rozwoju ich wartości osobistych“. Niebardzo rozumiem, co to są te „wartości osobiste“. W każdym razie pojęcie dość subiektywne. N. p. ja? Jakież ja mam wartości osobiste? O ile je mam w ogóle? Może, może, mam przynajmniej niekiedy... jaki taki humor. Czy państwo zapewnia mi możliwość rozwoju tegoż humoru? Czasami tak, bez wątpienia. Ale to nie jest jasno powiedziane. A nawet kto wie, czyby nie było lepiej nie etatyzować wartości osobistych obywatela i nie wtrącać się do tych spraw. To już zbyt daleko posunięta troskliwość państwowo-macierzyńska. Tyle jest innych, może jeszcze wdzięczniejszych terenów...

Również rosną wątpliwości przy powiedzeniu „Wartością wysiłku i zasług obywatela na rzecz dobra powszechnego mierzone będą jego uprawnienia do wpływania na sprawy publiczne“. Hm, uprawnienia do wpływania... Czytałem ten passus głośno i odrazu pękła mi w krtani ze świstem jakaś struna złowróżąca... (Znam głos ten!...). Następane zdanie budzi wręcz niepokój. Czytamy bo-

wiem „Ani pochodzenie, ani wyznanie, ani płeć, ani narodowość nie mogą być powodem ograniczania tych uprawnień“. Już mniejsza o to, że płeć wsadzili nie bez pewnej pikanterji w sam środek między wyznanie a narodowość, ale zastanawia kwestja, do kogo odnoszą się te gwarancje. Czy tylko do samych udarników, czy też do wszystkich? Pierwsze zdanie mówi jedynie o obywatelach zasłużonych, pomijając w zupełności szarego człowieka, do którego ustawia się tyłem. Czy ten szary człowiek będzie miał jakiekolwiek uprawnienia do wpływania? A jeżeli mimo braku zasług będzie miał jakieś tam uprawnienia, czy będą one pod ochroną?

Podobne postawienie sprawy odrazu wywołuje pewną, zresztą małokalibrową dysharmonję, pozostającą w niejkiej sprzeczności z formułką „Państwo dąży do zespolenia wszystkich obywateli w harmonijnem współdziałaniu na rzecz dobra powszechnego“. Najpierw dysonans w założeniu, potem harmonijne współdziałanie. Nie wiem, czy to pójdzie tak łatwo.

Po wszystkich czułych, pieszczotliwych zwrotach, nagle konstytucja w ostatnim artykule dekalogu pokazuje zęby: „W razie oporu państwo stosuje środki przymusu“. Nie jest to żadna nowość, ponieważ państwo z zamiłowaniem stosuje te środki od dobrych kilku lat, jednakże wypadało

je uświęcić, nadać im jakąś formę i uhonorować odpowiednio przez poczesną lokatę w pierwszych dziesięciu przykazaniach. Czas już był najwyższy.

Mniemam, że wszyscy odetchną z ulgą. Lepsza jest zawsze sytuacja jasna, niż przewlekłe, chroniczne wyczekiwanie. Są w nowej konstytucji ustępy, które możnaby, używając słów poety, określić, jako „zamykanie gęby“. Najbardziej państwowotwórczy wieszcz powiada wyraźnie:

„Ja nie chcę, abyś ty się tem interesował, to jest: opiekował. Ja chcę, żeby te rzeczy były tobie narzucone i żebyś ty wobec nich stał się niczem. Wobec rzeczy bezwzględnych, które idą same ze się... Każdy uczciwy Polak, jak skoro zacznie gadać, tak ze słabą głową przegada wszystko, a on jest tylko od tego, żeby siedział w swoim kącie, na swoich śmieciach i BYŁ!... Powinien być, być, być. Być ze zamkniętą gębą. I nie filozofować, by nie prze-filozofować Polski...“.

Czyżby słowo poety stało się ciałem?...

MOJE PÓŁ LIŚCIA BOBKOWEGO

Gdy znaleźli orzeszek

Ziarnko dzielili na dwie...

Było pół do jedenastej, gdy drzwi otwarły się na poły i w półcieniu stanęła moja półsłużąca-półgospodyni, mówiąc mi półgłosem, że już czas, abym poszedł wyfasować półnagrody (zupełnie jak w oszmiańskim powiecie), którą mają mi wypłacić dzisiaj, t. j. w pół miesiąca po przyznaniu. Byłem jeszcze w półśnie, ona zaś przygotowała mi Amerę zmieszaną pół na pół z wodą zwykłą. Półknąwszy ten kubek goryczy, w pół godziny później, jeszcze na poły odziany, zerwałem się z łóżka i popędziłem półgalopem. Mocna ta Amera jak półdjabłę! Nie można powiedzieć, aby to był półśrodek przeczyszczający.

Następnie półgospodyni-półaniola spytała o dyspozycje w sprawie ubrania. Więc najpierw jaką dać koszulę.

- Wystarczy półkoszulek!
- A pończochy?
- Półjedwabne!
- Kołnierzyk?
- Półszytwny!

Z własnego już natchnienia dorzuciła lakierowane półbuciki, poczem z charakterystycznym półuśmiechem rzuciła uwagę, że napewno tę półnagrodę wyciągną ode mnie damy z półświatka krakowskiego.

— Nieprawda! Pojadę za to na półwysep apeniński! A teraz proszę mi nalać półkwaterek! Przekaszę półgąskiem!

— Panie doktorze, przecież to półpoście!

— Prawda! Wielki Czwartek! W takim razie proszę o pół kopy jaj. Na półtwardo!

Podawała mi to na półmisku, poczem półżywy z pośpiechu wsiadłem do dorożki. Dwa tysiące piechotą nie chodzą. Koń był półanglik, ale ustał w połowie drogi.

Fjakier mimo moich protestów dał mu batem najpierw w jeden, następnie w drugi pół..., jednak to nie pomogło. Wobec tego pół idąc, pół biegnąc, dotarłem do magistratu. Już na półpiętrze spotkałem drugą półlaureatkę. (P. Gruszecka mieszka na Półwsiu Zwierzynieckiem.) Przedstawiłem się i wymieniliśmy półgębkiem kilka półsłów. Następnie otwarto na oścież połowę drzwi. Weszliśmy do gabinetu, gdzie wszyscy wiceprezydenci siedzieli już połowicznie na dwóch stołkach. Tylko prezydent siedział mocno na obu półkulach w otoczeniu półplutona radców przybocznych. Opodał zaś w półkolu widać było całych członków sądu

konkursowego, którzy półświadomie kryli się w półmroku. Światło padało pod kątem półpełnym, skutkiem czego zamiast głów widziałem przeważnie tylko pół...

Prezydent, jako że to było w Wielki Czwartek, najpierw odbył ceremonję umywania nóg członkom sądu konkursowego, następnie objął mnie wpół i zaczął mówić tonem półurzędowym, ja zaś stałem cierpliwie, wyprostowany, spokojny, piękny jak półbóg. Składał nam półgratulacje-półkondolencje, poczem półlaureaci wręczyli prezydentowi swoje dzieła. Więc P. Gruszecka dała nieznaną „Przygodę w nieznanym kraju“ — oprawną w półskórek, ja zaś mój „Start Edmunda Sulimy“, oprawiony skromnie w półpłótno.

Byłem naogół półprzytomny ze szczęścia. W oczach mi się ćmiło. Jakieś półzaćmienie słońca. Na szczęście prezydent kazał podać wszystkim po półczarnej (w tem ostatniem jest conajwyżej połowa prawdy), na czem skończyła się ta piękna, prawdziwie wielkopostna uroczystość. Gdy wyszliśmy, na niebie świecił już półksiężyc i jakieś półdziewice krakowskie zbierały na półkolonje dla dziatwy. Dałem półpięta złotego.

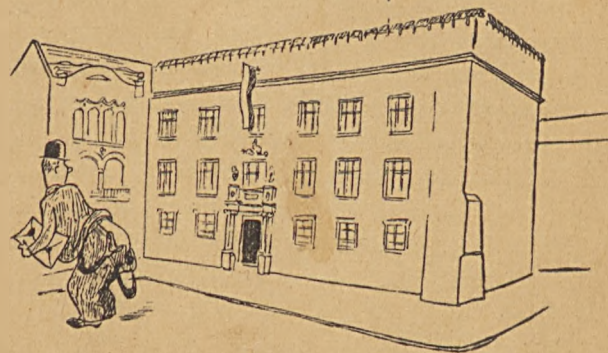
Z wieży Marjackiej grał hejnał w półtonach, ja zaś myślałem nad tem, czy przepić połowę nagrody zaraz, czy też wstrzymać się jeszcze kilka dni...

Ale z samych „pół“ można conajwyżej napisać połowę feljetonu. Trzeba zabrać się do tego krakowskiego targu z innej beczki, nazywając pewne rzeczy po imieniu. Przedewszystkiem to, co powiedziałem dotychczas, jest najszczerzą blagą. W rzeczywistości wręczenie nagród odbyło się o wiele, wiele skromniej, prawie bez asysty, bez świec, bez dzwonów. (Wielki Czwartek!) Oboje delinkwenci otrzymali koperty i koniec. Zaproponowano mi, abym przeliczył, bo po odejściu od kasy wszelkie reklamacje nie będą uwzględnione, ale z godnością odrzuciłem ten projekt. Przecież mam pełne zaufanie! Przeliczyłem dopiero na schodach pałacu Wielopolskich. Było wszystkiego dwa tysiące, ani o setkę więcej.

A teraz mam uczucie pewnego niesmaku. Jakoś mi tak niewyraźnie i głupio. Dlatego, choć przez skromność pieniędzmi nie wzgardziłem, powiedzieć muszę, że stokroć miłsze są mi wiązanki kwiecica, napływające w zawrotnych ilościach do mego domu, niż t. zw. po warszawsku forsa. Dostałem półnagrody. Otwarcie mówię, że wołałbym całą. Nie rozmawiałem o tych sprawach z p. Gruszecką, ale mniemam, że wołałaby także. Wcale się jej nie dziwię.

Pomówmy więc o podziale. To, co ostatecznie dobre jest „w oszmiańskim powiecie“, a zatem

dzielenie orzeszka na dwoje, nie uchodzi w Krakowie. Zwracając się więc do Panów Sędziów, powiadam: Nie róbcie z nas i z siebie większych dziadów niż jesteśmy! Nazywają Krakowiaków po-



Moje pół liścia bobkowego.

wszechnie „centusiami“, a wy nawet tę nazwę potrafiłicie zredukować do półcentusiów. I to właśnie w okresie, gdy nowy prezydent narzucił miastu gigantyczny rozmach, gdy buduje się muzeum, stadjon, gdy upiększa się i rozszerza Kraków, gdy giną stare rudery à la wika-rówka, a na ich miejscu wykwitnąć mają nowe drapacze chmur, zasłaniające calusienki kościół Marjacki razem z wieżami!

Używając słów lirnika racławickiego, mógłbym

powiedzieć, że bez względu na to, co zaszło, „kocham Kraków nie połową, ale całą duszą“. Jeżeli zaś idzie o personalja przepołowionej nagrody, stwierdzam, że p. Gruszecka, choć autorka niezbyt popularna, posiada ponad wszelką wątpliwość niepospolite zalety pióra i poczytuję sobie za prawdziwy zaszczyt kolegować z Nią. Ale powinna dostać nagrodę sama. Albo też Pawlikowska. Albo Morstin czy Wiktor lub ja. Ewentualnie ktoś z innej branży, więc, nie szukając daleko, np. prof. Kot, Sinko, ks. Michalski, Srokowski czy jeszcze ktoś inny. Rzucam pierwsze z brzegu nazwiska.

Nagrodę „Niezależnych“ dano (i bardzo słusznie!) jednemu Bąkowi, a Panowie strzelili bąka!

Zastanówmy się: nie rozmawiałem o tych sprawach z p. Gruszecką, ale choć nie upoważniony przez Nią, śmiem twierdzić, że żadne z nas obojga doraźnej zapomogi nie potrzebuje. I poco było to robić? Jaki był w tem cel i sens!?

Gdybyście Panowie, jak to było przewidziane w ceremonjale, stawili się na uroczystość wręczenia nagród w komplecie, porozmawiałbym o tem z Panami, ponieważ jednak gabinet prezydenta świecił pustką, przeto, po raz pierwszy nadużywając tego odcinka dla celów osobistych, piszę o nagrodzie. Idzie o to, aby na przyszły rok Panowie nie zrobili już takiego nonsensu. W tym więc wypadku

prywatą łączy się z interesem publicznym. Nagroda musi mieć nie tylko swój efekt, ale cel. Albo wieńczy, koronuje czyjąś działalność i nagrodzonemu daje pełną, całkowitą satysfakcję, albo też stanowi rodzaj... pożyczki inwestycyjnej, jest wkładem, który amortyzuje się w błyskawicznym tempie.

Jeżeli w samym Krakowie nie znaleziono ani jednego kandydata absolutnie godnego, można go było poszukać gdzie indziej, można było uszczęśliwić młodego, pełnego nadziei i talentu pisarza! Dlaczego Panowie zmarnowali tę sposobność? Przecież, choć od pewnego czasu utarł się szablon przemówień laureatów, ja nie mogę powiedzieć o sobie tego, co unisono powiedzieli Bąk i Kurek, a więc, że są młodzi, że nagroda będzie im zachętą do dalszej pracy, bodźcem! Owszem, ubodła mnie do żywego, ale jabym i tak pisał. Co więcej — mówię tylko we własnym imieniu — otrzymawszy tę nagrodę, nie będę pisał ani odrobinę lepiej, niż pisałem dotychczas!

Młody literat, otrzymawszy całą — ale koniecznie całą — nagrodę, coprawda urznie się najpierw, lecz potem odetchnie. A z nim razem odetchnie jego krawiec, szewc, pracza, gospodarz i t. d. Boże, ile biedy jest w tym fachu! Taki młody, przeważnie galopujący gruźlik, pozapycha wszystkie dziury, popłaci długi, na pożegnanie sprawi jakiejś

młodej istocie parę przyzwoitych kombinacyj i innych fatalaszków, poczem wystartuje w świat. Zobaczy coś! Pojedzie się leczyć albo studjować. Przez dobrych kilka miesięcy będzie miał spokój i warunki do pisania. Weźmie bezpłatny urlop z biura albo na chwilę zrzuci jarzmo redakcyjne i napisze coś porządnego. Odda tę pożyczkę z grubym, lichwiarskim procentem. Może to właśnie jest celem nagrody?

Mówił mi prezydent, dr. Kaplicki, że był zasadniczym wrogiem podziału. Zasiadający w sądzie z ramienia ministerstwa naczelnik, dr. Zawistowski, oświadczył również, że podział uważa za nonsens. Jednakże po dwugodzinnych, zażartych naradach podzielono przecież. Większość przeważała i właściwie niema już o czem gadać.

Ale gdy tak rozważam wszystko i zastanawiam się, przychodzę do wniosku, że gdyby Krakus i Wanda żyli w dzisiejszych czasach, prawdopodobnie usypanoby im kopiec wspólny. Kompromisowo. A nawet kto wie, czy nie wpakowanoby tam jeszcze Kościuszki? Albo i... No, dajmy temu spokój!

E, wściekły jestem!

Wesołych Świąt!

P Ł A C Z D Z I E C K A

(Kawałek b. smutny. Nie nadaje się do czytania w godzinach porannych. Dla młodzieży i dzieci nieodpowiedni.)

Opowiada mi kierownik szkoły podmiejskiej taką scenę: podczas pauzy chłopiec zbił koleżankę aż do krwi. Nauczyciel mówi:

— Jak się nie wstydzisz!? Bić dziewczynkę!? Ty, mężczyzna, bijesz kobiety!?

— Iii, co to za bicie!... Kiedyś, jak tata wrócił do domu pijany i wziął na mnie pogrzebaczka a mama zaczęła mnie bronić, to ją tak sprął, że mamę odrazu buda zabrała do szpitala...

Więc mąż zbił żonę. Trafia się. Ale znam historję gorszą: jakaś robotnica ma dziesięcioro dzieci, a zanoszą się na jedenaste. Wraca najstarszy syn z wojska i, widząc, że znowuż będzie o jedną głowę do miski więcej, wpadł w złość. Zbił rodzoną matkę, skopał...

Stopniuję te anegdoty, dodając efektu po łyżeczce, po kropli. Oto do poradni przynoszą niemowlę, zawinięte w... gazetę i rojące się od robac-

two. Zdaniem matki nie powinno się kąpać dziecka przed upływem pół roku. Rzecz dzieje się w Krakowie... Przynoszą drugie niemowlę. Ma już nie paznokcie, ale pazury jak ryś. Matka tłumaczy ten fakt w sposób następujący: obcinać paznokci nie można ze względu na zdrowie dziecka, ona zaś sama, tj. matka, za słabe ma zęby i nie może obgryźć... Dziecko poraniło się całe temi szponami. Fakt, za którego autentyczność ręczę.

Andzia M. (Kraków, Rynek Kleparski) zapytana, ile osób mieszka u nich w jednej izbie, nie umie na pamięć odpowiedzieć. Prosi o kawałek papieru i ołówek. Zaczyna wypisywać: ojciec, macocha (umyślowo upośledzona), czworo rodzeństwa z pierwszego małżeństwa, czworo z drugiego, dwoje nieślubnych dzieci siostry, jedno nieślubne brata, narzeczona brata, jej „koleżanka“... Ta ostatnia jednak nie zawsze, tylko czasami... „Zresztą kto wie, ile nas tam jest... To tak trudno wyliczyć...“ W jednej jedynej izbie...

Crescendo. Zwolna dochodzimy do forte: Marysia P. wraca z kolonji letniej w Jelesni do rodzinnego domu. Napila się kawy, jakieś lury bez mleka. I za te fusy ojczym skatował ją pasem. Kawa?! Jeszcze czego!... Obżerała się na kolonji, a zresztą jest tak duża (dziesięć lat), że już może

na siebie zarobić. O 9-ej wieczór wypędził z domu na ulicę... Podobno (informacje z Towarzystwa Opieki nad Młodzieżą) cena dziewczynki ośmioletniej dochodzi w Warszawie do 10 gr.

Mógłbym pisać o dołach nad Wisłą, o lokalach pofortecznych, gdzie w „ubikacji“, mającej 6 metrów sześciennych, gnieźdzą się rodziny z czworgiem dzieci, o „mieszkaniach“ w ziemiankach, do których lokatorzy spuszcza się po sznurach. Wobec braku obuwia dzieci nie wychodzą stamtąd przez całą zimę. Mam w ręce ankietę, przeprowadzoną w dziesiątkach szkół na temat, ile dzieci śpi we własnem łóżku. Co jakieś dwudzieste... Przeważnie śpią po dwoje, po troje. Są odpowiedzi „z tatusem i mamusią, w nogach“... Jakież dziecko na pytanie, czy jego matka mieszka osobno, odpowiada, że tak. Ale nie wie, co to jest własne mieszkanie, identyfikując je z... łóżkiem, w którym śpi wspólnie z matką i braciszkiem. Łóżko, stojące w kącie izby zajętej przez inne także rodziny, to w jej pojęciu „własne mieszkanie“. Znam również ankietę w kwestji jedzenia, znam dziesiątki, setki faktów przerażających, przy których suchem wyliczaniu skręca się coś w człowieku. Nie chcę już mnożyć szczegółów, ale jeszcze jeden efekt na zakończenie. Tym razem piano, pianissimo. Na półkolonję w Kobiernicach matka przyprowadza

trzechletnią dziewczynkę. I to bobo, ledwie od ziemi odrosłe, pyta: „Czy ja tu będę służyć?“...

Chyba „za wcześnie, kwiatku“... Takie dziecko, taka odrobina, taki półatom ludzki pyta z całą rozdzierającą powagą, czy ona będzie na kolonji służyła... To jest może gorsze niż wszystkie okropności, o których wspomniałem! Dajcie państwo spokój! O tem nie da się pisać na sucho. Takie malutkie bambino, taka biedota skończyła trzy lata i myśli o tem, że ją oddają na służbę! A kiedyż to dziecko ma się bawić, śmiać, tańczyć, kiedy ma być dzieckiem, i kiedy wolno mu będzie... płakać!? W tem pytaniu dziecka jest cichutki ton, grany na strunie cieńszej niż włos, niż pajęczyna. A jednak wdziera się do ucha, niczem świder przedostaje się do mózgu. Ten ton, to jest zduszony płacz. Dziecko wie, że musi myśleć o chlebie, że płakać nie wolno...

Są płacze rozmaite. Np. gdy dziecko upadnie i stłucze sobie kolano, mówi mu się, że to nic, że zaraz przejdzie. I rzeczywiście lzy błyskawicznie wysychają a dziecko uśmiecha się, „głaskane ręką i mową pieszczoną“. Gorszy jest ten płacz, który czasem, wracając późną nocą, słyszy się z jakichś suteryn, płacz tak suggestywny, że chciałoby się zapukać do okna, zbudzić koniecznie matkę i po-



Posiedzenia i posiedzonka, herbatki...

wiedzieć: „Niechże pani wstanie do tego dziecka! Może ono jest chore albo głodne? Czy pani nie

słyszysz, jak ono się zanosi!?"... A teraz, teraz, po przestudjowaniu obfitego materiału, wydaje mi się, że nagle ze wszystkich suteryn, z walących się ruder podmiejskich, z chałup, z ziemianek, z lochów pofortecznych, z pod płotów, z rynsztoków, słowem zewsząd buchnął płacz dzieci. Że płaczą tysiące, tysiące. I nikt do nich nie chce wstać!... Potem zaś myślę sobie, że urządzamy „tydzień dziecka“. Jeden tydzień! A rok jest tak okropnie długi. Przez pięćdziesiąt jeden tygodni udajemy, że nie słyszymy płaczu dziecka...

No, nie wszyscy. Są tacy, którzy słyszą zawsze i którzy coś robią. Nawet nie brak ludzi, którzy robią bardzo wiele. Są towarzystwa, są związki, są komitety, świetlice, kolonje, półkolonje, akcje dożywiania, zbiórki, ale... Hm, taki drobny szczegół: przychodzi do mnie pewna pani i pewien pan z komitetu „Tygodnia dziecka“. Proszą, abym koniecznie coś napisał. Naturalnie, że napiszę, choć wolałbym jakiś weselszy temat wybrać przed moim urlopem. Ale godzę się, prosząc tylko o materiał, o cyfry, daty, fakty. Wszystkiego dostarczą natychmiast pod warunkiem, że feljton będzie na tę niedzielę. I pani rzeczywiście przysłała wszystko, co przyrzekała. Nawet zawiozła mnie do kilku instytucji. Pan... Nietylko niczego nie dostarczył (a miały to być informacje sensacyjne i naukowe zarazem) ale nawet nie zatelefonował, nie napisał. Poprostu za-

pomniął. A taki był ważny i tak upominał, abym ja się nie spóźnił przypadkiem. To sprawa niesłychanie doniosła, nie cierpiąca zwłoki i moim obowiązkiem obywatelskim jest napisać, przyczem on mi wszystko ułatwi... I tyle go widziałem. Oczywiście, drobiazg, głupstwo. Ale głupstwo wcale wymowne. Z jednej strony robota serjo, z drugiej — powiedzmy — blaga, zawracanie głowy sobie i innym. Całe kupy, całe sterty papieru, wykresy statystyczne, posiedzenia i posiedzonka, herbatki, tytuły i... z tego wszystkiego wielkie nic.

Ale byłem w pewnym przedszkolu i powiem, że o wiele bardziej przypadło mi do gustu niż wzorowe przedszkola, które w Moskwie pokazują cudzoziemcom. Boże, jakież to rozkoszne piekło! Jaki wrzask! I jak się te bąki bawia! A jedno dziecko, zdaje mi się, jakaś Wandzia, podarowała mi zabawkę — mały fotelik dla lalki, zrobiony z kartonu i „obity“ kolorowym papierem. Ja zaś nie miałem przy sobie nawet głupiego cukierka! Speszyłem się okropnie, bo jakże można wybrać się do dzieci tak idjotycznie, z pustymi rękami! Dopiero wróciwszy do miasta, posłałem (niechwalący się) trochę pierników od Rothego. Anonimowo. Przez dyskrecję, o czym i teraz nie wspominam...

Pewnie, że te pierniki to kiepski pomysł starego piernika — burżuja o miętkiem sercu. Ale cóż ja

im posłę innego? Nie tylko za ten fotelik, na którym n. b. boję się usiąść, ale za wszystko? Za to, że są... dziećmi?! Przeszukałem cały dom w nadziei, że znajdzie się jeszcze jakieś ubranko z moich dziecinnych lat, ale niema ani śladu. Również niema zabawki nawet na lekarstwo. Więc posłałem pierniki. A tam przydałaby się np. wanna. I wiele, wiele innych rzeczy. (Ul. Smolki 9. Polecam P. T. Czytelnikom, gorąco polecam... To przedszkole i wiele innych. Wszystkie, które są.) Warto czasem wybrać się do takich instytucji i zobaczyć, jakie to ładne rzeczy istnieją pod nosem, a my o nich nie wiemy nic. Konieczne zaś trzeba wiedzieć!... Bo gdy się wie, to się już coś da, albo pośle, albo uzbiera! Na pewno! Choćby przez prosty, burżujski egoizm! Choćby dlatego, aby przez sekundę bodaj nie słyszeć rozdzierającego płaczu dziecka, które zanosi się, dostaje konwulsyj! Bo — jeśli się człowiek zastanowi — ten płacz wyda mu się czemś nie do zniesienia. Choćby się zatkało uszy i drzwi, on wdziera się wszędzie...

Byle tylko ta robota nie była chaotyczna, byle jeden komitet nie włożył w drogę drugiemu. Może lepiej byłoby tę akcję ujednolacić, wpuścić w jedno łożysko? I dlatego gdy myślę o sprawach dziecka, przed oczyma staje mi... Rosja. Ale tylko

na chwilę, na sekundę, widok jej bowiem przesłania mi inny obraz: Wiedeń.

Daleko na peryferji, za rogatkami Ottakringu jest najpiękniejszy ze wszystkich (a z kolei setny w Wiedniu) ogród dziecięcy. W ogrodzie stoi pałac, zbudowany dla dzieci. Dla najbiedniejszych, dla dzieci nędzarzy. Nazywa się „Sandeleiten“. To raj dzieci, to bajka ze szkła i ze słońca, stworzona przez najlepszych architektów, wymalowana przez najlepszych malarzy, ozdobiona przez najlepszych rzeźbiarzy. Bo to dla dziecka. Na bramie tej kryształowej bajki widać napis „Dem Kinde Schönheit und Freude“... Już bardzo dawno temu, bo grubo przed wojną, powstał w Wiedniu nie komitet, ale urząd specjalny, t. zw. „Jugendamt“, który po upadku monarchji zjednoczył wysiłki poszczególnych stowarzyszeń i związków, nie tamując ich działalności, lecz kierując nią. Jeden wspólny organ naczelny tylko dla dzieci i młodzieży. Na same dzieci wydało to miasto-bankrut w r. 1924 piętnaście milionów szylingów, w 1930 zaś 29,079.510... Na przytulki, na szpitale, na żłóbki, na ogrody, na sport, na wakacje, na mleko... Rokrocznie tydzień dziecka zapewnia 2000 bezpłatnych miejsc dla dzieci na kolonjach letnich. Zbiórka odbywa się m. in. w ten sposób, że dozorczy domowi zbierają

w każdym domu według arkusza. To nie jest „austrjackie gadanie“, ale robota solidna, ujednoliconą, mądra, celowa...

Wiedeń-bankrut pragnie dać dziecku „piękno i radość“. Czyby to nie było za dużo, jak na nasze stosunki i wymagania? Czy aż tyle potrzeba? W pewnym przedszkolu krakowskim przeprowadzono wśród dzieci ankietę na temat, co im się najbardziej podoba w świetlicy, co najbardziej lubią. Druzgocąca większość odpowiedziała, że najbardziej lubią ciepło. I mleko...

Byłem w szkole im. Czarneckiego w Płaszowie. Jedzie się tam dziwnie nazwaną ulicą: ul. Krzywdą. Właśnie wydawano obiad i dzieci dały istny koncert apetytu, zwłaszcza zaś groch wywołał entuzjazm. Z satysfakcją stwierdziłem, że dzieci prezentują się całkiem zdrowo. I na to usłyszałem, że tak wyglądają, dopóki jest szkoła, a w niej akcja dożywiania. Trzeba je zobaczyć po wakacjach... Do szkoły wracają szkielety. Wakacje to zielona trawka! Wakacje to... głód! Oto prawdziwie powojenny paradoks!...

A niezapługo właśnie z powodu wakacyj ustanie akcja dożywiania w szkole. I równocześnie zamyka

się rozmaite półkolonje z braku funduszy. Koszt utrzymania jednego dziecka na półkolonji wynosi dziennie 40 gr. — słowami czterdzieści groszy...

Dziś zaczyna się „Tydzień dziecka“...

C Y G A N J U B I L A T

Ile razy jestem na jubileuszu jakiejś aktorki,
z satysfakcją nucę sobie znanego krakowiaczka Ed-
munda Wasilewskiego:

Na wysmukłej jej kibici
Sześć wieków zdrzymało!
Przecież piękna jak dziewica,
Przecież stoi cało...

Bo one rzeczywiście stoją, jak wieża Marjacka,
nietknięte przez czas. To piękność w gatunku... sta-
tycznym. Niezmienna, marmurowa, zabytkowa. To
rezerwat urody. Natomiast aktorzy starzeją się sto-
sunkowo prędkiej. Ale gdy przeczytałem o jubileu-
szu Adwentowicza, poprostu piorun mnie trafił.
Świat się kończy: Adwentowicz i jubileusz! Prze-
cież on się do tego nie nadaje! Gdybym miał spo-
sobność przestrzec go na czas, powiedziałbym
otwarcie: „Karolu, nie rób tego! To niema naj-
mniejszego sensu! Nie bądź warjatem! Zawsze ci
szaleństwa w głowie! Kiedy ty nareszcie ustatkuj-
esz się?!“

Powie ktoś, że jubileusz, normalny jubileusz to

jest właśnie ustatkowanie się. Ale nie dla Adwentowicza! Jego jubileusz to także brawura i fanfaronada. Jak gdyby chciał powiedzieć: „Oto śmiało patrzę starości w oczy! Wyzywam ją!“ Bo Adwentowicz zrobiony jest z ognia i fantazji. Już samo nazwisko niejako skazuje go na wieczną wędrówkę: Adwentowicz. Od *advenio* — przybywam, zjawiam się. On to robi niespodzianie. A znika jeszcze prędzej. Ziemia parzy go. Jestem pewien, że na trzeci dzień po jubileuszu, t. zn. bezpośrednio po uczcie, która chyba przeciągnie się do jakichś 48 godzin, „Adwent“ strzeli wszystkim i bezzwłocznie puści się na nowe tournée, zawsze młody, jurny, aktor — wieczny tułacz.

W Adwentowiczu ucieleśnia się dla mnie cała poezja, cały romantyzm teatru. Powinien zawsze nosić zamiast krawatki fontaź czerwony oraz olbrzymią, fantastyczną pelerynę, na której skrzydłach, jak na Junkersie, fruwałby po całej Polsce. Coś niby postać z „Kapitana Fracasse“, niby aktor z rosyjskiej komedji Ostrowskiego „Las“. I wogóle figura nierealna. Ale fontaź powinien być bezwarunkowo czerwony. Bo Adwentowicz był aktorem wyjątkowym, takim, który we Lwowie na pierwszego maja obowiązkowo wtykał czerwony goździk w butonierkę i szedł zawsze w pochodzie, tuż za sztandarem. Aktor — „socjalista“! Drugiego takiego nie było! O, kochany Karolu!

Wieleż to lat temu królewskim zaprawdę gestem dopuściłeś mnie — smarkacza do „bruderszaftu“?! Pamiętam, było to pod patronatem samego Pawlikowskiego, kto wie, czy nie u Federgrüna. A może u samego Rosenstocka, bo tę właśnie knajpę Pawlikowski nadewszystko ukochał. Dość, że mówiłeś mi po imieniu. Ty, tajemniczy, magiczny spec od Strindberga i Ibsena! Od Hauptmanna i Sudermana, od Gorkiego i Andrejewa, od całej tej „zgnilizny“ skandynawsko-rosyjsko-niemieckiej. Pławiłeś się w tem i grałeś namiętnie, co nie przeszkadzało ci być fanatycznie polskim od stóp aż po czubek głowy. Dość, że zostaliśmy „na ty“ i okryłeś mnie jak Mefisto swą peleryną, która niosła nas daleko, daleko. Nocą włóczyliśmy się po ciemnych, pustych ulicach Krakowa, do rana zawzięcie kłócąc się o każde słowo w Szekspirze. Grałeś Hamleta, ja Horacego. Niekończące się nigdy były to rozmowy! Pobudziły się dawno bzy na plantach i zaczęły pachnąć do szaleństwa, a myśmy gadali, gadali, gadali... I prawie wyłącznie o monologu „Być albo nie być“...

Tyle lat minęło a z Adwentowiczem dogadam się zawsze. Z innymi aktorami po większej części coraz mi trudniej mówić. Jakiś miesiąc temu, zgłośa niepotrzebnie poniosło mnie za kulisy w Warszawie. Grali tego wieczoru „Mar...ysię Stuart“ z przeziłą w swym tragizmie Malicką. Ależ to dziwne

wrażenie znaleźć się po długiej, długiej niebytności za kulisami w garderobie! Pomyśli ktoś, że uderzył mi do głowy „zapach szminek“. Przedewszystkiem trzeba raz skończyć z tym „zapachem“, ponieważ dobra szminka jest właściwie bezwonna, poza tem zaś doznałem jakiegoś wręcz bolesnego rozczarowania, z którego do tej pory nie umiem sobie zdać sprawy. W każdym razie żałuję, że tam poszedłem. Aktorzy właśnie nakładali peruki. Jeden z nich, łysy jak kolano, włożył sobie bujne, złociste kędziory. Drugi lepił nos rzymski na swoim słowiańskim. Inny znowuż naciągał watony, które jego wątłym, wyklówaczowatym łydkom nadać miały kształt marmurowy. Patrzyłem na ich charakteryzację i ubieranie się, pełen zwątpienia i wewnętrznego smętku. Taka jakaś tragiczna była dysproporcja, taka przepaść śmiertelna między jałową łysiną i chudą rzeczywistością zakłamanych łydek a bogatą fikcją teatralną, między nosem mazurskim a rzymskim, że owa peruka, nasenkit i watony wydały mi się wogóle symbolem sztuki aktorskiej.

Oczywiście, jest sztuk aktorskich tyle, ilu jest aktorów. I to może całe szczęście! Jedni bez watonów, bez przyklepionego nosa żyć nie mogą, ponieważ watony, peruka i nasenkit grają za nich. Inni znowuż obywają się bez tego wszystkiego. Grają sobą. Do tych drugich należą właśnie Adwento-

wicz. Dla genialnego Kamińskiego — nie chcę przez to pomniejszać go nawet o milimetr — połowa roli to była peruka. Na szczegóły kostjumu



„Tu szczyt! Lękam się spojrzeć
W przepaść świata ciemną!...“

kładł wyjątkowy nacisk. Jest nawet legenda o spodniach Kamińskiego: był w krakowskim teatrze krawiec, Hyży, który słynął ze świetnego kroju spodni, Kamiński do miary kładł się na stole, a Hyży szkicował krój na papierze...

Adwentowicz mógłby grać goło, jak go Pan Bóg stworzył. W szczerem polu, bez kurtyny, bez

dachu nawet. Jest mu wszystko jedno. A już na perukę gwiżdże. Obojętne mu, gdzie, z kim, w jakim kostjumie. Byleby publiczność przyszła. A potem puścić tę nędzną mamonę prędko, jak się tylko da najprędzej. I znowu jutro gdzie indziej! Raz przypadek jakiś zaniósł mnie podczas wojny na gościnny występ Adwenta w Piotrkowie. Grał „Kordjana“. Nie zapomnę tego spektaklu do końca życia, szczególnie zaś sceny improwizacji na szczycie Mont Blanc. Dekoracja przedstawiała mianowicie swojską łączkę, na której wznosiła się mała chatka, czysto ubielona. Opodał dwie brzoźki, płot drewniany i na nim zawieszono garnki. Zdaje się, że jeszcze z prawej, w drugim planie, modrą wstęgą przewijał się szemrzący, „stylizowany“ strumyk...

I na tem tle Adwentowicz zaczął:

»Tu szczyt! Lękam się spojrzeć w przepaść świata ciemną!
Spojrzę... Ach, pod stopami niebo i nad głową
Niebo... Zamknięty jestem w kulę kryształową.
Gdyby ta igła lodu popłynęła ze mną»
i t. d., i t. d.

Ale grał tak sugestywnie, że ludzie zapomnieli o łączce zielonej, o garnkach, suszących się na płocie, a modry ruczaj, płynący w drugim planie, zamarzał na kamień. Bo nawet w tych warunkach Adwentowicz umiał błyskawicznie wytworzyć sztuczne powietrze górskie... Taki to majster!

Bezsporne jego królestwo to nerwy widowni. Umie sięgnąć ludziom do głębi flaków i zatargać wszystkimi bebechami. Robi to zresztą bez litości, bez skrupułów. Trzyma widownię twardo za pysk. Pamiętam w „Tańcu śmierci“ Strindberga niemą, a trwającą może z kwadrans scenę, w której jest sam Adwentowicz. Nie mówi przez ten czas ani jednego słowa! Na widowni cicho, jak makiem zasiał. Ludzie boją się odetchnąć, Adwent zaś w swem milczącym solo preparuje widzom nerw po nerwie, dobywa je powoli, nie spiesząc się, obskrobując z mięsa na zimno, bez znieczulenia... O, kochany Karolu!

Niekiedy zaś umie wywołać zbiorową histerję. Za dawnych lat, gdy w warszawskim Teatrze Małym grywał „Ojca“ Strindberga, policja (jeszcze rosyjska) z urzędu kontrolowała bileterów i woznych, czy mają przygotowaną wodę do trzeźwienia publiczności. Podobno panie, zwłaszcza w momencie, gdy bohater przywdziewa kaftan bezpieczeństwa, mdlały całymi rzędami. Prostu nie wypadało nie zemdleć! Przez widownię szedł mróz. Tego już nikt tak nie zagra.

Mówiąc o tych właśnie rolach, nie chcę ograniczać skali Adwentowicza, która jest wręcz olbrzymia. Obejmuje np. Słowackiego (Książd Marek, Zborowski, teraz Mazepa) sięgając aż po np. Molnara „Bajkę o wilku“. Głównie jednak Strindberg,

Ibsen et Comp. nadali Adwentowiczowi charakter odrębny, wyróżniający go w teatrze polskim. Z „Upiorami“ objechał dosłownie całą Polskę. Nie było dziury, gdzieby jego Oswald nie wystąpił bodaj dwa, trzy razy. Bo Adwentowicz, nieustrudzony Peer Gynt-wędrowiec, nigdzie, nigdzie długo nie zagrzał miejsca. Gardził stałym engagement — przynajmniej taką ma opinię. Sam twierdzi, że bywało inaczej, że robiono wszystko, co się dało, aby mu umożliwić wyjazd... Ale może tych spraw nie godzi się tykać przy jubileuszu. To pewna, że ten niespokojny człowiek o szerokiej ręce i sercu najlepszym, ta wybitna inteligencja, ta indywidualność rzeczywiście niepospolita rozsadzała ramy teatrów siłą talentu, gardząc szablonem, burzując formą życia i dążąc ciągle dalej i dalej. Może to było jego fatum?

Szczery artysta. Całą gębą. Myślę sobie często, jaka to szkoda, że właśnie on nie wyszedł nigdy na świat szeroki, że nigdy nie grał na scenach niemieckich. Moissi przy nim to manjera, to dosyć płytki szablon. O ileż uboższy w ekspresji, chłodny, pozbawiony żywiołu. Gdyby Niemcy ujrzeli Adwentowicza np. w takim „Ojcu“, poszaleliby chyba! Mógłby jeździć od miasta do miasta, nie rozcharakteryzowując się.

Ale nie wytrzymałby długo. Wyrwałby po kilku miesiącach. Bo z kimże wieczorem po spektaklu

śpiewałby pieśni góralskie? „Hej, idę w las, piórko mi się migoce...“ A potem repertuar legjonowy. Wszystkie Hanisie i Rozmaryny i Łączki zielone. Tak będzie pewnie i na wtorkowej uczcie po jubileuszu. Duchem tylko będę obecny, ale wieloletnie doświadczenie i rutyna sprawia, że proroczem okiem widzę, co się tam będzie działo...

Ma Adwentowicz zwyczaj fatalny: mianowicie pijąc świetny koniak najlepszej marki, przegryza... cebulą. Zwyczajną, ordynarną cebulą. Niecierpię tego, ale teraz wyjątkowo nie protestowałbym. Widzę bowiem, że właśnie cebula ma pewien sens głęboki. Zahacza bezpośrednio o... Ibsena. O tę scenę, gdy Peer Gynt wraca z dalekich stron. Pamiętam ją: Peer Gynt bierze do ręki cebulę i zaczyna odrywać warstwę po warstwie, łupinę po łupinie. Chce dojść do jądra, którego w cebuli niema wcale... Po odrzuceniu ostatniej łupiny pokazuje się, że tam niema nic...

To bardzo smutna scena i świetnie ją referował Adwentowicz. Ale teraz, na tej uczcie jubileuszowej wielkiego króla cyganów, sam kazałbym podać cebulę. A muzykę poprosiłbym o Griega. I przy tym akompaniamencie zaczęlibyśmy odrywać te warstwy. Mam wrażenie, że wyjątkowo, wyjątkowo doszlibyśmy do czegoś, co po odzarcie wszystkich wierzchnich warstw przecieży...

Wydaje mi się, że to coś byłoby ze szczyrego złota. Może... serce? Może... sztuka? Nie wiem...

Ale cebula zazwyczaj łączy wyciska...

O, kochany Karolu!...

BARBARA UBRYK

(Na marginesie XIV Zjazdu Psychjatrów Polskich.)

Nazwisko znane głównie z opowiadań ludzi starszych i z romansów kryminalnych, postać zaś historyczna do pewnego stopnia i prawdziwa ponad wszelką wątpliwość. Od roku 1848 do 21 lipca 1869, a więc przez dwadzieścia jeden lat, nieszczęsna mniszka żyła dosłownie zamurowana w mikroskopijnej celi. „Pieca tam nie było, ponieważ chora uszkodziła go...” (Wachholz „Szpitale krakowskie“, t. II, str. 18).

Uszkodziła piec... W jaki sposób? Prawdopodobnie zębami. Przecież w celi nie było nic, nawet słomy. Działo się to przed jakimiś ośmdziesięciu laty...

Dnia 27. IV. 1931 roku posterunkowy F. i posterunkowy B. doprowadzili do komisariatu I-go P. P. w Krakowie chorego umysłowo Juliana L., który na ulicy dostał ostrego szału. Szpital św. Łazarza nie przyjął furjaty z powodu chronicznego przepełnienia oddziału. W komisariacie zatem nałożono mu kaftan bezpieczeństwa. Gdy to nie po-

mogło, dodano jeszcze kajdanki na nogi. Trzymało go dwóch posterunkowych na zmianę. „Gryzł podłogę i wszelkie przedmioty, których mógł się czepić zębami, do tego stopnia, że chwyciwszy piec, zębami wygryzł kawałek kafla“... (Raport komisarjatu z dnia 12. V. 1931 r. L. 600/U/ 31).

— — — — —

Nie mogę pisać. Nie da się. Jeszcze jeden taki raport a człowiek sam zacznie gryźć pióro albo nawet palce. Aby nie krzyczeć z bólu. Ten człowiek odgryzł kafel! Jak Barbara Ubryk! W roku 1931! W Krakowie, który (jak i Polska, wogóle) za dawnych, dawnych lat wyprzedzać miał pono na polu opieki nad umysłowo chorymi Europę zachodnią, w Krakowie, gdzie już w roku 1534 był pierwszy przytułek dla obłąkanych „pro curandis mente captis“, gdzie później istniała specjalna „Kamienica szalonych“, gdzie już pod koniec XVII wieku myślano, aby otworzyć jakieś sanatorium dla alkoholików, alias „dla zapamiętałych pijaków“!... Co dzieje się wobec tego na zapadłej prowincji?! W województwach, które wogóle nie mają zakładów dla obłąkanych? A jest takich województw w Polsce aż pięć. Ilu warjatów, przykutych łańcuchem, gnije po stajniach i chlewach? Przecież pewien chory w Kobierzynie, dawno już przyjęty, do dziś dnia siedzi skurczony, zachowując tę samą pozycję, jaką musiał być utrzymywać stale w chlewie,

gdzie zamknął go brat rodzony. Kain na policji tłumaczył się, że nie mógł opłacać szpitala za młodszego brata... Z tego samego źródła mam informację, że w ostatnich czasach pewien umysłowo chory, nie przyjęty do zakładu, zabił dwoje własnych dzieci, inny zaś, czekający, aż „opróżni się“ dla niego miejsce, zamordował swoją matkę, siostrę i jeszcze kogoś w naddatku... Czekal w kolejce! Albo... Ach, może już dość będzie!

Przepraszam, najgoręcej przepraszam, że o tych właśnie sprawach piszę przy niedzieli! To gruby nietakt z mej strony. I ktoś może moją „Barbarę Ubryk“ uznać za zwyczajny... „Wybryk Babrały“ niedzielnego. Wszystko mi jedno. A wogóle jak się to stało, że ten właśnie temat narzucił mi się dzisiaj? Rzecz zupełnie prosta: po powrocie z dłuższej podróży „wypoczynkowej“ na statku „Kościuszko“ stałem się tak przykry i niebezpieczny dla otoczenia, że wreszcie odesłano mnie ciupasem do neurologa. Wziął mnie w kurację, ale nie wziął pieniędzy.

— Od brata dwóch lekarzy? I do tego od pana, panie Zygmuncie?! Mowy niema.

I nie wziął. W rezultacie kosztowało mnie drożej, musiałem bowiem wypisać piękną dedykację na mojej ostatniej książce pt. „W pogoni za formą“ i posłać w prezencie. Prof. Artwiński uznał za wskazane zrewanżować się i przysłał swoją

k iążkę. Rzuciwszy okiem na tytuł, zemdlałem bezwzględnie. Cucono mnie przez jakąś godzinę. „O leczeniu porażenia postępującego“... Miły podarek!

— — — — —

Położyłem ją na środku stołu. A że oprawna jest czerwono, działa na imaginację w sposób wręcz niesamowity. Krążę dookoła i powoli wchodzę w jej zgubny zasięg. Ta książeczka jak magnes ściągnęła inne, skutkiem czego coraz bardziej brnę w tej suggestywnej literaturze. Chwilami mam wrażenie, jakgdybym już stał w ogonku u wrót Kobierzyna, czekając aż się coś opróżni...

— — — — —

Na dobrą sprawę niema człowieka, któryby miał wszystkie klepki w absolutnym porządku. Oczywiście, bywają wypadki i bardziej jaskrawe. Według niezmiernie przekonywającej statystyki dra Bednarza (Dr. Łuniewski „Nasza gospodarka psychiatryczna w świetle 1926 roku“) zarejestrowano w Polsce 21.922 chorych, czyli jeden „zarejestrowany“ chory przypada na 1.225 zdrowych. Tyłu jest zarejestrowanych... Ilu jest naprawdę? Czy jakaś lotna komisja psychiatryczna bada biura, urzędy, czy jakiś specjalista chodzi bodaj od czasu do czasu po referentach? Czy nie powinno się wziąć pod obserwację n. p. autorów ustawy scaleniowej? Albo zbadać porządnie tych, którzy opracowali nową taryfę telefoniczną? Rzucam pierwsze lepsze

przykłady, jakie mi się nawijają, ale to pole wręcz olbrzymie! I wogóle nie zawadziłyby jakiś naczelny organ, jakaś najwyższa Izba kontroli psychiatrycznej. Byłoby to coś w rodzaju państwowej psychoprofilaksy. Ale o tem może niżej.

— — — — —

Czy zauważyli państwo, że u nas wogóle jako prawie jedyną kwalifikację na różne dygnitarstwa podaje się — „pracował społecznie?“ — albo, że jako najważniejszy moment zastępujący nie tylko wyższe, ale nawet studja wogóle, podaje się „był dłuższy czas w Japonji“ itd.

Albo: manja kwestjonariuszy. Naprzykład pewien naukowy pracownik Uniwersytetu poznańskiego przysłał mi kwestjonariusz, jaki mu kazano wypełnić. Punkt 22 wymaga podania „stopnia pokrewieństwa lub powinowactwa funkcyjarsza państwowego z osobami pozostającymi na służbie w centrali Ministerstwa Oświaty“. Otóż jakiś urzędnik zeznał, że ma krewniaka w ministerstwie, nie podał jednak jego nazwiska. Ministerstwo odwrotnie zażądało szczegółów, wobec czego urzędnik wyjaśnił, że ten kuzyn jest... woźnym w jakimś departamencie. Minister odechnął... Punkt 23 opiewa „Charakterystyki trwałe, np. kalectwo funkcyj. państw. itp. (żony, męża i dzieci)“. Jakaś urzędniczka musiała podać o sobie, że ma rupturę pachwinową prawostronną. Pod

„mąż“ wypisała szczerze jak na spowiedzi „hemo-roidy“, pod syn „zwyródnienie prostaty“, pod córka... I niech mi kto powie, naco te pikantne szczegóły potrzebne są ministerstwu? Co gorsza, jest jeszcze punkt, który opiewa „Charakterystyki trwałe, np. kalectwo funkcj. państw., niedorozwój umysłowy“. Zatem funkcjonarjusz państwowy sam będzie zeznawał o własnym niedorozwoju umysłowym?! Horrendum! Czy twórca kwestjonarjusza nie powinien zawędrować do separatki?

Albo: kawały na cła. Pisze mi pewien malarz ze Lwowa, że dla pisma „La revue moderne“ wysłał własne, a w Polsce zrobione klisze. Redakcja po sporządzeniu reprodukcji zwraca klisze pocztą, ale ich właściciel musi we Lwowie zapłacić 150 zł. cła. Udowadnia, że to klisze krajowe. Mówi: „Nie nie szkodzi. Trzeba było przed wysłaniem klisz do Francji wniesć podanie do ministerstwa skarbu z przedstawieniem i prośbą o oplombowanie klisz i zwolnienie ich od cła po powrocie. Nieuszkodzone plomby stanowiłyby dla urzędnika dowód krajowego ich pochodzenia“. I gadaj z takim? Jakże owa revue mogłaby reprodukować klisze... oplombowane? Rzecz prosta, malarz — jak malarz, pie-niędzy nie miał i klisze odesłał zpowrotem do Pa-ryża. Wędrują sobie...

Albo paszporty zagraniczne. Zamurowani je-steśmy od lat niczem Barbara Ubryk, a na kontyn-

gentach paszportowych robią doskonałe interesy przeróżne prywatne, nierzadko plantatorskie instytu-cje.

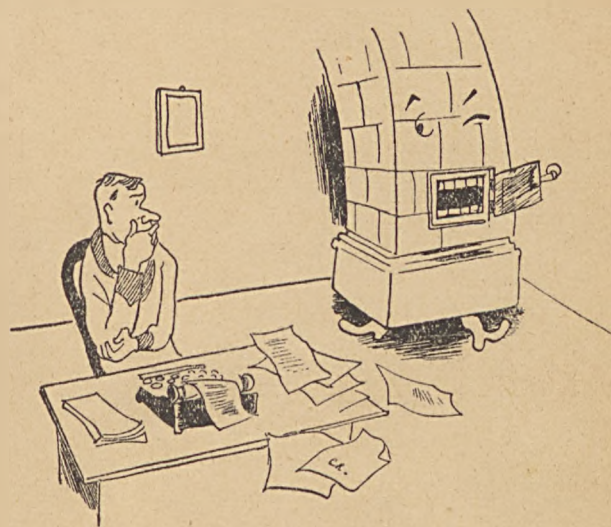
Powoli, powoli dostajemy kręcka. W każdym ra-zie brakuje nam już niewiele. Szczęśliwym zbie-giem okoliczności wdał się w te sprawy Ogólno-pol-ski Zjazd Psychjatrów, który wczoraj zaczął obra-dy w Krakowie, od razu przystępując do sedna rze-czy. Tak więc pierwszy referat, zgłoszony przez Dra Zielińskiego, ma znamienity tytuł „Rola konstytu-cji w zaburzeniach psychiczno-reaktywnych“. Po-wie ktoś, że prof. Zieliński ma na myśli konstytu-cję jako organizm ludzki? Nic podobnego! Je-stem przekonany, że w tej zakonspirowanej for-mie Zjazd zajmie się całokształtem naszego życia politycznego, społecznego, prawno - państwowego itd., itd. Tak więc jeden z następnych referatów (Dra Kirschnera) ma za temat „Omówienie badań konstytucyjnych w nerwicach“. Czy tu koniecznie trzeba kropki nad i? Gdyby jednak ktoś miał je-szcze wątpliwości, zwracam jego uwagę na referat Dra Prägera p. t. „Reakcja uczuciowa powypadko-wa i jej ocena w przewodzie odszkodowawczym“. Jakaż to może być reakcja uczuciowa powypadko-wa? Przecież zjazd odbywa się właśnie w maju! O, idę bezwarunkowo na ten odczyt! O ile władze nie zabronią dalszych obrad. Chyba nie, ponieważ

następny referat sprytnie wziął sobie za zadanie „Etjologję (Dr. Szpakowski) i symptomatologję (Dr. Korzeniowski) psychoz więziennych“. Dla zamydlenia oczu policji będą mówili o Brześciu... Nadto, tytuły są podane w skrócie. Piszą więc np. „Dwa przypadki późnej padaczki“. I kropka. Ale łatwo domysleć się można, że mowa o wypadkach późnej padaczki w Izbie skarbowej. Albo: niby to pisze się „Kilka uwag o zachowaniu się płynu mózgo-rdzeniowego w psychozach funkcjonalnych“. Mowa będzie na pewno nie o psychozach funkcjonalnych, ale o psychozach funkcjonarjuszów. Wreszcie kwestje ekonomiczne omawia Dr. Kupeczyk w referacie pt. „O leczeniu depresji dietą“. System, który państwo stosuje u nas od dawna...

Słowem, ileż zmysłu praktycznego, jakie poczucie aktualności u naszych psychiatrów, których Zjazd niejako samorzutnie staje się czemś w rodzaju Zgromadzenia Narodowego...

A teraz z innej beczki. Trochę cyfr. Według ostatnich obliczeń 12.215 obłąkanych, w tem 1.798 furjatów, nie znalazło pomieszczenia w jednym roku w szpitalach dla umysłowo chorych. Polska rozporządza jednym „łóżkiem psychiatrycznym“ na 2.630 mieszkańców, czyli że jedno łóżko wypada na 2.15 chorych. Inaczej mówiąc, można było ułoko-

wać tylko 45.3 proc. potrzebujących bezwarunkowo leczenia... Jak wspomniałem, pięć województw nie ma wogóle zakładów, województwo



Ciekawy jestem, czy ten narożny kafel jest bardzo miękki?...

kieleckie na blisko 300.000 mieszkańców rozporządza procentowo... jednym łóżkiem. Równocześnie — dla orjentacji — podaję, że np. w Niemczech przypada jedno „łóżko psychiatryczne“ na 453 mieszkańców, w Anglii na 254...

Wobec tego u nas... Wobec tego, nie kończąc bu-

dowy zaczętych pawilonów (np. w Kobierzynie), niedawno zamknięto wzorowo urządzony a zbudowany za niemieckich czasów szpital obłąkanych w Wejherowie, mogący pomieścić 1.000 chorych. Przeznaczono go na inne cele...

— — — — —

Same kropki w moim feljetonie. Kończąc, spoglądam tęsknie w stronę pieca.

Ciekaw jestem, czy ten narożny kafel jest bardzo miękki?...

KOMPLEKS PODBIPIĘTY

Dotychczas jeszcze nie było mnie w Kownie. Nie chcieli puścić! A teraz pewnie uprzedzi mnie znakomity kolega mój, Konrad Wrzos, który objechał całą Europę z dyskretnem zapytaniem: „Kiedy znowu wojna?“. Z tego właśnie powstał kapitalny, błyskawiczny reportaż, zebrany w grubym na oko tomie. Jednak Wrzos Kowno zostawił sobie na deser. O ile normalnie pobyt swój w innych stolicach przeciągał do pięciu minut, niekiedy nawet do kwadransa, o tyle w Kownie zabawi nieco krócej. Udramatyzowany wywiad z prezydentem Smetoną wyobrażam sobie następująco:

SCENA 1.

Osoby: Prezydent

Konrad Wrzos

Wajdelota przyboczny

Pojata, córka Lezdejki

Kapłani, paziowie, rycerze, lud.

(Dekoracja przedstawia pałac prezydenta. Umeblowanie skromne w stylu restauracji. Na pierwszym planie z lewej podręczny znicz, na który

chucha Pojata, córka Lezdejki. W głębi posąg Perkuna. Wchodzi przyboczny wajdelota, anonsując.)

Wajdelota przyboczny: — Konrad...

Prezydent: — Wallenrod?

Wajdelota: — Wrzosajtis, reporterauskas Dąbrowskajtisa...

Prezydent: — (niecierpliwie macha ręką, co ma oznaczać: „Znam, zanadto dobrze znam!“).

— Wprowadzajtis!

(Wajdelota wychodzi. Pojata dolewa oliwy do znicza.)

Prezydent: — (n. s.) Jalu Kurjerek Codzien-
ny... (wzdycha, p. chw.) O, Herbaczewski, czemuś
mnie opuścił?!... (ociera łzę)

SCENA 2.

(Ciż, Konrad Wallenrod Wrzos.)

Prezydent: — (z rezygnacją). Interwiewajtis!

Konrad Wrzos: (Jest nieco bledszy, niż zazwy-
czaj. Ubranie i włosy po przebyciu granicy są
w nieładzie.)

— Panie Prezydencie, kiedy znowu wojna?

Prezydent: — Słuchać hadko...

(Posąg Perkuna grzmi nieznacznie. Konrad
Wrzos notuje szybko, rozdrabniając dwa słowa
Prezydenta do 200 wierszy petitu. Następnie mil-

cząco prosi o podpis na fotografii dla czytelników
IKC. Prezydent dość niechętnie podpisuje się krzy-
żykiem i oddaje Konradowi Wrzosowi fotkę.)

Prezydent: — (do wajdeloty) Wyprowadzajtis!

Konrad Wrzos: — Uszanowajtis!

(Wyjeżdża pośpiesznie, deklamując „Skąd Li-
twini wracali“. Kapłani, paziowie, rycerze i lud
śpiewają rotę: „Nie damy Wilna, skąd nasz ród“.
Ogólne, ochocze tańce. Kurtyna.)

Jedyni w całym świecie rdzenni Litwini, których
oglądałem na własne oczy, to Litawor i Grażyna
z kamiennego pomnika na Plantach Krakowskich.
Bardzo sympatyczna para. On stale śpi. Nadzwy-
czaj zahartowany, ponieważ obywa się bez koszuli.
Tęgi jak sam Litwin z „Trzech Budrysów“.

Jednakże obraz Litawora przesłoniło nam już
od lat kilkadziesiąciu inne widziadło, namalowane
tak żywo i tak sugestywnie, że odtąd nie szkicuje-
my sobie Litwina w naszej imaginacji inaczej jak
tylko zapomocą następujących rysów: musi być
wysoki, bardzo silny i straszliwie chudy. Skóra
i kości. Brzuch ma tak wpadły pod piersią, iż mo-
żnaby go wziąć za głodomora, lubo ubrany jest
dostatnio w opiętą kurtę z sukna świebodzińskiego.
I ani na sekundę nie rozstaje się z olbrzymim mie-
czem, którym wywija nam pod nosem, powtarza-

jąc bez końca, że nie uspokoi się, dopóki nie od-
damy Wilna...

— Słuchać hadko... — odpowiadamy, zmienia-
jąc tym razem rolę...

Ponieważ on jednak macha swoim Zerwikaptu-
rem w dalszym ciągu, przeto ogarnia nas lekkie
znieczierpliwienie i mówimy:

— Panie, o tem Wilnie szkoda gadać! A poza
tem lepiej niech pan schowa scyzoryk do pochwy,
bo jeszcze może pan sobie oko wybić...

Następnie odsuwamy się o dwa kroki i zaczy-
namy obserwować Longinusa Podbipiętę. Zwolna
życzliwy uśmiech wypływa na wargi nasze. Powia-
damy sobie: Ktoby się miecza przeląkł, wnetby
się uspokoił, spojrzawszy na twarz właściciela.
Jest to twarz chuda, również jak i cała osoba, ozdo-
biona dwiema zwiśniętymi ku dołowi brwiami
i parą tak samo zwisłych, konopnego koloru wą-
sów, ale tak pocziwa, tak szczerza, jak u dziecka.
Owa obwisłość wąsów i brwi nadaje twarzy wyraz
stroskany, smutny i śmieszny zarazem. Wygląda
na człowieka, którego popychają...

Idę o grubych zakład, że ten właśnie obraz Litwina
wogóle, Litwina jako takiego, pokutuje w naszej
wyobraźni od dawna. Jeżeli w szkole nauczycielka
powie: „Narysujcie mi z pamięci Litwina“, wszyst-
kie dzieci na pewno zrobią kilka grubych kresek
według schematu Sienkiewicza. Nie mamy poję-



Jedyni w całym świecie rdzenni Litwini...

cia o nich, nie byliśmy tam, czytaliśmy zaledwie kilka wywiadów, inteligentną książeczkę Schumera, jeszcze kilka jakichś drobiazgów i na tem właściwie koniec. Niedawno dopiero oficjalny organ Emeszetu, tygodnik z natury bardzo agresywny, a wyprzedzający zazwyczaj o jakieś dwa tygodnie wszystkie pakti o nieagresję i wszystkie traktaty pokojowe, puścił w świat specjalny numer litewski. — Czytając te „Wiadomości literackie“, poświęcone literaturze, kulturze i aspiracjom litewskim — wyznaję — śmiałem się niekiedy. I to śmiałem się grubo. Jak sam Zagłoba. Było to bardzo z mej strony nietaktowne. Ale cóż robić? My mamy właśnie kompleks... Zagłoby w stosunku do Litwina. Śmiejemy się, nie traktujemy ich poważnie. Czytamy „Kłajpeda“, a myślimy sobie... „Kłaj“...

Winien temu jedynie Sienkiewicz, na którego tle wytworzył się u Litwinów głęboki uraz psychiczny. To obawa śmieszności. To zastarzały kompleks Podbiپیty, który czai się na dnie ich świadomości. Postaram się wyjaśnić i udowodnić, że nie przesadzam ani trochę. Ten mocno zabarwiony uczuciowo ośrodek psychiczny wyobrażeń, który wywołuje histerję, a nawet zakłóca normalne funkcje organizmu, związany jest jak najściślej z Trylogją. Oni sami przyznają się do tego! Sienkiewicz, nie kto inny, utrudnił nam pożyte z Litwą kowieńską. Da-

rują nam wszystko, wybaczą może nawet Wilno, ale Podbipięty nie zapomną nigdy. To główny kamień obrazy.

Kompleks ten, występujący — choć w odmiennej formie — u nich i u nas, silnie złączony jest z wczesnem dzieciństwem. Widzimy Litwina przez pryzmat Sienkiewicza, skutkiem czego w każdym wypadku, w każdej akcji politycznej czy sąsiedzkiej wygląda on „na człowieka, którego popychają“... A to właśnie do furji doprowadza Litwinów!

Posłuchajmy, co oni sami mówią: „Nikt zatem, rzec można, nie oczernił Litwina tak, jak Sienkiewicz, jak wasza literatura!“ — pisze p. Jonas Kosu-Aleksandrowicius, podobno najwybitniejszy poeta młodego pokolenia. Sienkiewicz oczernił!... Mało tego: „Był n. p. taki, dobrze wam znany, Henryk Sienkiewicz, który chciał pogłaskać Litwina i nagle — uszczypnął go. Stworzył prototyp Litwina-Podbipiętę! Gdybyż choć nazwał go Pamusztkulnisem, lecz nie! Podbipięta — i jeszcze uważa się za Litwina... Wyświadczone nam prawdziwie niedźwiedzią przysługę...“

Zaraz, zaraz! Nie nazwał Sienkiewicz swego rycerza sans peur ni reproche „Pamusztkulnisem“, ponieważ to nie jest po ludzku. Tego nie tylko człowiek nie wymówi, ale nawet pozornie bezduszny Underwood nie wypisze. Pamuszt... A, żeby was!... Następnie „Sienkiewicz uszczypnął“, oddał „nie-

dźwiedzią przysługę“... Na pewno zrobił to nienau-myślnie, chciał jak najlepiej. Tylko Sienkiewicz ma zawsze pecha: to Ukraińców doprowadzi do takiego stanu rozdrażnienia, że zaraz trzeba pacyfikować Małopolskę Wschodnią, to znowuż zdenerwuje Niemców łódzkich, to Szwedów zirytuje „Potopem“ do tego stopnia, że podwyższą cenę zapalek, to Litwinów przyprawi o histerję... A, skara nie boskie...

Podbipięta... Przecież to postać ukuta ze szczerego złota i z przeźroczystego kryształu, poprzez który widać serce. Gdy czytamy o jego wyprawie i śmierci, chwyta nas coś za gardło. Ale gdzie indziej... śmiejemy się na całe gardło. Bo już taką mamy nieznosną naturę, że lubimy się pośmiać. I to nam bardzo szkodzi na terenie międzynarodowym. N. p. Czesi nigdy, przenigdy nie ukradliby nam Śląska, gdyby nie to, że się z nich podśmiewamy. Wystarczy zamienić dwa słowa z Czechem, aby zacząć śmiać się. Rzeczywiście, jesteśmy niepoprawni!

Ale ten Sienkiewicz! Bo z Mickiewiczem była zasadnicza pomyłka. Czytamy więc w wspomnianym litewskim numerze „Mickiewicz trafił do naszej literatury jak trafia niekiedy pismo do niewłaściwej kancelarii; przyjdzie czas rewizji i wysłamy je przy pierwszej okazji... Co do Mickiewicza oszukaliśmy się...“ No, w każdym razie mamy

wyjaśnioną sytuację. Nie przeszkadza to bynajmniej, że w tym samym numerze pan Juozas Ke-liuotis mówi właśnie o Mickiewiczu, jako naszym „wspólnym poecie“, że p. Atanas Venclova wspomina „wiele jego utworów weszło do wypisów szkolnych“, że naprzekór temu, iż „Konrad, Grażyna, to typy zupełnie zachodnie“, przecież reprezentacyjna opera litewska ma tytuł... „Grażyna“ itd., itd. Dodajmy, że w muzeum wojennym na marmurowej tablicy (niedaleko od kopji „Grunwaldu“ Matejki) jest napis „Litwo, ojczyzno moja“... Po polsku.

No, ale na upór niema lekarstwa. Nie chcą się do nas przyznać, odwracają się tyłem przy spotkaniu, robią nam afronty itd. Chcą być sobą. I mają świętą rację. Z ich wyznań tryska ambicja, werwa, młodość. Nic dziwnego. Pierwszy ich krok w literaturze datuje się od roku 1547. Wtedy zaczęli się. Lud i język. Teatr urodził się im dopiero przed kilkunastu laty, w 1919. Wtedy, gdy nasza najmłodsza naiwna miała już pod sześćdziesiątkę. Tego im zazdroścę. Idą naprzód bez bagażu. A pracują nad podziw, tworząc samych siebie prawie z niczego, sięgając do głębi ziemi. Narazie zanotowali 15.000 pieśni gminnych. Ma ich być pono 150.000! Bogaty kraj!

Szkoda wielka, że nie znamy się. Mam wrażenie, że gdyby na początek trzech Litwinów wybrało się

do nas i gdyby trzeci z kolei wracał po jakimś czasie, ojciec nie pytałby już, co wiezie, ponieważ wiedziałby i tak, że to „Laszka synowa“... W tych słowach posyłam jajko wielkanocne pokoju. I nie sądzę, aby na nie odpowiedziano jajami... zgniłemi.

Sam zaś wybrałbym się chętnie, aby zobaczyć, jak kraj, lud, jego wielkość, ambicja, duma, świadomość urosła z pieśni gminnej. Tej pieśni, która uszła cało, gdy płomień rozgryzł malowane dzieje, gdy pożar objął cały dom, gdy dachy runęły...

A teraz budujecie tam dach, stawiacie dom. Dom z... pieśni! Jakież wiersze płaczą mi się po głowie, wiersze o tejże pieśni... Zapomniałem, kto je napisał, kto wam to wyprorokował... Któżby to mógł być?!

Ach, prawda, Mickiewicz!...

ILORAZY URZĘDNICZE

Zaczął się wszystko od tego, że kupiłem sobie „Głos niższych funkcjonarjuszów i pracowników państwowych“. Stało się to przypadkiem, ale potem zabrnąłem dalej. Niebezpieczna lektura. I porywająca zarazem. Skutek jej był taki, że namiętnie zacząłem kupować analogiczne organy średnich i coraz to wyższych pracowników, jakoto „Głos Kolejowca“, „Kolejarza-Związkowca“ lub całkiem poprostu „Kolejarza“. Nie przestając na tem, za-fundowałem sobie jeszcze „Konduktora“, potem dla kompletu „Maszynistę“. Przy sposobności poznałem przeróżne tytuły, jak np. „starszy dyspozytor ruchu“, „starszy torowy“, „starszy nastawniczy“, „starszy ustawiacz“... Są i młodszy torowi, są litylko torowi. Są i „wdowy po konduktorze 1-ej klasy“... Nie wiem dlaczego, ale uśmiechnąłem się przy tym tytule, choć żał mi tej kobiety, że owdowiała tak wczesnie... „Wdowa po konduktorze I-ej klasy“... To brzmi tak, że miałbym ochotę zanucić walczyka „Serce milczy, dusza śpiewa: kocham cię...“.

Zkolei a zarazem z kolei kupiłem sobie, idąc

w coraz wyższe sfery, „Pracownika miejskiego” i „Pracownika Samorządowego”. Potem, pnąc się dalej po szczeblach hierarchji, zrujnowałem się na „Życie urzędnicze”, na „Biuletyn urzędniczy”, na „Czasopismo skarbowe”, na „Nauczyciela polskiego” i na wiele, wiele innych organów, których istnienia nie przeczuwałem nawet. Ależ to świat cały! A właściwie tysiące światów!

Np. posłuchajmy głosu gajowych państwowych: skarżą się, że „zostali zepchnięci niżej najniższych pracowników państwowych”... Nie wiem, do kogo piją, mówiąc o najniższych, ale to jest intrygujące. Dałbym nie wiem co, aby zobaczyć najniższego pracownika państwowego! Do diabła, kto to może być? Jak on wygląda!? I co robi? Chyba... ale nie! Dajmy spokój! Świństwo jakieś przyszło mi na myśl... Wyobraźnia moja pracuje pełną parą, jednakże nie widzę ciągle jeszcze tego najniższego. Może ci gajowi przesadzili? Może wogóle nie było najniższego?

„Najniższy”... To byłoby głupstwo, ale teraz, po przeseregowaniu, ten najniższy został jeszcze cofnięty o jedną grupę. Boże, gdzie ten człowiek się znalazł! Gołem okiem nie można go dojrzeć. I jeszcze obcięli mu pensję... Przecież to nie człowiek, ale jakiś pyłek, drobina, molekuła! O ile ustawa scalenkowa rozbiła atomy urzędnicze na ułamki, o tyle reforma uposażeń przeseregowuje te

ułamki. Oczy można stracić na tem. Cóż za piekielna robota!

Nożyce płac polskich urzędników i funkcjonariuszów państwowych mają fantastyczną rozpiętość i podobno wyrażają się w cyfrach 3.225 zł. — 115 zł. miesięcznie. „Podobno”, bo już na przykładzie gajowych przekonuję się, że to nieprawda. Gajowi biorą zasadniczo po 60 zł. miesięcznie, a razem z żoną, dziećmi i innemi deputatami mają 83 zł. 75 gr. na miesiąc. I pytają: „Czy można, Panowie Ministrowie, za 83 zł. miesięcznie wyżywić i ubrać siebie i rodzinę!?”.

A ministrowie... E, gadaj, gajowy, do ministra! Piszę zupełnie bezinteresownie, ponieważ nawet na lekarstwo nie mam gajowego w rodzinie, jeżeli zaś zajmuję się tymi właśnie pracownikami, czynię to jedynie z powodu, że „zostali zepchnięci niżej najniższych”. Któż więc zajmie się nimi, jeżeli nie ja?! Ja i „kochany Kurjerek”...

Na mikroskopijnym przykładzie gajowych obsługuję, do jakiego stopnia w świat funkcjonariuszów państwowych zakradł się bakcył fermentu, niepokoju, a nawet — do pewnego stopnia — zrozumiałej zazdrości lub zgoła zawiści. Jedni porównują się z drugimi. Najniżsi z odrobinę wyższymi, wyżsi z jeszcze wyższymi i t. d., i t. d., a wszyscy porównują uposażenie własne z uposażeniem wojska. Twardy i nieco radykalny „Konduktor” pisze

zupełnie otwarcie à propos reformy uposażeń: „Te-
go się nie da nigdy usprawiedliwić w sposób, oparty
na słuszności społecznej, iż pracownikowi, zarabia-
jącemu dziś za ciężką pracę 100 zł. miesięcznie,
trzeba odjąć 7 zł., a pracownikowi, zarabiającemu
np. 1.000 zł., trzeba 400 dołożyć“. Gdzie indziej
spotykam się ze zdaniem, że „przeciw reformie wy-
powiedzieli się wszyscy“ z wyjątkiem tych, którzy
na reformie zarobili, t. j. „wyższych urzędników“...
Oto vox populi, może przesadzony, czy nieuza-
sadniony, niemniej jednak wcale znamienny.

Gajowi są skromniejsi. Ale na policję patrzę
krzywem okiem. Ponieważ m. in. policja „otrzy-
muje pełne umundurowanie i buty co roku, oprócz
tego kożuszki na zimę i peleryny na deszcz, gajowi
zaś otrzymują umundurowanie co dwa lub trzy
lata, bez butów i peleryn pomimo tego, że służba
gajowego właśnie w deszcze i inne zawieje śnieżne
wymaga jego obecności w lesie, gdyż przeważnie
w tym czasie złodzieje lasowi najwięcej kradną“. Świąte słowa! Najwięcej w tym czasie i na to nie
poradzi nic, chyba jakiś okólnik ministerjalny, któ-
ryby wyznaczył złodziejom inną a pogodniejszą
porę.

Kończę już z gajowymi, którym zachciewa się
pelerynki, jak proboszczowi. Faktem jest, że do-
stają umundurowanie co dwa lub trzy lata. Nato-
miast kuratorjum w Brześciu n. B. przeprasza

swych pracowników, mówiąc z jakąś ujmującą
szczerością, że „wyasygnowaniu niższym funkcyj-
narjuszom Okręgu należności z tytułu zwrotu ko-
szków umundurowania stoi na przeszkodzie brak
kredytów, nie otwartych dotychczas przez Minister-
stwo W. R. i O. P.“. Ano, to co innego! Przynaj-
mniej wytłumaczą grzecznie!

Jeszcze lepsze formy towarzyskie ma w tym wy-
padku województwo stanisławowskie, które zwraca
uwagę dróżników, że „tysiące bezrobotnych nawet
z akademickim wykształceniem w gorszym są od
nich położeniu materialnem“... (Nr. pisma KD.
2/29). Naprawdę nie można tego załatwić w spo-
sób bardziej salonowy. Dróżnika porównuje się
z człowiekiem, mającym akademickie wykształce-
nie! Wersal! Przecież taki dróżnik uzna to za fa-
wor, zamknie gębę i przynajmniej przez rok bę-
dzie siedział cicho! Można go spokojnie zawiado-
mić w dniu 13-go listopada, że już wypłacono za-
liczki na sześćdziesięciozłotowe pobory za... wrze-
sień. 13-go listopada!

Nie jestem ani trochę demagogiem. A sprawa
urzędnicza, zwłaszcza zaś sprawa zaszeregowania,
nowych uposażeń, nowych postanowień emerytal-
nych ma wysokie napięcie i ogromny ciężar gatun-
kowy, który ołowiem spadł i na mój feljeton. Jest
na tej sprawie czerwona strzałka, naśladująca wę-
żową linję pioruna, i napis „Bacność“! Dlatego

też uważam i obchodzę zdaleka to wulkaniczne zagadnienie. Zbliżywszy się odrobinę, zostałem oszołomiony. I rzekłem sobie, że lepiej dać pokój tematowi, który przerasta moje wiadomości z dziedziny arytmetyki. Żeby zorjentować się w tem przeszerzegowaniu, trzeba zgrusza bodaj znać rachunek różniczkowy. Do niedawna słyszeliśmy często o jakimś mnożniku, o dodawaniu jakichś punktów, obecnie zaś te dwa proste działania okazały się niewystarczające. Zniknęły nawet w zupełności, ustępując miejsca odejmowaniu i dzieleniu. Pensja urzędnicza, będąca jeszcze do niedawna sumą lub iloczynem, teraz stała się różnicą, względnie ilorazem.

Może w zasadzie było to konieczne. Zresztą, jak słusznie zauważył referent województwa stanisławowskiego, są ludzie w jeszcze gorszej sytuacji niż funkcjonariusze państwowi. Mianowicie ludzie bezrobotni. Jako człowiek stojący z zewnątrz a uprawiający nadzwyczaj wolny zawód, nieraz z zazdrością patrzyłem na urzędników. Tak jak gajowy na policjanta. Nie idzie mi wcale o peletynkę. Natomiast idzie mi choćby np. o taką zniżkę na kolei. Nie będąc akcjonariuszem niepodległości, muszę płacić pełną cenę. Poza tem w moim fachu niema automatycznego awansu. Po czterech latach nienagannej pracy jestem, jak na samym początku, starszym „I. K. C.“ feljetonistą. Nawet

nie „dyspozytorem ruchu“ czy „torowym“. Wręcz przeciwnie, w tych sprawach nie mam nic do gadania. Nadto mam ciągle jedną i tę samą grupę H₂O... Dodatek funkcyjny? Raz poczęstował mnie papierosem starszy ustawniczy, tj. naczelny redaktor. Co prawda, zrobił to osobiście...

Głównie jednak zazdrościłem urzędnikom spokoju, uregulowanego trybu życia, pewności absolutnej na stare lata i tego, że płyną do jakiegoś cichego portu. Tymczasem to było tylko złudzenie. Ich życie jest piekłem. I to piekłem źle zorganizowanym. Ci ludzie nie wiedzą dnia ani godziny, zależni od zwykłego widzimisię zwierzchnika, od jego humoru, żyją w ustawicznej niepewności, pod grozą spensjonowania, przeniesienia, amputacji pensji. Każdy z nich jest jakimś królikiem doświadczalnym, na którym stosuje się wszelkie próbki ustaw puszcanych na chybił-trafił. Ta wiwisekcja odbywa się bez znieczulenia, na żywo. I — co dziwne — równocześnie rząd (zresztą w pewnych wypadkach bardzo słusznie) ogranicza do minimum wolność stosowania wiwisekcji na królikach, świnkach morskich, czy żabach. A ludzi męczy się ad libitum!

Zastanawia jedna rzecz: pośpiech, z jakim równocześnie prawie wytoczono dwie kolubryny, tj. ustawę scaleniową i przeszerzegowanie, względnie reformę uposażeń. To było zrobione na pas blind.

Gdy idzie o co innego, a więc np. o obniżkę opłat telefonicznych, słyszymy przez długie, długie miesiące, jeżeli nie przez lata, że odnośne czynniki przeprowadzają „studja“. To samo dotyczy np. cen gazu czy prądu, o które walczą konsumenci od niepamiętnych czasów. I w tym wypadku są „studja“. Natomiast gdy w grę wchodzi taka machina jak np. ubezpieczalnia czy przeszerogowanie, studja są niepotrzebne. Robi się je ex post. Bezpośrednio po wprowadzeniu w życie danej ustawy czy rozporządzenia powstaje nieopisany, kompromitujący chaos i pokazuje się, że nikt nie wie, jak daną ustawę interpretować, co z nią zrobić. Obecnie komplikacje doszły do zenitu.

Czytając wspomniane na wstępie czasopisma zawodowe, nie chciałem oczom wierzyć. Na każdej stronie roi się od nonsensów, które pociągnęła za sobą ustawa. Np. Białą od Bielska dzieli malutka rzeczek, poprzez którą dosłownie można sobie ręce podać. Tymczasem między dwoma nauczycielami szkoły średniej, mającymi tę samą ilość lat służby, te same kwalifikacje i do niedawna tę samą grupę, jest przepaść. Różnica wyraża się w 115 zł. miesięcznie. Jeden z nich bowiem jest na Śląsku, drugi w Małopolsce... Oto, do czego prowadzi szablony i mechanizacja!

Weźmy inny przykład: (cytuję dosłownie z „Nauczyciela Polskiego“) „nauczycielka ze studjami

wyższemi w szkole zawodowej posiadała po 5 latach służby uposażenie grupy VIII szczebla „b“. Zaszeregowana została do grupy IX. Gdyby



Przeszczelbowany urzędnik.

w styczniu 1934 r. zrezygnowała z posady i przyjęła ją zpowrotem w dniu 1 lutego 1934 bez „przywrócenia praw“ — otrzymałaby, jako świeżo przyjęta do tej szkoły uposażenie grupy VIII“. Przecież to jest nieprawdopodobne!

A takich przykładów są setki! I jeden bardziej jaskrawy od drugiego. Więc kierownik szkoły, idąc na urlop zdrowotny, po dwóch miesiącach

traci dodatek służbowy, a gdyby na ten urlop poszedł jego kolega-nauczyciel z tej samej szkoły — nic mu nie odbiorą. Logiczny wniosek: „Kierownik szkoły, aby nie narazić się na straty, powinien był w grudniu 1933 r. zrezygnować z kierownictwa“... Komentarz zbyteczny.

Nie chcę tych kawałów mnożyć. Laikowi wydaje się, że o ile redukcja pensyj była koniecznością, to należało zastosować do wszystkich jakieś proste, nieskomplikowane a jednakowe normy.

Oczywiście z wyłączeniem ludzi... głodnych.

O M I N I S T E R S T W O P R O P A G A N D Y

Byłem właśnie w trakcie ubierania się, kiedy zameldowano mi, że przyszedł jakiś oficer. I że mu się bardzo śpieszy. Nie ma ani sekundy czasu.

— Co za oficer?

— Musi być jakiś starszy... Orderów a orderów!

— A, no to go trzeba prosić siadać. Zaraz będę gotowy.

— Nie chce usiąść. Powiada, że ma pociąg do Warszawy za dwadzieścia minut. Bardzo nerwowo ten pan...

Ja też jestem bardzo nerwowy, zwłaszcza gdy mi ktoś stoi nad karkiem. A tu jeszcze z dalszych apartamentów dochodzi niecierpliwy dźwięk ostróg. Wszystko więc leci mi z rąk. Wreszcie niezapięty na ostatni guzik wpadam do saloniku. Moją gorliwość i pośpiech ostudził rychło widok egzotycznych orderów i wstążek, zdobiących szeroką pierś gościa. Nie wiem, czy sam szef protokołu ma taką wystawę... Mundur zaś nieco dziwny, składkowy jakby: z przodu niby strzelec, z profilu dowborczyk, z tyłu Haller — do kupy wszystkie forma-

cje. Istny d o... w b ó r naturalny. Za pasem nagan, całość zaś przypomina jakby gwardję przyboczną króla Albanji. Gęba niegolona chyba od wymarszu z Oleandrów. Ale mina gęsta i gęsty zapach, wskazujący na to, że gość przed chwilą wyszedł z knajpy. Słowem, kamerdyner miał rację: musi być „jakiś starszy“...

— Jestem major Kmicic-Zabajkowski.

Chwilę pomyślałem nad jakimś odpowiednim dodatkiem dla siebie, poczem trzaskając obcasami, przedstawiłem się i ja z kolei:

— Wrazidło-Nowakowski.

Mój nom de guerre (n. b. ukradziony pewnemu bokserowi śląskiemu) zrobił na „majorze“ niejaki wrażenie. Stał bowiem na „spocznij“, podał mi jakiś papier, opatrzony wielu pieczęciami, i począł w te słowa:

— Nareszcie przystępujemy do sfinalizowania myśli, którą pierwszy rzucił pan Marszałek. Idzie o wydanie albumu poległych ochotników-saperów kolejowych z powiatu dziśnieńskiego. Na czele komitetu stanął generał Traugutt-Łukasiński, jego zastępcą jest pułkownik Langiewicz-Mierosławski, a ja...

— A pan jest Kmicic jaki?

— Zabajkowski. Właśnie dziś jadę do Warszawy, aby jutro skoro świt zameldować się u Rydza Śmiałego...

- Nie będziesz brał imienia Rydza nadaremno!
- Nie rozumiem...
- Zaraz panu to wyjaśnię. „Nadaremno“ w tym



Ręka „majora“ spoczęła na kolbie nagana...

jedynym wypadku oznacza „gratis“. Ja znam te albumy... Mogę panu zapłacić okup w maksymalnej wysokości 50 gr.

- Pan szanowny mówi serjo!!!?
- Najzupełniej.

Ręka „majora“ spoczęła na kolbie nagana, czyli, że prawdopodobnie za chwilę powiększe grono aniołków. Westchnąłem do Boga, „major“ zaś wybuchnął szlachetnym gniewem. On reprezentuje ideę, wraca prościuteńko od samego wojewody. Sprawa jest doniosła: p r o p a g a n d a ! A tu 50 groszy! Przecież...

— Proszę pana — odparłem grzecznie — sam Walery Sławek czy Prystor dają czasami tylko dwadzieścia. I nie na rękę, ale w zęby, dołączając jeszcze coś ztyłu, coś, o czym ja choćby ze względu na wysokość pańskiej szarży nie wspomniałem...

Kmicic, secundo voto Zabajkalski, dąsał się przez chwilę, wreszcie wziął 50 gr. i wyszedł.

Zginęła mi przy okazji piękna marokańska popielniczka. Zapewne Kmicic przywiesi ją sobie na piersi, powiększając kolekcję orderów...

— — — — —

Niemcy w najbliższym czasie mają wydać ustawę, która przymusowo zarejestruje wszystkich... kajakowców. Nawet kajaki na wodach niemieckich będą zgleichszaltowane, u nas zaś po mętnej, ach, jak mętnej wodzie t. zw. propagandy pływa kto chce. I kto chce łowi ryby. O jakiejś racjonalnej kontroli mowy niema, dzięki czemu takich pospolicznych łotrzyków à la mój Kmicic, którzy podają się za inkasentów czy akwizytorów niepodległości, są całe legiony.

Gorzej, bo i na terenie rzetelnej, prawdziwej ideowej, państwowej lub społecznej propagandy panuje nieprawdopodobny chaos czy też bałagan. Dzień oszczędności zbiega się z reklamą... państwowego monopolu spirytusowego. Pożyczka narodowa koliduje z dwoma równocześnie wychodzącymi pociągami w nieznaną. Karambol pewny. W „Dniu dziecka“ odbywa się puszczenie „Wianków“. Dzień dobroci dla zwierząt wchodzi w paradę piatiletce krzywienia kultury teatralnej. Święto morza zbiega się na milimetr ze świętem lasu. LOT zamordowałby LOP-a. Liga morska w łyżce rzecznej utopiłaby kolonialną. Właśnie podczas „minuty milczenia“ oddaje się 21 strzałów armatnich z racji jakiegoś innego święta. Legion starych depce po piętach młodemu i nadążyć nie może. Czerwony krzyż konkuruje z białym, straż przednia z tylną itd. itd. Podobnie jest na wszystkich polach. Przysposobienie wojskowe kobiet strzela akurat w stronę, gdzie ćwiczy przysposobienie męskie. Zbiórkę na ociemniałych urządza się właśnie w tygodniu książki. Stulecie „Pana Tadeusza“ przerywa zawody o państwową odznakę sportową. Tydzień obrony przeciwgazowej urządza się współcześnie z Lajkonikiem. Albo z dniem matki. Dożynki wypadają na okres chronicznego przednówka, święto zimy wtedy, gdy staje wszystek śnieg, święto wiosny przy temperaturze 00 stopni, gwóźdź do sztandaru

wbija się równocześnie z świekiem do głowy, a gdy jedno ministerstwo puści w świat jakieś plakaty, drugie zalepia je swojemi. My zaś płacimy, płacimy, płacimy... Co więcej, zdarza się, że przy wystąpieniach propagandowych na szerszej arenie czasem pobiją się dwie bojówki, zaangażowane do tego samego wzniosłego celu. Policja pałą godzi obie zwaśnione strony, poczem dopiero okazuje się, że jedni i drudzy są w służbie tej samej idei. Jak to podraża kosza każdej „żywiolowej manifestacji!“...

Właściwie nie ma już t. zw. dnia powszedniego. Takiego szarego dnia, w którymby można było żyć normalnie, po ludzku. Wszystkie dni są dniami czegoś tam. Obojętne — czego. Ale każdy posiada jakiś przydomek. Ponieważ za mało jest dni w kalendarzu, trzeba będzie ograniczać święta do krótszych okresów. Do godzin np. wstrzemięźliwości albo do kwadransów. Np. „kwadrans pożyczki narodowej“. To nieźle brzmi. Sądzę, że w dalszym ciągu nawet minuta milczenia okaże się terminem zbyt długim. Skróci się ją do sekundy. Ach, gdybyż choć sekundę...

Z braku miejsca zaczęto powoli, powoli wyrzucać na szmela stare, pocziwe święta. Niedawno do-

konano eksmisji 3-go Maja. T. zn. jeszcze w tym roku gdzieś go obchodzono, ale w przyszłym zrobi się już raz koniec z tym przeżytkiem niewoli. Obecnie jeszcze jedno miasto oglądało się na drugie, nie wiedząc, czy wypada święcić ten dzień i jak to będzie widziane u góry. Czy tego nie wezmą za antyrządową manifestację. Podobno bowiem istniał jakiś — mówiąc po galicyjsku — „Wink“, żeby nie urządzać tego święta, lub conajwyżej nadać mu skromniejsze ramy. Ale nikt nie wiedział na pewno. Niema zaś naczelnego organu propagandowego, któryby powiedział jasno „tak“ albo „nie“ i w danym wypadku pociągnął do odpowiedzialności biorących udział w demonstracji 3-go Maja.

A, swoją drogą, trochę żal mi tego święta. Miało jakiś urok naprawdę majowy. Pamiętam, że czasem dyrektor gimnazjum miał pewne wątpliwości, czy władze zaborcze zwolnią szkołę od nauki w tym dniu. Ale zwalniały. I pełno było u Panny Marji, a z ambony grzmiał ks. Bandurski. Potem zaś była t. zw. laba...

Niebrzydkie święto. I stare. Takie, które miało swój wyraz w literaturze, w poezji, w muzyce, w malarstwie, podczas gdy nowe, analogiczne akty jakoś dotychczas nie znalazły swojego wyrazu w sztukach pięknych.

Poza tem była to nadzwyczaj plastyczna próba

sił: 1-szy i 3-ci Maj. Chociaż trafiali się ludzie do tego stopnia nieuświadomieni, że brali udział w obu pochodach. Cóż za naiwność przedwojenna! Łączyć takie kontrasty biegunowe! Teraz byłoby to rzeczą nie do pomyślenia. Ach, jak my idziemy naprzód...

Ale niema powodu do rozrzewniania się. I do tego, aby jak ostatni Jankiel, grać poloneza 3-go Maja. Na cymbałach...

Siedziałem dość długo we Włoszech, w Niemczech a zawadziłem i o Rosję. Otóż wydaje mi się, że propaganda kwitnie u nas tak samo bujnie jak u tamtych szczęśliwych narodów. Tyle jest hałasu u nas co u nich. Tyle plakatów i tyle parad, i tyle świąt i tylu ludzi, tyle związków, które nie robią nic innego, tylko trąbią od rana do nocy. Ale te trąby propagandowe są niezestrojone, skutkiem czego akord ich czasami wydaje mi się fałszywy. Może to tylko złudzenie, czy ja wiem, a jednakże chwilami z każdego placu, z każdej ulicy dolatuje dźwięk jakby innej orkiestry. Melodja jest ta sama, lecz każdy instrument gra osobno i z chaosu dźwięków rozumiemy tylko jedno: że trzeba na coś dać. Bo ten nieporządnny aparat propagandowy kosztuje bardzo drogo. Niekiedy myślę, że prostszą rzeczą byłoby nałożyć na wszystkich jakiś podatek propagandowy. Mógłby ew. być progresywny. I globalny

zarazem. Od wszystkiego. Od obrony przeciwgazowej, od obrony morza, od powietrza, głodu, ognia i wojny...

Naturalnie, w razie utworzenia ministerstwa propagandy spory odsetek zakonu braci żebrzących, czy też wielkich i małych jałmużników Polski znalazłby się radykalnie na bruku, w pewnych zaś, bardziej jaskrawych wypadkach może i pod kłuczem. Niewielka szkoda. A za to byłby nareszcie porządek! Cześć dla przeszłości połączona według jakiegoś odpowiedniego klucza z aktualjami, z troską o zdrowie moralne i fizyczne narodu, z całym przeszkoleniem patryjotycznym, z twardą praktyką ideału. Wszystko uporządkowane, zaszeregowane i nareszcie w jednych rękach!

Zważmy, o ileby to taniej kosztowało!...

ABECADŁO I HIEROGLIFY

Miałem nadzieję, że ostatnią z serji denatek i denatów, starających się u mnie o protekcję do władz, będzie pewna maturzystka seminarjalna, która po trzechletnim zgórą poszukiwaniu posady nauczycielki wreszcie zdecydowała się zostać niańką. Posady niańki również jej nie wyrobiłem, natomiast wymalowałem na moich drzwiach spory napis treści następującej: „W sprawach protekcji nikogo nie przyjmuję“. Nie pomogło i już tego samego dnia miałem nową wizytę. Ciekawy egzemplarz: młody człowiek, lat 24, również trzy lata po maturze seminarjalnej, bezrobotny, prosi o protekcję do województwa, ponieważ chce zostać... policjantem. A że ja mam „wszędzie stosunki“, więc...

Kiedy indziej rozżłościłbym się na dobre. Skądże on wie, że ja mam stosunki w policji? Niby jak?!... Że jestem jednym z nielicznych Krakowiaków, który nie oberwał pałką w czasie pobytu Gömbös'a, to jeszcze niczego nie dowodzi! Wręcz przeciwnie, ponieważ, jak słyszałem, policjanci w tych dniach uroczystych prali przeważnie urzędników wojewódzkich oraz ich najbliższe rodziny, nie przepu-

szczając nawet synowi naczelnika urzędu śledczego. To był istny Lajkonik!

Ale nie o tych refleksjach przyjaźni polsko-węgierskiej mam zamiar pisać. Interesuje mnie raczej mój petent-maturzysta seminarjalny, który chce zostać policjantem. Nie stanowi zresztą wyjątku, ponieważ coraz więcej ludzi nawet z wyższym cenzusem naukowym aspiruje do granatowego munduru i do magicznej pałeczki. Uważam to za dodatni objaw. Przecież w miarę podnoszenia się poziomu kulturalnego samych policjantów, podwyższy się niejako automatycznie poziom kulturalny przestępców. Posterunkowy z dodatkiem „Mgr.“ albo nawet „Dr.“ przed nazwiskiem! Jak to pięknie brzmi! Od takiego nie żal dostać pałką! Pomyślmy sobie wtedy: „Przecież to wszystko rodzina... policyjna“!

Ale seminarzystka-niańka i seminarzysta-policjant... Nie może mi to wyjść z głowy.

Bezpośrednio po wizycie wspomnianego desperata otrzymałem obstalunek od Polskiej Macierzy Szkolnej. Chciał, żebym napisał rodzaj odezwy w sprawie zwalczania analfabetyzmu. Według pierwszego spisu ludności Polska ma 5,585.221 dorosłych analfabetów po wsiach i 955.972 po miastach. Razem 6,541.193... Cyfr drugiego spisu Rocz-

nik Statystyczny nie podaje. Dlaczego? Prawdopodobnie żenuje go to.

Ale Macierz Szkolna wedle swych danych oblicza obecną ilość dorosłych analfabetów w Polsce na zgórą sześć milionów...

Maturzystka seminarjalna obejmie posadę niańki, maturzysta na wszelkie sposoby zostać chce policjantem... Przy sześciu milionach analfabetów niema miejsca dla nauczycieli! Nie sądzę, aby cokolwiek mogło lepiej scharakteryzować stan oświaty w Polsce, jak ten paradoks, jak to zestawienie dwóch faktów. Przysiękłem kiedyś solennie, że już nie będę nadużywał imion świętych i t. p. inwokacyj, tym razem jednak nie mogę wytrzymać i wielkim głosem chciałbym krzyknąć „Rany Boskie! Sześć milionów nie umie czytać!!!“

Za dwa tygodnie mamy szesnastą rocznicę niepodległości. I przez szesnaście lat... Poderwało mnie od maszyny prosto pod wodociąg. Zimna woda robi czasem dobrze. Więc spróbujmy na zimno, na spokojnie!

Samo narzuca się pytanie: co robiliśmy przez tych szesnaście lat? Czem legitymujemy się?! Nie! O tem nie da się pisać spokojnie! Chwyta jakaś astma. A może nie astma, ale poprostu wstyd? Pałający wstyd!

Przedmurze zachodniej cywilizacji... Twierdza kultury na progu Azji... I cała ta kupa wyświechtanych frazesów, ta fanfaronada, ta blaga, którą bujamy samych siebie! Ten „Pan Tadeusz“, który w jubileuszowym roku dotarł wreszcie pod strzechy... Albo sławetny „Tydzień książki“, obchodzony uroczystie z muzyką, z transparentami, w kraju notorycznych analfabetów...

W najnowszym programie wykładów uniwersytetu warszawskiego figuruje egiptologja. Profesor zapowiedział czytanie hieroglifów na dwie szczyty: dla początkujących i dla zaawansowanych. (Oprócz egiptologii jest i sinologia!...). Proroczem okiem widzę już salę wykładową: dwie, może nawet trzy zaawansowane osoby bawią się za drogie pieniądze w Champollion'ów. Równocześnie dla sześciu milionów zwyczajne abecadło to... hieroglify.

Kwiatek przypięty do zawszonego kozucha. Można by nawet powiedzieć — och, brzydkie, paskudne, ale jedyne czasem słowo — można by powiedzieć, że to jest zwyczajne hochstaplerstwo. Na głowie mamy lśniący, niepokalany cylinder, ale z butów wylażą nam palce, ale portki opadają w strzępach.

W upiornem świetle sześciomiljonowej cyfry zaczynam inaczej patrzeć na rozmaite fakty z dziedziny rozwoju naszej oświaty i szkolnictwa. Myślę

o reformie studjów akademickich, o liceach, o przeoraniu wszystkich programów, myślę o tych „najpilniejszych“ zadaniach, dokonywanych w pośpiechu, na gwałt. Myślę wreszcie o tem, co niejako wieńczy, koronuje całe dzieło: o Akademji Literatury. Ona stoi na szczycie, fundament zaś tej rozległej budowli stanowi sześć milionów analfabetów!

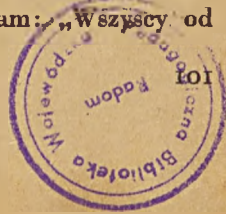
Staraliśmy się o deser, o wety, ale o kawałku zwykłego razowego chleba, którym zaspokoić można głód, nikt nie pomyślał.

Egiptologja nam była potrzebna!

A może właśnie myślano o tym razowym chlebie? Przecież zamiast jednego typu elementarza, który dawniej wystarczał, mamy obecnie w Polsce podobno 36 rodzajów konkurencyjnych elementarzy. O, ironjo gorzka! Przy tylu wysiłkach na polu stworzenia wzorowego elementarza mamy tak potworny procent analfabetów!

W połowie XV wieku Jakób Parkosz napisał pierwszą ortografję polską, czyli „Obiecado moje“...

Otwieram znakomitą, niezmiernie oryginalnie ujętą encyklopedję „Świat i życie“. Pierwsza pozycja to właśnie abecadło. Czytam: „Wszyscy od



lat najmłodszych mamy do czynienia z abecadłem i wyraz ten jest dla nas tak pospolity, że...

Encyklopedia jest doskonała, ale jej pierwsze zdanie to wierutne kłamstwo. Co słowo to fałsz! Wcale nie mamy do czynienia z abecadłem od najmłodszych lat! Wyraz „abecadło” nie tylko nie jest pospolity, ale nieznany, wręcz obcy dla przygniatającego odsetka mieszkańców.

Ale nie chcę szydzić. To jest zanadto bolesne. I cieszyłbym się, gdyby właśnie ten feljeton nie dostał się w ręce cudzoziemców. Zamiast urągać i nicować przerażający bilans szesnastu lat, wypadłoby raczej stwierdzić, że owszem robiło się trochę, może nawet i wiele, jednakże rezultaty wskazują na konieczność zmiany metod. Trzeba znaleźć przedewszystkiem jakieś inne „podejście” do problemu. Podejście propagandowe.

Mimowoli przychodzi mi na myśl Bolszewja. Podobno — mówię „podobno” — jak pisze p. Stemler w broszurce „Problem likwidacji analfabetyzmu książkowego”, bolszewicy walkę z analfabetyzmem rozłożyli na raty, zaznaczając zapomocą „likpunktów”, czyli punktów likwidacji, poszczególne etapy tej walki. Czy i u nas nie wypadłoby przystąpić do jakiejś piatiletki abecadła? A może za rok, w siedemnastą rocznicę niepodległości stwier-



Raczej nauczmy analfabetę czytać — policjant z maturą seminarjalną...

dzimy, że mamy już o pół miliona analfabetów mniej? Kto zaś wie, czy w dwudziestopięciolecie nie powiemy, że już wogóle... Ponosi mnie fantazja.

Wogóle trzeba coś zmienić, przekręcić, powiedzieć sobie, że to, co robiło się dotychczas, nie odpowiada potrzebom. Macierz Szkolna rzuca hasło „Umiejący czytać niech uczy nieumiejącego!“. Nie podejmuję się. To bardzo trudna rzecz. Raczej nauczy analfabetkę czytać np. jakiś policjant z maturą seminarjalną. Ja nie.

Ale trzeba propagandy! Ruchu! Rozmachu! Trzeba wyjść na ulice i krzyczeć „Gwałtu!“.

W walce z analfabetyzmem wypadałoby może skrócić front. Pracuje na tem polu T. S. L., dalej Polska Macierz Szkolna, Biały Krzyż, który objął wojsko, t. zw. oświata pozaszkolna, w pewnem znaczeniu Towarzystwo Czytelni Ludowych na terenie Poznańskiego i Śląska, oraz jakieś sporadyczne kursy. Gdyby ktoś chciał mieć jasny obraz rezultatów tej walki, musiałby łączyć od jednej instytucji do drugiej, szperać, na głowie stawiać — i jeszcze daleki byłby od prawdziwego bilansu. Kto wie, czy pierwszym krokiem reformy nie byłaby jakaś porządna, źródłowa monografia polskiego analfabetyzmu? Przynajmniej wiedzielibyśmy, na czym

stoimy. I dopiero wtedy możnaby zabrać się do roboty serjo, na całego.

A teraz jeden jasny punkt w tem prawdziwem mare tenebrarum: poniosło mnie na lekcję czytania w krakowskim piątym Pac-u. Ze trzydziestu barczystych kanonierów i mała, filigranowa, a ładna panienka z Białego Krzyża. Jak makiem zasiał... Ale to piekielna praca! Nadludzki wysiłek zarówno tej ślicznej panienki, jak i tych chłopaków. Gdy któryś Wyrwidąb czy Waligóra nie mógł przeczytać zdania „Adam ma dom“, spociłem się za niego. I z wysiłku sam na chwilę zapomniałem czytać. Gdyby tak przyszło do głowy owej panience wyrwać mnie, nie rzekłbym ani słowa...

Byłem także na t. zw. trzecim kursie, gdzie już „zaawansowani“ czytali jako tako hieroglify polskie. Pułkownik pyta najbliższego z brzegu, ile lat chodził w cywilu do szkoły.

— Trzy lata — odpowiada żołnierz o wybitnie semickim typie.

— No i zapomnieliście czytać?

— Panie pułkowniku, melduję posłusznie, ja czytam, ale tylko gazety. Książki są za trudne.

— Dlaczego?

— Bo w książkach są kropki. A w gazetach nie ma kropek...¹

„Niema kropek w gazetach“... Jeśli o mnie idzie, zarzut niesłuszny. Krzywdzący w najwyższym stopniu. Ja piszę tylko kropkami.

W ten sposób konfiskuję samego siebie, uprzedzając niejako cenzora...

¹ Mowa o gazetach żargonowych, gdzie rzeczywiście w druku opuszcza się kropki, oznaczające w alfabecie hebrajskim samogłoski. (p. a.)

M O W A

*miana na bankiecie, wydanym z racji zdobycia
wicemistrzostwa Polski przez klub »Cracovia«.*

(Według stenogramu.)

(Sala Saska. Mniej więcej północ. Przy stole biesiadnym sami footballiści i prezydjum klubu. Nadto kilku nieuniknionych, zawodowych statystów od bankietów. Jest już dobrze po wetach. Po dziesięciu przynajmniej mowach. Tudzież po pewnej ilości puharów przechodnich. Słychać brzęk szkła i młode, acz nieco ochryple głosy: „Nowakowski! My chcemy Nowakowskiego! My chcemy Nowakowskiego!!“ Sędziwy gaduła a wiceprezes Cracovii ociąga się jeszcze, wobec czego krzepkie ręce graczy lekko jak piłkę podnoszą w górę cenionego feljetonistę. Niczem t. zw. „świeca“ wznosi się około dwudziestu razy pod sufit i opada wdół. Sposób ten, jeśli idzie o wymuszenie mowy, okazuje się niezawodnym, ponieważ Nowakowski błyskawicznie zdecydował się mówić. Ruchem, jak na żywy udział w bankiecie, wcale pewnym podnosi się. Przez chwilę patrzy na obecnych jak sam Jan-kiel na swój instrument w dwunastej księdze Pana Tadeusza. Dwaj kelnerzy out'owi nalewają mu kie-

lich. Patrzy z rozkoszą i dumą. Wypił. Lecz to była tylko próba. Kazał napelnić naczynie ponownie. Z przymrużonemi napoły oczyma milczy i nieruchomy kielich w palcach trzyma. Cisza głęboka.)

„Panowie! Obserwując bankiet dzisiejszy, rozgrywający się na boisku Sali Saskiej, dostrzegam w nim pewne usterki i braki natury technicznej. Pomijam już ten drobiazg, że w myśl najnowszej taktyki stoły powinny być ustawione w literę „W“, ale trudno mi przejść do porządku dziennego nad brakiem zegara i tablicy. Przedewszystkiem tablicy! Powinien na niej być napis „Goście“ i „Cracovia“. Tylko w ten sposób mielibyśmy jaką taką ewidencję tego, co się tu wypilo. To pewna, że Cracovia od samego początku narzuciła ostre tempo, ujmując w swoje ręce całą inicjatywę. Niemniej powiedzieć można, że w tych zawodach towarzyskich o puchar gra była do pauzy wyrównana. Czy w drugiej połowie uczty obie strony nie spuchną, przewidzieć trudno.

Po tych kilku wstępnych a krytycznych uwagach pragnąłbym dać wyraz mojej radości i dumie, że mogę tu zabrać głos. Football doskonale łączy się z dziennikarstwem. Nietylko najlepszy, ale i najdroższy gracz świata, słynny Jack Nightingale, był z fachu dziennikarzem. Tak samo jak ja. Najlepszy i najdroższy, bo za niego to przed sied-

miu laty „Arsenal“ zapłacił klubowi „Bolton Wanderers“ warjacką sumę pół miliona złotych. Za mnie też dawano „Kurjerkowi“ ogromne pieniądze, ale uparł się i oświadczył, że nie odda mnie nikomu poniżej pięciuset złotych. Zostałem więc.

Jest jeszcze jedna, symboliczna wręcz okoliczność, która łączy mnie serdecznym węzłem z football'em. Oto dziwnem zrządzeniem opatrności w tym samym roku, w którym ujrzałem światło dnia (na ucho, ściśle poufnie, mówię, że był to rok 1891-y), otóż w tym samym roku ustalone zostały ostatecznie zasady gry w piłkę nożną. Jest to więc data zarówno dla mnie jak i dla football'u o przełomowem znaczeniu! I ktoś, kto nie dopatrywałby się palca Bożego w tym zbiegu okoliczności, byłby skończonym niedowiarkiem. Tu, choć niektórzy gracze ligowi zwolna usypiają, muszę rzucić kilka dat. Gdybym mówił za długo, proszę mnie przyprowadzić do przytomności wołaniem „Czas! Czas!“. Natomiast okrzyki „Kalosz! Kalosz“ uważałbym za nieodpowiednie i przedwczesne.

Otóż pierwsze zasady gry, ciężar piłki oraz ilość graczy ustalono w Anglii bardzo dawno, bo w roku 1583-im, jednakże ów regulamin daleki był jeszcze od dzisiejszego stanu rzeczy. Proszę sobie uprzytomnić (o ile to wogóle w tej chwili jest możliwe), że jeszcze w drugiej połowie minionego stu-

lecia było po piętnastu graczy w każdej drużynie, przyczem w każdej bramce stało dwóch bramkarzy! Rzecz rozwijała się jednak z biegiem lat i np. w roku 1880-ym, (datę niniejszą zechcą sobie szanowni panowie szczególnie intensywnie wbić w pamięć!) sędzia po raz pierwszy w historii uzyskał prawo usuwania graczy z boiska. W roku zaś mego urodzenia kodyfikacja football'u została definitywnie ukończona. Jak widzicie panowie, do roli wiceprezesa przygotowałem się wcale sumiennie, studiując przynajmniej samą teorię.

Będąc zatwardziałym, niepoprawnym Krakowianinem, wołałbym, aby dzisiejszy bankiet odbywał się pod hasłem mistrzostwa, lecz i za wicemistrzostwo dziękować należy Panu Bogu w pokorze. Mogło bowiem być znacznie gorzej. Zresztą, jako wiceprezes, mam prawo przemawiać tylko do wicemistrzów.

Nie chciałbym nikogo z obecnych sfoul'ować memi słowy, gdy powiem, że osobiste zetknięcie się z graczami sprawiło mi pewne rozczarowanie, zawód nawet. Pragnę wytłumaczyć się, zanim sędzia podyktuje rzut karny przeciwko mnie z powodu słów niniejszych. Otóż, będąc malowanym członkiem wydziału, nie znam panów osobiście. Normalnie siedzę w przyzwolonej odległości, na dystans zupełnie bezpieczny, taki, że nawet piłka p. Pajaka mnie nie dosięgnie. Tak oddaleni przedstawicie

mi się panowie jako nadludzie, jako — powiem — idea football'u, przyodziana w kształt nieco mglisty i — nie waham się powiedzieć — bohaterski, heroiczny. Bohaterski bez względu na pogodę. Do mej wyobraźni przemawiacie niejako z koturnu, przyczem koturn wasz jest podkuty. Nic więc dziwnego, że staram się zachować wspomniany dystans...

Teraz zeszlście z koturnu i siedzicie tak blisko nas — cywilów, że możemy napatrzeć się wam, do-tąd dalekim, jak legenda. Jak mit w białoczerwonej koszulce i w białych, a notorycznie po pierwszym zetknięciu się z matką-ziemią poplamionych majtkach. Pierwszy raz widzę panów w marynarce.

Dziwne doprawdy pojęcie ma o was lud. Gdy wybierałem się na ten bankiet, pewna pani (ta sama, która kiedyś podczas meczu spytała mnie nagle, gdzie jest druga piłka i jeszcze tłumaczyła, że przed pauzą grano równocześnie dwiema piłkami...) otóż pani owa powiada:

— Nie idź tam! Ja cię proszę!

— Dlaczego?

— Bo, widzisz... Jeszcze bramkarz! No, on jest jako tako oswojony z używaniem rąk, ale inni?! Jak oni sobie zaczną podawać półmiski nogami, albo, co gorsza, głową odbijać flaszki. O nieszczęście nietrudno! To nie jest dla ciebie! Na wszystko proszę, nie idź tam!

Uspokoilem ją, mówiąc, że z czem jak z czem, ale

ze szkłem panowie napewno umieją się obchodzić. Niemniej onieśmielony jestem w najwyższym stopniu. Nazwiska panów, od dawna figurujące w polskim Plutarchu Sportowym, urosły niejako do roli symbolów. Stały się abstrakcją, pojęciem, z którym łączy się cały szereg asocjacji. W pewnych sytuacjach życiowych nazwiska te samorzutnie wpływają na usta, szpicem buta wskazując nam wzory dalekie i niedościgłe ideały. Ja np. jestem z fachu literatem. Gdy mam polemizować z kimś, gdy zależy mi na tem, aby przeciwnik od jednego zamachu runął i nie wstał więcej, mówię sam do siebie „Pająk! Pająk!“ I dopinguję się w ten sposób, wiedząc, że mój rzut karny będzie wygzekwowany bezapelacyjnie. Prostu budzę w sobie Pajaka. Albo gdy spotykam ludzi niebezpiecznych, takich, wobec których instynkt samozachowawczy radzi mi jak najdalej idącą ostrożność, mówię sobie na ich widok: „Daj spokój! To jest taki niepozorny Malczyk! Z nim lepiej nie zadzierać!“ I schodzę z drogi. Itd., itd. Gdy mi się śpieszy, wzywam imienia Kisielińskiego, gdy jestem bezradny, oglądam się za pomocą Pp. Chruścińskiego, Mysiaka, Żizki. Słowem — od dawna weszliście w życie, staliście się niezbędnymi. Kiedy dawniej mówiło się: „On jest ostatnim potomkiem po mieczu“, dziś na widok małego dziecka mówi się: „To jest potomek po ostatnim... meczu“.

Nie chcąc, aby mowa moja w całości poszła na out, pragnę jeszcze poruszyć sprawę poważniejszej natury. Niedawno byłem w kraju, gdzie jest 35.000 drużyn piłki nożnej, gdzie istnieje zgórą milion zarejestrowanych graczy. Tak, w Niemczech co sześćdziesiąty człowiek gra w piłkę i rokrocznie odbywa się 700.000 rozgrywek. Ostatni polski „Rocznik sportowy“ wymienia 762 zarejestrowanych drużyn. Na 35.000 drużyn niemieckich! Wstrzymując się od jakichkolwiek wniosków, poprzestaję na tych obu cyfrach. Nadmienię jeszcze, że o ile u nas władze szkolne tępią football — tam przeciwnie, otoczony jest najgorętszą opieką światłodawców, którzy wychodzą z założenia, że jest to właśnie sport szerokich mas. Sport obejmujący dosłownie cały świat! Sport... porozumienia się wszystkich narodów. Przecież footballowa Liga Narodów, czyli Międzynarodowy Związek Piłki Nożnej reprezentuje ni mniej ni więcej tylko czterdzieści ośm krajów, które w zgodzie i poszanowaniu praw sąsiada obradują nad wspólnym dobrem!

Piłka jest sportem najbardziej popularnym. Choćby dlatego, że 1) jest sportem najtańszym, 2) można go uprawiać wszędzie, 3) jest niezależny od pory roku. Dopóki te zasadnicze argumenty nie trafią u nas do właściwych czynników, polski football, pozbawiony racjonalnego dopływu sił młodych, walczyć będzie z temi przeciwnościami, które

dotąd nie pozwalają mu rozwinąć się i zająć godnego miejsca na terenie międzynarodowym.

Myśląc o football'u, starałem się dociec, kto pierwszy w dziejach ludzkości wpadł na genialną ideę kopania piłki. Czy stało się to dawno, w epoce np. jaskiniowej, czy też w słonecznej Helladzie za czasów Peryklesa, albo też w Rzymie Cezara, którego legioniści zaszczepili pierwsi zamiłowanie do piłki nożnej na zielonych równinach Brytanji? Niewiadomo. Raczej jednak byłbym zdania, że sport ten jest grubo wcześniejszego pochodzenia i że pierwszych jego objawów szukać należy w epoce bronzowej jeżeli nie kamiennej. Kto wie, może i piłka była wtedy z tych materiałów sporządzona? Nie sądzę, aby nawet ktokolwiek z obecnych mógł zrobić więcej niż dziesięć „główek“ w tym wypadku... N. b. nie chcę nikogo dotknąć.

Zasadniczo kopniak jest reakcją wrodzoną człowiekowi, jest jego gestem instynktownym, zwykłym, w pewnych okolicznościach samorzutnym. O ile jednak nie udało mi się stwierdzić, kto pierwszy kopnął piłkę, o tyle wyszperałem, kto ją pierwszy zabronił kopać i kto wogóle wystąpił przeciwko tej grze. Działo się to w mrokach średniowiecza. Mianowicie król angielski, Edward III, w roku 1350-ym wydał surowe orędzie przeciwko football'owi. A dzisiejszy król angielski osobiście wręcza puchar zwycięzcom! Czyż jest jakiś inny fakt, któryby

w sposób równie plastyczny zilustrować mógł triumf piłki nożnej na przestrzeni dziejów!?

Cóż więcej powiedzieć mogę, pijąc zdrowie „Cra-



Šport ten jest grubo wcześniejszego pochodzenia...

covii“? Chyba, że piłka to jest rzecz wielka! Gdy uważnie spojrzymy na globus, przekonamy się, że świat, że kula ziemiska stworzona została na obraz i podobieństwo football'u. Jest okrągła i — raz kopnięta — toczy się dalej...

W Z N A K U B Y K A

— Hallo?!... Tak, Nowakowski, a kto mówi?!

— Tu Jan Starża Dzierżbicki...

Słuchawka zadrżała mi w dłoni, sam zaś omal nie zemdlałem na dźwięk tego nazwiska: Jan Starża Dzierżbicki!... Redaktor stałej w I. K. C. rubryki „Co wróżą gwiazdy na dzień dzisiejszy?!“ Człowiek, od którego zależy poprostu wszystko, wszystko! Krok nasz każdy, myśl, działanie, ba, szczęście, powodzenie... I on właśnie!... A może mnie kto na kawał bierze?! Przedewszystkiem rano przeczytałem ipsissima verba Jana Starży Dzierżbickiego, który z całą stanowczością twierdzi, że: „Dzień dzisiejszy nie nadaje się do zawierania znajomości z ludźmi wybitnymi“, a tymczasem sam dzisiaj właśnie zwraca się do mnie! Jest więc taka alternatywa: 1) albo zapomniał o tem, co napisał; 2) albo nie uważa mnie za człowieka wybitnego. To drugie wydaje mi się nieprawdopodobne, na wszelki więc wypadek rzekłem, że nie słyszę, kto mówi, lecz w odpowiedzi padło to samo nazwisko, imię i ten sam dyskretny przydomek: Jan Starża Dzierżbicki...

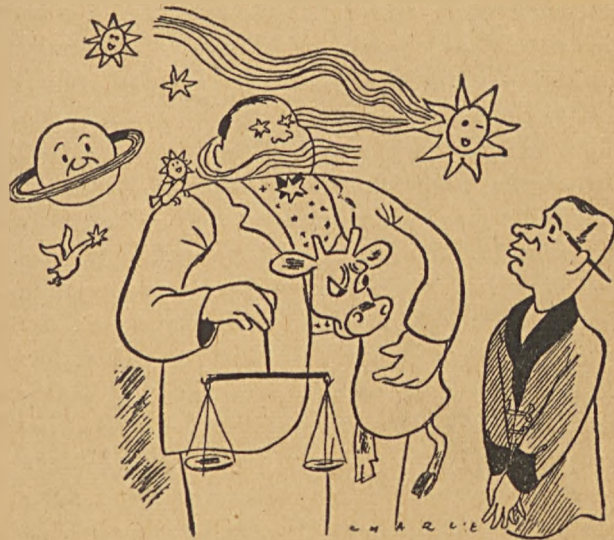
To on na pewno! Mówi niezmiernie wyraźnie, głos jego, choć pełen astralnej słodyczy i mający w sobie całą śmietankę zebraną z mlecznej drogi, przecież posiada barwę niezwykle sugestywną, potężny jest i groźny, jak daleki grzmot. Wsłuchawszy się, nie miałem już najmniejszej wątpliwości, że przez telefon mówi do mnie osobiście samo przeznaczenie.

— Chciałbym odwiedzić Pana Szanownego. Jeżeli można, przyjdę o trzeciej...

W głosie był taki imperatyw kategoryczny, że natychmiast, bez cienia oporu zgodziłem się, choć właśnie koło trzeciej umówiłem się z osobą płci odmienniej, aby załatwiać sprawy, mające pozostać w ukryciu. Trzeba było jednak zrezygnować z tego wszystkiego. O trzeciej przyjdzie...

Machinalnie zażyłem dwie pastylki bromuralu, jednak niepokój wzrasta z sekundy na sekundę. Idzie do mnie fatum w osobie tego specjalisty w branży gwiazd. Przecież człowiek ten, który w potężnej dłoni trzyma wszystkie nasze codzienne sprawy, może poprostu strzelić we mnie horoskopem i przebić na wylot. A ja wcale nie chcę znać własnej przyszłości! Zamknę przed nią drzwi i każę powiedzieć, że mnie niema w domu!... Mówię tak, ale wiem, że tego nie zrobię! Jestem już teraz cały w mocy Jana Starzy Dzierżbickiego! Jestem z plasteliny!

Spojrzałem w lustro i rzekłem sobie, że taką właśnie minę musi mieć bramkarz w chwili, gdy sędzia podyktuje rzut karny. Tak, w tej wizycie jest coś nieuchronnego! Och, jak parno i duszno! Zdała



Patrzyłem na gościa pełen podziwu...

słysząc nadciągającą burzę, z którą razem wkroczy w moje progi on! A z nim... Godziny wloką się jak żółwie, i wreszcie, wreszcie, punktualnie o trzeciej zadzwonił dzwonek dźwiękiem tak przenikliwym, aż mi zgrzytnął hamulec przy aorcie. Jest! jest!

Mój szef protokołu wprowadził go do salonu, zwanego salą Aretina, następnie do sali Scandalletta, skąd dostojny gość poprzez galerję Pasquillina skierował swe kroki do sali kalumnjowej, ja zaś oczekiwałem go na progu sali zecerskiej i obiadów czwartkowych oraz innych wogóle — mówiąc prościej — w jadalni, poczem szef protokołu oddalił się, aby ugotować kawy czarnej, my zaś przeszliśmy do gabinetu Batjar... ellego.

Patrzyłem na gościa pełen podziwu i lęku zarażem. Był to mąż olbrzymiego wzrostu. Wernyhora przy nim dostałby grupę C. Bary szerokie, na których zdawał się dźwigać bez najmniejszego wysiłku nie tylko świat, ale i rozmaite planety w wielkim wyborze. Głowa piękna. Owal twarzy w kształcie Saturna, czoło Byka, oczy Barana, rumieńce Panny, nos Bliźniąt. Znaków szczególnych żadnych, jedynie przy podaniu ręki uczułem na dłoni Maga ogromny wzniołość Wenerę rozmiarów Kopca Krakusa przed rozkopaniem. Wogóle jest to człowiek wspaniały.

Utkwiwszy we mnie wzrok przenikliwy, począł z wysokości Zodiaku:

— Pan Szanowny pisał o mnie przed kilku miesiącami w sposób miły, acz nieco humorystyczny...

— Ja, ja... proszę Pana Szanownego... nie przypominam sobie, t. j. ja nigdy...

Przerwał mi łagodnym ruchem ręki, mówiąc, że

niepotrzebnie usprawiedliwiam się. Jako urodzony właśnie na samem pograniczu Koziorożca i Wodnika, mam naturę choleryczną, gorącą i suchą oraz równocześnie wilgotną i zimną... Jakby na potwierdzenie tych słów, było mi naprzemian gorąco i zimno, tudzież sucho i wilgotno. Zwłaszcza wilgotno. Szczególnie, gdy usłyszałem, że moje Słońce tworzy kwadraturę z Uranem i opozycję z Neptunem... Padam do nóg! Wszystkie gwiazdy stanęły mi dęba we łbie, a tu jeszcze na dobitkę dowiaduję się, że mam semikwadraturę z Księżycem!... Całe niebo wali się na mnie, ale na bis przychodzi najgorsze ze wszystkiego: jest rzeczą wysoce prawdopodobną, że mój Księżyc ma pewne uszkodzenia... Jezusie Nazareński!

Spuściłem głowę posępnie, mistrz zaś nieubłagannie ciągnął dalej swe proste i dziecinnie łatwe wywody. Więc, o ile Słońce jest w konjunktacji z Jowiszem w Raku, zwłaszcza, że przyszedłem na świat w roku 1903-im, można wnioskować, że trygon Wenerę z szóstego domu do Saturna...

— Pardon! — przerwałem. — Pan Szanowny wspomniał łaskawie o jakimś uszkodzeniu mego Księżyca. Czy tego nie da się w żaden sposób zreperować? Chciałbym znać całą nagą prawdę! Wolę nie łudzić się! Czy istotnie defekt Księżyca jest czemś poważnem?

— Hm — uśmiechnął się olbrzym-wróżbita, gnio-

tąc ręką Jowisza i Plutona, które chrupnęły niczem orzeszki — dość Szanownemu Panu powiedzieć, że gdy Anglja, która jest w znaku Lwa, częściowo Barana, posiada zaś Księżyc wybitnie uszkodzony, otóż kiedy Anglja w t. zw. „siódmym domu“ doszła do rozbratu kwadratury burzycielskiego Urana, strajk węglowy w roku 1926-tym był rzeczą poprostu nieuniknioną... Proszę Pana Szanownego, astrologja, to wiedza ścisła...

Zdecydowanym ruchem wstałem i, patrząc magowi w gwiazdzistą twarz, rzuciłem otwarcie pytanie:

— Panie Szanowny, kiedy umrę?!

Nastąpiło milczenie długie, jak wieczność. Oswójona kometa, z którą mistrz przyszedł do mnie, biła niespokojnie ogonem o ziemię. Za oknami huczała burza, a przeznaczenie piło już drugą filiżankę kawy, ugotowanej przez mego szefa protokółu, ja zaś piłem gorzkie słowa, które zwolna cedził Jan Starża Dzierżbicki. Na wargach miałem posmak fusów z gwiazd mielonych:

— Astrologja, proszę Pana Szanownego, przystępuje do tego problemu w sposób możliwie oględny i delikatny. W rękawiczkach. To też i ja, zamiast mówić bez ogródek i bez znieczulenia, ograniczę się do kilku słów: radziłbym mianowicie, aby Pan Szanowny był ostrożny i uważał na siebie w ro-

ku 1953-cim, szczególnie w maju... Więcej Panu Szanownemu chwilowo powiedzieć nie mogę...

„Więcej“!... Jakby to nie wystarczało!... 1953! Bity w ciemię słowami wróżbity, runąłem na fotel. A, wszystko mi jedno! Przynajmniej umrę młodo... Tylko żadnych mów nad świeżą mogiłą!... Zresztą zależy to od pogody. O ile będzie lato... Jeżeli zaś idzie o kwiaty, o wieńce, zasadniczo wołałbym gotówkę. T. zn. i tak mi z niej nie nie przyjdzie, ale dla zasady... Po niewczasie człowiek staje się praktyczny! Lecz widzę już siebie:

Na atlasie piękny, cichy,
Rączki trzyma w krzyż...
Przez sen do mnie śle uśmiechy...
Och, ty już nie śnisz!...

Trawestując słowa Ujejskiego do muzyki Chopina, a zapatrzony w wizję lokalną kościoła na Skalce, w ten pogodny dzień majowy roku 1953-go, słuchałem dość obojętnie, podczas gdy Jan Starża Dzierżbicki mówił tym razem o Polsce. Zonglował planetami z niepojętą zręcznością. Wziął najpierw Jowisza, Merkurego i Marsa. Potem dobrał Urana i puścił je wszystkie w jakiś zawrotny ruch. Następnie, jakby mało było wszystkiego, dołączył Wenus, a wypiwszy kawę, podrzucał spodkiem i filiżanką, które łącznie z wymienionymi planetami wirowały dokoła niego niby świetlna reklama. Ale

ja widziałem nieustannie tylko mój prywatny a uszkodzony Księżyc. Co mi tam Polska, skoro ja sam... Nagle jednak drgnąłem, usłyszawszy, że Polska jest w znaku Byka.

— Co takiego?!

— W znaku Byka, proszę Pana Szanownego...

— Cicho! Na miłość Boską! Ściany mają uszy... Jeszcze ktoś weźmie to za obrazę państwa i znajdzie się Pan Szanowny gdzieś na Polesiu, w miejscu odosobnienia...

— Nie pierwszym byłbym astrologiem, który cierpi w imię prawdy i wiedzy! Tak, Polska stoi w znaku Byka, a Byk to jest znak żeński...

— Żeński!? Czy to możliwe!? Żeński?... Czy Pan Szanowny nie myli się przypadkiem? Przecież słyszałem zawsze, że...

— Żeński. O pomyłce mowy niema. Potwierdzi to Panu każdy szanujący się astrolog. I Byk to jest gwiazda szczęśliwa.

Przekonany zupełnie, pomyślałem sobie, że wobec tego jest... byczo. Nawet nie może być inaczej, skoro stoimy w tym właśnie znaku. Ale mój Księżyc... Ogarnęła mnie ponownie fala przygnębienia, mistrz zaś, człowiek bezsprzecznie inteligentny i pełen humoru, a świetny causer, mówił o możliwościach rozwoju astrologji w Polsce. Podług niego za kilka lat, jak tak dalej pójdzie, staną się u nas wyłącznie sklepiki z wiktuałami i... biura

astrologów. I to wróżą już nie gwiazdy, ale zwyczajna obserwacja życia...

To powiedziawszy wstał i pożegnał się. Szedł przez amfiladę sal kalumnjowej, Pasquillina, Scandaletta itd., itd., ogromny, wspaniały, widomy znak Byka na ziemi. Za nim toczyły się wolno gwiazdy jedna po drugiej. Wreszcie zamknęły się bramy, przyczem szef protokołu przez nieuwagę przyciął ogon komety, która szła na ostatku.

Mroczno zrobiło się w moim domu. Świecił gdzieś zdala tylko księżyc blade, mizerny i uszkodzony. Filował właściwie, zamiast świecić. Mówiąc językiem ludu, kopcił.

Lecz w tej chwili odezwał się telefon. To dzwoniła osoba płci odmiennej, z którą teraz oczekiwały mnie przy złej passie między 7-mą a 9-tą wieczorem zmienne nastroje i przeżycia, połączone z ekspansją fizyczną przy wyraźnej tendencji do zgody i porozumienia.

Ponieważ jednak była jeszcze zła z powodu, że nie przyszedłem o umówionej porze, t. j. o trzeciej, przeto po drodze wstąpiłem do kwieciami i kupiłem wspaniałą wiązanek róż...

Ponieważ zaś i ja byłem zły, przeto pokryłem ten wydatek z funduszu gadzinowego!...

Ale i tak były piękne!...

PACYFIKACJA PISOWNI

Sam kiedyś rozpętałem niebacznie groźną burzę, poruszając w sposób wysoce demagogiczny i młodzińczy zarazem sprawę ortografji. Głośny był swego czasu mój „Podkoziółek“, w którym poddałem łagodnej krytyce ostatnie uchwały Akademji Umiejętności. Człowiek był wtedy młody i zapalny (trzy lata temu!), obecnie zaś patrzę na te sprawy nieco inaczej, okiem dojrzałem, zwłaszcza od chwili, gdy wziąłem milczący (na razie) udział w obradach specjalnego komitetu ortograficznego, jaki ostatnio zwołała wspomniana Akademia Umiejętności w porozumieniu z samem ministerstwem oświaty.

Zwalało się z całej Polski coniemniara językoznawców. Same kapacity, począwszy od Rozwadowskiego, a kończąc na młodszych. I zaczęli radzić. Siedziałem jak trusia, powiem zaś otwarcie, że owe obrady przyniosły mi nader przyjemne rozczarowanie. Uczeni wcale a wcale nie otoczyli się jakimś chińskim murem, ani też nie odcięli od t. zw. życia, ale ujawnili zapatrywania nader trzeźwe, powiem

nawet — praktyczne, miejscami radykalne. Przedewszystkiem jednak wysoce społeczne.

Nigdy nie przyszło mi do głowy, że może istnieć jakikolwiek związek między ortografią a zagadnieniami społecznej natury, wydawało mi się bowiem, że ortografia jest wyłącznie sprawą formalną takiej czy innej umowy lub kompromisu. Ostatecznie — sądziłem — czy będziemy pisali „róža“ przez „ó“, czy przez „u“, jest to rzeczą obojętną. I właśnie podczas obrad komitetu spojrzałem na „różę“ z nieco innego punktu widzenia.

Gdy docent Klemensiewicz, mówiąc o propozycjach uproszczenia pisowni, wykaligrafował na tablicy wyraz „ruża“, myślałem w pierwszej chwili, że zlecę z krzesła. To było wręcz piorunujące. Ziemia zachwiała się pod stopami, a wiszące na ścianach portrety uczonych i dobroczyńców Akademii zaczęły się kiwać. Chciałem krzyknąć: „Hańba! Precz! Bolszewik!“ i t. d., ale potem, słuchając obiektywnych wywodów samego referenta jak również innych spokojnych, rzeczowych a bynajmniej nie przesadzających sprawy głosów, przyszedłem do wniosku, że właściwie ludzie stojący w obronie dawnej, tradycyjnej ortografii, bronią raczej tylko własnego stanu posiadania. Przemawiają jako reprezentanci klanu, kasty, jako possessionati. Czy mają prawo decydować o przyszłości? O tych po-

koleniach, które dopiero za kilka lat zaczną trudną, och, jak trudną naukę pisania? Czy obrona wszystkich zawiłości i komplikacyj w dziedzinie ortografii nie jest objawem skrajnego egoizmu?



Wykaligrafował na tablicy wyraz „Ruża“...

Kto wie czy to nie jakaś... zemsta retrospektywna? Może obrońcy tradycji rozumują w sposób następujący: cierpieliśmy w szkole przez tyle, tyle lat, sypano nam dwóje za byle błąd — dlaczego więc wy, młodszy, macie być szczęśliwsi od nas? Cierpiecie i wy! Nie widzimy najmniejszego powodu, aby upraszczać ortografię! Wręcz przeciwnie,

gdyby to było jeszcze możliwe, powinno się ją utrudnić...

Ostatecznie, cóż dziecko winne temu, że ortografję uważamy za jakiś dorobek kulturalny, przekazany nam przez przodków, dorobek, wobec którego obowiązuje rzekomo pietyzm jak najdalej idący? A tymczasem ten dorobek jest może zwykłym bagażem? Pozbyliśmy się już tak wielu bagaży, wyrzucili poza burtę tyle balastu, że możemy śmiało pozbyć się jeszcze i tego kawałka. Zresztą budzi się pytanie, czy nauka trudnej ortografji nie jest poprostu stratą czasu? Czasu, którego w szkole i tak jest bardzo mało?

A wogóle co tu mają do gadania starsi? Przecież nie idzie o nas, którzy piszemy jako tako, ale właśnie o młodzież, o dzieci, które dopiero zaczynają się uczyć. Jeżeli mam być szczerzy, raził mnie brak reprezentanta młodzieży i dzieci, który powinien zasiadać w Komitecie bodaj z głosem doradczym.

Poza tem idzie tu o analfabetów. Przedewszystkiem o nich, o tych sześć milionów Polaków, którzy nie umieją pisać. Któż zaręczy nam, czy radykalne uproszczenie zasad ortografji za jednym zamachem nie przekreśli problemu analfabetyzmu? Taka pisownia stanie się czemś dostępnem dla pro-

staka, otworzy przed nim skarby wiedzy i kultury.

Może pisanie „róža“, „wchód“ i t. d. jest poprostu luksusem, na który mógł pozwolić sobie przedwojenny burżuj, na który jednak nie stać t. zw. szarego człowieka? O, jakże dziwnie kształtują się zagadnienia społeczne w Polsce: pan premier Koźłowski i rząd wogóle tylko mówią głośno, że trzeba stanąć frontem do szarego człowieka, taka zaś na pozór mizerna ortografja może to hasło natychmiast w czyn wprowadzić...

Zrobiwszy jeden krok, trzeba iść dalej. Trudna jest pisownia polska, ale gramatyka grubo trudniejsza. Możeby przy okazji uprościć ją także? Bo jak się raz zacznie... Przypuszczam, że powoli, powoli dałoby się wyeliminować z nauki szkolnej słowa ułomne, wyjątki, pewne czasy, tryby, skomplikowane stopniowanie itd., itd., a za jakiś czas formy te, energicznie tępione w szkole, wyjdą z użycia, ani się spodziewamy. Język polski stanie się wprawdzie uboższy, ale łatwy, dostępny i taki, że każdy Polak będzie nim mówił poprawnie...

W ten sposób dochodzimy najprostsza drogą do bolszewizmu. I tu pragnąłbym uspokoić przerażonych zapewne czytelników: mowy niema o żadnym przewrocie tak radykalnym, tak „bolszewickim“! Kodyfikacja ortografji pójdzie może krótszą drogą

niż kodyfikacja, nad którą głowią się od lat prawnicy, ale w żadnym razie nie będzie ona dziełem niedowarzonem, które chronicznie miałyby uzupełniać jakieś nowele. Poza tem wyrażono pogląd (prof. Kleiner), że „obraz graficzny języka polskiego uważać należy za organizm o samoistnej logice“. Prosto z mostu odrzucono przedewszystkiem manjackie pomysły wprowadzenia jakichś nowych a dziwacznych liter, przyczem uznano za zupełny nonsens upodobnienie pisowni naszej do czeskiej. Nie brak zaś ludzi, którzy wprowadzenie znaków diaktrycznych (na wzór czeskich) uważają za środek wzmocnienia naszej ekspansji na gruncie cytelnictwa czeskiego i chorwackiego, nie zwracają zaś uwagi na to, że równocześnie oddalilibyśmy się od całej Europy.

Chwała Bogu, nowinki te z punktu znalazły się w koszu.

Jeśli idzie o właściwą, na serjo traktowaną reformę, to wydaje mi się, że raczej przybierze ona kształt nie rewolucyjny, że nie kopnie tradycji, choć równocześnie wolna nie będzie od zmian może i daleko idących, w każdym jednak razie takich, które przetrwają jakiś okres czasu. Daj, Boże, pół wieku! Nietaktem byłoby zgóry przesądzać wyniki prac komitetu, lecz już dzisiaj wypadłoby zaznaczyć publiczność z pewnemi możliwościami, tem więcej, że mamy jakąś szczególną postawę „uczu-

ciową“ wobec ortografji. Poprostu żał nam jakiegoś „o“ z kreską, jakiegoś „rz“, i gotowiśmy łączyć nad jakimś słabem „h“... Dlaczego? Czy, że tak pisała nasza babcia?

A właśnie mam wrażenie, że ofiarą padnie „ch“. Czy będzie to jakieś nieszczęście? Chyba nie. Przecież w samej wymowie nikt — z wyjątkiem kresowców i to nie wszystkich — nie odróżnia w dykcji „ch“ od „h“, czyli że na wyrażenie jednego i tego samego dźwięku mamy niepotrzebnie aż dwa znaki, które zwłaszcza w szkole zazwyczaj są powodem wielu bolesnych nieporozumień.

Że wyrzucenie „ch“ poza nawias polskiej rzeczywistości jest rzeczą możliwą, świadczy następujący, a nader znamienny fakt: oto nawet przedstawiciel PAL-u, czyli Polskiej Akademji Literatury, w zasadzie nie kontrował przeciw temu wnioskowi. Jeżeli więc przedstawiciel instytucji tak skostniałej w wiekowej rutynie, tak obciążonej balastem tradycyjnym, tak tkwiącej wszystkiemi korzeniami w kulcie przeszłości, nie miał nic przeciw tej zmianie, sądzić należy, że i w samem społeczeństwie nie odezwą się głosy protestu.

Zniesienie „ch“ będzie połączone z zyskiem wydawców, jako poważna oszczędność. Bądź co bądź,

„ch“ występuje w języku polskim bardzo często. Wydawcy robią niezły interes. Ale na tym drobnym przykładzie możemy stwierdzić, do jakiego stopnia krzyżują się interesy pracowników i pracodawców, literatura bowiem poniesie poważne straty. Jeżeli nie sama literatura, to w każdym razie literaci. Zadałem sobie trudu i obliczyłem, że na jedną stronę druku wypada blisko dziesięć „ch“. Czyni to dla człowieka, zarabiającego od wiersza, blisko 1 proc. straty. Littera nocet... Jeżeli pisarz bierze 50 groszy od wiersza, to przy książce, liczącej trzysta stron, otrzyma honorarium niższe o trzydzieści złotych.

No, ale z tem nikt nie będzie się liczył, literatura zaś złoży tę ofiarę na ołtarzu wspólnego dobra, dając w ten sposób piękny przykład innym gałęziom przemysłu.

Jeśli idzie o dalsze uproszczenia, kto wie, czy ostoją się wszystkie „ó“. Może odpadną na rzecz „u“ tam, gdzie t. zw. oboczność nie jest już wyraźna i żywa, gdzie dla jej stwierdzenia trzeba jako tako orjentować się w zagadnieniach językowych. Nikt nie myśli o pisaniu „nuż“, jako że oboczność „noża, nożem“ itd. występuje zbyt wyraźnie, jest jednak rzeczą w zasadzie do pomyślenia np. „gu-ra“, ponieważ formy takie, jak np. „Gorce“, są dla laika kombinacją zbyt daleką.

Lecz niema mowy o panice, wystarczy tylko przy-

gotować się „uczuciowo“ na niektóre ewentualności. „Morze“ zostanie po dawnemu „morzem“, ponieważ oboczność „morski“ zanadto rzuca się w oczy, ale np. „twarz“ dałaby się zastąpić przez



Ogórek czy ogurek?

„tważ“. Powiadają uczeni w piśmie i pedagogowie, że mogłoby takie uproszczenie oszczędzić sporo czasu i nauczycielom i dzieciom. Byleby tylko nie przeznaczono tego czasu wyłącznie na klejenie kakaków...

Powtarzam: możemy być spokojni. Idzie o to, aby prace komitetu potoczyły się w atmosferze spo-

koju i zaufania, na które polscy uczeni w zupełności zasługują. Mają zaś na głowie całe sterty problemów. Więc choćby interpunkcja, pisanie dużą literą, nazwy i wyrazy cudzoziemskiego pochodzenia, przedewszystkiem zaś chyba kwestja pisania pewnych kombinacyj łącznie czy też oddzielnie, która może najwięcej narobiła zamieszania i bałaganu.

Nie miałoby najmniejszego sensu wpływać już teraz na tok obrad, zasypywać komitet listami, propozycjami, genjalnemi pomysłami itd., itd. Nie brak zaś u nas tego rodzaju „wynalazców“.

Na obu posiedzeniach drzemałem w podniosłym nastroju. Zastrzeżenia budziła we mnie tylko dykcja, wymowa polonistów i językoznawców — dykcja, którą, jako eksaktor byłem głęboko zgorszony. Właściwie nie tylko jako aktor. Np. któryś z profesorów dwa razy powiedział „jezdem, jezdeśmy“... Co gorsza, pewien stołeczny filolog stale i systematycznie mówi „Któs, coś“. Nadto, gdy była mowa o rozróżnianiu rodzajów w liczbie mnogiej (dobrymi ludźmi — ale — dobrymi końmi) wystąpił przeciw temu rozróżnieniu, mówiąc „Musimy pisać dobrymi końmi“... To bardzo nieładnie.

Inny znowuż polonista mówi stale „Mni wienicy“. Albo nawet „Mi wienicy“.

Gdy nieśmiało zaproponowałem, aby zwrócić uwagę na sposób wymawiania pewnych kombinacji, przyjęty w teatrach polskich i w szkołach dramatycznych, dowiedziałem się, że właśnie aktorzy wymawiają źle. Np. dykcja aktorów szczególnie szwankuje przy wyrazie „jabłko“. De facto powinno się wymawiać „japko“...

W takim razie spróbujmy pisać zamiast „czapka“ — „czablka“. To wyjdzie na jedno...

VOTUM SEPARATUM

Niedawno miałem gościa, Francuza. Bardzo miły, kulturalny, mądry człowiek, a nawet, jak się zdaje, gruba ryba. Nasz wspólny przyjaciel, również Francuz, podał mu adres mój i polecił mi zająć się tym panem. Przybysz trafił fatalnie. Gorzej nie można: interesuje się przede wszystkim kwestją rolną i konstytucją polską. Właśnie ja mam go o tem poinformować! Odrazu wyznałem, że w tej materji jestem jak tabaka w rogu, niemniej jednak znalazły się inne tematy rozmowy, w ciągu której zeszliśmy na stosunki polsko-francuskie, dotykając otwarcie ostatnich wstrząsów, na jakie była narażona wzajemna przyjaźń obu narodów.

— Proszę pana, obawiamy się głównie jednego: obecne zbliżenie wasze do Niemiec, bezpośrednie sąsiedztwo, bardziej rozpowszechniona znajomość języka, dalej stosunki handlowe itd., itd., wszystko to w sumie oddać was może bez reszty na pastwę wpływów niemieckich, zarówno w dziedzinie ekonomiczno-politycznej, jak artystycznej, literackiej, kulturalnej. Zapomnicie o Francji... Sły-

szalem, że w ostatnich czasach dał się odczuć poważny spadek zainteresowania się literaturą francuską. Czy to prawda? Proszę o szczerą odpowiedź!

Zamiast rozwodzić się szeroko, wskazałem mu półkę przekładów Boy'a, mówiąc, że jest to nowe wydanie, które dochodzi obecnie do setki tomów. Gość mój zaczął czytać nazwiska autorów i zatkało go na amen. Jego zdumienie rosło z każdą chwilą. Kazał sobie tłumaczyć poszczególne tytuły i gębę otwierał coraz szerzej. Rabelais i Wolter, Pascal i Rousseau, La Rochefoucauld i Beaumarchais, Chamfort, Racine, Descartes, Pieśń o Rolandzie, Montaigne, Mérimée, Musset, Verlaine...

Otwarłem Villon'a i zacząłem skandować głośno:

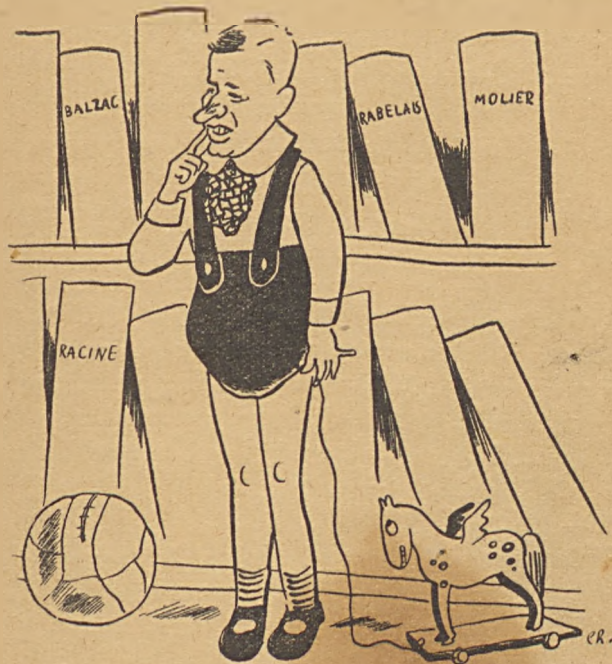
Wiem, że bogate y ubogie,
Mądre, szalone, świeckie, xiędze,
Hojne y skąpe, tanie, drogie,
Małe y duże, pychy, nędze...

— C'est en vers?! — przerwał mi w najwyższym zdumieniu. — To nieprawdopodobne!

Odrzekłem, że u nas wiersze tłumaczy się zawsze i wyłącznie wierszem, następnie zaś pokazałem inne jeszcze rzeczy, Moljera, jako cymes, chowając na ostatek. Już „Fedra“ Racine'a dała mu rady, ujrzawszy zaś sześć tomów Moljera, był wyraźnie wzruszony. Dobilem go Świętoszkiem. Prosi mnie, abym mu przeczytał jakąś scenę.

— Naprzykład którą?

— Może dialog Elmiry z Tartufem. Trzeci akt...



„U nas każde dziecko zna Moljera“ — odrzekłem skromnie.

Nie umiał ani słowa po polsku, aby jednak mógł w pewnej mierze porównać tekst, dałem mu książkę do ręki, a sam zacząłem z pamięci, zgrywając się, jak stary kabotyn z Comédie Française:

Niechaj niebo, dla ciebie, pani, najlaskawsze,
Zdrowiem ciała i duszy obdarza cię zawsze,
I niechaj błogosławieństw tyle ci przysporzy,
Ile ich pragnie dla cię nędzny sługa boży...

— Pan to umie na pamięć?!!!!!

— Tak, panie — odrzekłem skromnie. — U nas każde małe dziecko zna Moljera...

To było zrobione po mistrzowsku. Oczywiście, nie powiedziałem, że Tartufe to moja rola z dawnych lat...

Wytrzymawszy artystyczną pauzę, w ciągu której otrzeźwiał z wrażenia, kazałem podać herbatę. Usiedliśmy i ja z kolei pytam o zainteresowanie polską literaturą we Francji. Szczęśliwym trafem, gość mój czytał „Pana Tadeusza“ w nowym przekładzie Pawła Cazin.

— No, i...?

Teraz on zrobił pauzę. Widzę, że mój gładki, wytworny gość waha się. Nie wie, co powiedzieć, wobec czego proszę o bezwzględną szczerość.

— Zełce mi pan tego nie brać za złe, jednak... Nic łatwiejszego, jak rzucić kilka miłych, banalnych słów, powtarzając mniej więcej to samo, co w przedmowie napisał Barthou, ale pan prosi mnie o szczerość. Nie chciałbym pana dotknąć... To jest nudne. Długie, ciężkie. I, niestety, płaskie...

„C'est plat“... Identycznie, co do joty tak samo zdefiniowała swoje wrażenie pewna inteligentna Francuzka, którą interpelowałem na temat „Pana Tadeusza“ przed jakimś miesiącem. Wielka nasza przyjaciółka. Tak samo wahała się i prosiła, abym jej nie wziął za złe...

Mam w ręce ten przekład, o którym głośno jest u nas od kilku miesięcy. Dzieło solidnej, ciężkiej pracy człowieka nam oddanego, pełnego najlepszych chęci i zapału, dzieło szczerego entuzjasty, przyjaciela i t. d., i t. d. Powinien za dawne prace mieć Polonia Restituta we wszystkich kalibrach czy numerach aż do wielkiej wstęgi włącznie. Zasłużył na to w pełni. Poza tem człowiek skromny, cichy, dyskretny, ale... Przykro mi, że do chóru pochwał i komplementów przyłączyć się nie mogę. Choćbym nie wiem jak chciał! C'est plat...

Staram się na chwilę zapomnieć, że jestem Polakiem, wykreślić z pamięci „Pana Tadeusza“, którego całe partje mogę, zbudzony w nocy, recytować jednym tchem. Biorę pierwszy lepszy kawałek z bardziej znanych, nawet nie starając się wyszukiwać takich fragmentów, gdzie wiersz Mickiewicza jest czemś więcej niż muzyką. Więc nie tykam opisu burzy, koncertu Jankiela czy Wojskiego (po francusku „S'é n é c h a l“), pomijając również

muzykę wieczoru. Biorę apostrofę do roku wojny z księgi XI-ej i czytam:

„O, roku pamiętny dla tego, kto cię widział u nas! Lud nazywa cię jeszcze rokiem obfitości, a żołnierz rokiem wojny. Starcy lubią o tobie mówić, marzy się o tobie w pieśniach ludowych. Oddawna byłeś zapowiedziany przez zjawisko niebieskie i poprzedzony głuchą wieścią, która biegła poprzez tłumy. Z wiosennem słońcem serce Litwinów napępniało się dziwnymi przecuciami, jak przed końcem świata, oraz oczekiwaniem trwożnym i wesołym“.

„To samo“ po polsku:

O, roku ów! Kto ciebie widział w naszym kraju!
Ciebie lud zowie dotąd rokiem urodzaju,
A żołnierz rokiem wojny; dotąd lubią starzy
O tobie bajać, dotąd pieśń o tobie marzy.
Zdawna byłeś niebieskim oznajmiony cudem i t. d., i t. d.

Miedzy temi dwoma tekstami jest przepaść niezgłębiona! To dwie rzeczy zupełnie różne, nie mające z sobą nic wspólnego! Jeden tekst to poezja, drugi najprozaiczniejsza proza, proza wręcz płaska, nudna, bez wdzięku! I to ma się podobać Francuzom!? Ma ich zdobyć!?

Ale może ja celowo wybrałem taki najslabszy kawałek? Otwórzmy zatem książkę na chybił-trafił. Np. „Głupi niedźwiedziu...“ „Ours imbé-

cile! Si tu étais resté dans ton paradis (matecznik!), le Sénéchal n'aurait jamais entendu parler de toi. Mais, soit alléché par l'odeur des ruches...“ i t. d. Albo „Któż zbadał puszcze litewskich przepastne krainy“: „Qui a jamais sondé les profondeurs de gouffre des forêts lithuaniennes...“.

Najgorzej wypada pejzaż. Lektura tych partyj „Pana Tadeusza“ jest wręcz bolesna! Chciałoby się zaprotestować, czytając np. ustęp „Ja, ileż wam winienem o, domowe drzewa...“.

„...przeciętny strzelec, uciekając przed szyderstwami moich towarzyszy, ileż, w waszej samotności, trafiłem myśli, z braku zwierzyny, gdy w głębi dzikich gąszczów, łatwo zapominający o polowaniu, siadałem na darni trawnika a koło mnie siwobrody wrzos plamił się ciemno-niebieskim kolorem pogniecionych borówek...“.

To straszne! Dodajmy, że tłumacz, nie mogąc sobie poradzić z „brusznicami“, znalazł słowo „les aïrelles du Mont Ida“. To Soplicowo pachnie Offenbachem, laskiem Ida...

Naturalnie, że można to odrobinę wygładzić, wypolerować, ja zaś daję przekład w całej trywjalnej surowiznie. Obawiam się jednak, że tak właśnie przedstawi się on uszom Francuza. Jestem więc ciekawy, co sobie taki Francuz myśli, czytając to

wszechświatowe arcydzieło epopei? Co on sobie myśli prywatnie, na własny użytek? Bo dziesiątki, czy nawet setki recenzyj i propagandowych artykułów, jakie na temat przekładu „Pana Tadeusza” ukazały się ostatnio w pismach francuskich, nie przekonywują mnie ani trochę. Wiadomo, jak się robi podobne rzeczy.

Czy taki przekład może przynieść jakikolwiek realny pożytek i wzmocnić zainteresowanie dla naszej literatury? Przecież czytelnik francuski najpierw powie, że to nie jest arcydzieło. Dalej, że to nie jest poezja. Że co najwyżej ma się do czynienia z kiepskim romansem w stylu Waltera Scotta. Rok 1834. Na ten czas przypada we Francji tyle pysznych powieści, że „Pan Tadeusz”, przełożony na prozę, zblednie przy nich i pójdzie w ką. Francuz będzie go mierzył miarą powieści, jakie pisali wtedy Mérimée, Balzac, Vigny, Wiktor Hugo, Stendhal, George Sand i tylu, tylu innych! A tu naraz każą temu Francuzowi wierzyć, że to jest arcydzieło!

„Pan Tadeusz” jest arcydziełem! Na pewno! Ale wtedy, gdy kwitnie wierszem, gdy słowa jego układają się w rytm uroczysty, skandowany, pełny, dźwięczny, gdy humor poety, przybrany w rymowaną szatę, strzela raz po raz, gdy co krok ogarnia nas wzruszenie, duma, radość. Plastyka „Pana Tadeusza” polega na prostocie, oddanej wierszem,

podczas gdy w prozie ta sama prostota staje się prostactwem, w najlepszym wypadku prymitywem, pozbawionym wszelkich artystycznych wartości. To naiwność bez wdzięku. To drzewo, odarte nie tylko z kwiatów, ale z liści, z gałęzi, to suchy pień. C'est plat... Została tylko fabuła, z której wszystkimi porami bucha „wieprzowatość” życia.

Weźmy humor. Pamiętają państwo wiersz, w którym Mickiewicz pozwolił sobie na przepołowienie nazwiska „Jędykowiczówna”:

Zwała się Kokosznicka, z domu Jędykowi-
Czówna. Jej wynalazek epokę stanowi.

Po francusku: „Elle s'appelait Kokosz-
nicka, née Jędykowiczówna. Son in-
vention fait époque dans l'économie
domestique”... Czy tu potrzebny komentarz?

Albo Bartek opowiada o swoich przewagach nad Prusakami:

Nuż landratom tłuc w karki, z hofratów drzeć schaby
A herów oficerów łowić za harcaby...

To „herów oficerów” po polsku jest paradne, pełne humoru, zawadjackie. I jakże „to samo” wygląda po francusku? „Assommer quel-
que landrath, tailler des grillades
sur quelque hofrath, attraper mein
Herr l'officier par la queue de sa

perruque“... I co tu zostało z Mickiewicza? Ani krztyny stylu! Przecież nawet prozą można to jakoś wyrazić, dać tym słowom odrobinę temperamentu, siły, koloru, charakteru! A poza tem przecież i proza ma swój rytm! Swoją plastykę! Swoją... poezję! Tylko trzeba mieć talent. Poprostu talent, nic więcej. A tam była dobra wola, zapał, nawet entuzjazm. To za mało.

Nie chcę nicować dłużej, bo to naprawdę nieprzyjemne zajęcie. Tysiąc razy wolalbym chwalić. Zresztą wszystko byłoby w porządku, gdyby p. Cazin nie określił swojego elaboratu jako „przekład“. Bo to nie jest ani przekład, ani tłumaczenie. To jest jakby pomoc szkolna dla takiego Francuza, który, umiejac trochę po polsku, chce przedrzeć się przez gąszcz trudności, jakie przedstawia literatura „Pana Tadeusza“ w oryginale. To, jak mówiono w Kongresówce, t. zw. „klucz“ do „Pana Tadeusza“, po naszymu, tj. po małopolsku, „bryk“. Ale nigdy „przekład“!

Za każde moje słowo gorąco, serdecznie przepraszam zacnego p. Pawła Cazin. Bogiem się świadczę, że nie chciałem mu zrobić najmniejszej przykrości!

LITERATURA I WYTRYCH

„Słomiany bandzior był wtedy ze mnie, więc wyśpiewałem wszystko na hyclowni. Sam wskazałem, gdzie schowałem kilka sztuk blitu..., gdzie zameli nowałem binder. Wiesz, mimo, że do wszystkiego się przypucowałem, spuścili mi takie manto, że do dziś pamiętam... Nie masz pojęcia, jaką cykorję miałem wtedy. Jeden hint uderzył mnie pięścią w cyferblat tak, że dwa gryzonie wypadły mi na podłogę, czuchy były zalane krwią. Dekę mi odbili... założyli na graby branzoletki... Dzira moja codziennie przynosiła mi gary... bajcowałem w dzień i w noc. Dziad pocieszał mnie, że niedługo pójdę na dyndawkę“ (Urke Nachalnik „Żywe grobowce“, str. 158).

Oto skromna i zarazem najłagodniejsza próbka stylu najpoczytniejszego dziś autora polskiego. Próbka wybrana tak, aby mi ją puścili w niedzielnym feljetonie. Tu już nie idzie o sam tryskający naturalizmem epizod, który — aby móc opisać — trzeba przeżyć na własnej skórze, ale zwracam uwagę na stronę czysto formalną, na dorobek językowy. Kochanka — dzira! A jest i inny syno-

nim, tylko trochę się boję... Zresztą wystarczy dzi-
ra. Jakież to śmiałe, jakie nowe, jakie konkretne
i plastyczne, jakie — powiedziałbym — nama-
calne! Albo szubienica — dyndawka!... Pleż w tem
wyrazu! Oto prawdziwe bogactwo, oto żywa kry-
nica mowy, oto niewyczerpany kapitał, z którym
w progi literatury ojczystej wkracza p. Urke Na-
chalnik. Jeżeli idzie o ten gatunek prozy, nie do-
równa mu nikt. Zastanawiam się i szukam w my-
śli, ale widzę, że każdy pisarz wobec niego jest
właśnie jak „słomiany bandzior“. Chyba... Lecz
i jemu jeszcze daleko do tej finezji...

Źle wyraziłem się mówiąc, że p. Nachalik do-
piero „wkracza w progi literatury ojczystej“. On
w niej już siedzi na całego. A ten człowiek umie
siedzieć. I nie można twierdzić, jakoby wrota sławy
otworzył wytrychem. Nie! Rozpruł je solidnie jak
kasę ogniotrwałą, pierwszym tomem pisany je-
szcze w więzieniu rawickiem, który mu wydał Pa-
tronat Towarzystwa Opieki nad Więźniami. Ale to
było dawno, strasznie dawno temu: w 1933-im ro-
ku. Od czasu tych „Wyznań“, od czasu tej „Spo-
wiedzi dziecięcia wieku“ karjera pisarska poto-
czyła się z zawrotną szybkością. Więc następny to-
mik nowel, zebranych pod tytułem „Miłość prze-
stępcy“, wydał nie jakiś tam Patronat Więźniów,
ale ruchliwa, przedsiębiorcza firma M. Fruchtma-
na. Trzecią zaś książkę z kolei puścił... „Rój“. To

awans, tem bardziej, że wydawcy zaopatrzyli te
„Żywe grobowce“ w analityczny wstęp, gdzie mowa
jest o p. Nachalniku, jako o „literacie“. Cudysłów
dałem nie ja, lecz anonimowy autor wstępu. Czy



Rozpruł je solidnie...

dobrze zrobił, nie mnie sądzić. Faktem jest, że sam
p. Nachalik nie uważa się za literata i nie chce
nim być. Mam wrażenie, że trochę się wstydzi.
Uważa się natomiast za fachowego złodzieja, nale-
żącego bądź co bądź do elity przestępczej. O „dru-
gorzędnych nożowcach“, o „niefachowych zbrod-
niarzach“ mówi z nieukrywaną pogardą.

Choćby jednak nie wiem jak bronił się przed

mianem literata, jest nim ponad wszelką wątpliwość. Pisze prozą i wierszem. W twórczości jego (mam na myśli twórczość litylko pisarską) zмага się ustawicznie Dichtung und Wahrheit, poetycka fikcja i rzeczywistość, deformowana w sposób coraz bardziej artystyczny. Wyobraźnia, która dawniej umiała przenikać pancerne ściany kas ogniotrwałych, czyli „pudeł“, dziś nauczyła się nieźle haftować. A powodzenie jego jest olbrzymie. Ręką, zgrubiałą od „branzoletek“, jął się pióra, wybijając się rychło na jedno z czołowych stanowisk w naszym piśmiennictwie. W wypożyczalniach ludzie walczą poprostu o jego książki, stanowiące najulubieńszą prywatną lekturę młodzieży. Wydawcy wydzierają go sobie nawzajem. Nadto, p. Urke wyraża się bardzo dobrze o członkach Akademji Literatury, a szczególnie Sieroszewskiego uwielbia, pisząc o nim w słowach nadzwyczaj ciepłych. Nałkowską cytuje na pamięć. Stosunek jego do zagadnień państwowych jest nie tylko poprawny, ale nawet wzorowy. Przypuszczam, że ten człowiek daleko zajdzie. Wszystkie drogi stoją przed nim otworem.

Nie czas jeszcze na próbę syntezy p. Urke Nachalnika, ale już teraz myślę, że przyszły historyk literatury będzie miał trudność nielada z tą wybitną jednostką. Gdzież ją ulokować? Do jakiego kierunku czy grupy zaliczyć? Bo nie można go po-

minąć milczeniem. Francuzi niezbyt chętnie widzą Jana Jakóba Rousseau na świeczniku literatury francuskiej, ponieważ wprowadza ich do pewnego stopnia w kłopot dziwna ta i chwilami mętna figura, obnażająca się z satysfakcją na oczach wszystkich. Nie jest mi wiadome, czy p. Urke czytał Jana Jakóba i nie pora jeszcze doszukiwać się wpływów obcych w jego twórczości. Nie wiem również, ile zełgał Rousseau w swych „Wyznaniach“, ile zaś prawdy jest w wyznaniach p. Urke Nachalnika, ale szczerłość ich obu w wielu wypadkach jest irytująca. U p. Nachalnika czasem wręcz nachalna. Ten człowiek spaceruje sobie goły, jak go Pan Bóg stworzył. To jest moralny nudysta. Kto wie, czy nie w tem właśnie leży tajemnica powodzenia? Bardziej rozpasanej szczerłości niepodobna sobie wyobrazić. To już nietylko same „rączki na stół“, ale oprócz rączek wszystko, co być może.

Świetny krytyk, p. Leon Pomirowski, chcąc scharakteryzować naszą epokę, użył terminu „Walka o nowy realizm“. Obecnie zastanawiam się, czy p. Nachalik bierze — świadomie lub nieświadomie — udział w tejże „walce o nowy realizm“, jednak wydaje mi się, że tak. Dorzucił w każdym razie jakąś cegielkę. I teraz obie strony są jakby zażenowane. Autor z wrodzoną sobie dyskrecją i taktem nie narzuca się, stosuje zasadę splendid isolation i prawdopodobnie stroni od Związku Zawo-

dowego Literatów. Krytyka zaś jest w przykrem do pewnego stopnia położeniu. Człowiek niewątpliwie z talentem, ale złodziej, włamywacz, wielokrotny recydywista, bywalec tyłu więzień polskich, a nawet obcych...

Lecz pisze coraz lepiej. Są w jego książce epizody przepyszne, są miejsca pełne humoru, są partje, świadczące, że autor umie spojrzeć daleko i ogarnąć całokształt zagadnienia z pewnej perspektywy. N. p. taki ustęp: „Tak samo, jak rozmaite interesy przechodzą z żydowskich rąk do nie-żydów, tak samo chleb złodziejski również przechodzi od żydów do innych rąk. Dawniej dobrzy złodzieje po większej części składali się z żydów. Paserami byli wyłącznie tylko żydzi; ostatnio i to przechodzi w inne ręce“... Nie wiem, czy mamy się z tego cieszyć czy smucić, czy to oznacza wzrost naszego stanu posiadania, ale wynikałoby stąd, że ustawiczne skargi na zagarnianie wszystkiego przez żydów są nieco przesadzone. W każdym razie coraz więcej paserów mamy chrześcijan. To też coś znaczy.

Gdy czytam to złodziejskie epos, myślę sobie chwilami, że niebezpieczny wybrałem temat. Jak nie, mogę się narazić, a tymczasem wstęp do najnowszego tomu wyraźnie mówi, że autor jest na wolności... Doznaję uczucia jakby lekkiej tremy, zwłaszcza, że sam p. Nachalnik nadzwyczaj często

podkreśla swą atletyczną budowę i fenomenalną siłę fizyczną...

Jeżeli o mnie idzie, szczerze, z całego serca życzę p. Nachalnikowi, aby nigdy nie wracał do Czerwoniaka lub Mokotowa. Lepiej już niech pisze! To człowiek raczej sympatyczny, o instynktach dobrych, o dość bogatej skali uczuć i — pomimo całej fanfaronady — głęboko, głęboko nieszczęśliwy. Życie jego to piekło! Może tam i gdzieniegdzie koloruje, ale są stronice, przy których chciałoby się krzyknąć „Dość! Dość!“ Sceny katowania więźniów, opis ciemnicy („tam, gdzie much niema...“), męka kajdan, a zwłaszcza przewijający się przez całą książkę głód, od którego „wściekł się żołądek“ — wszystko to zionie piekłem. Najgorsza zaś rzecz, to... wolność po wyjściu z więzienia.

Jednak teraz autor odcina sobie kupony od tego piekła i żyje z procentu. Pytanie tylko, czy utrzyma się z czystej literatury? Bo, jak amen w pa-cierzu, zapomni dawnego fachu. Wyjdzie z wprawy. O, wiem, co mówię... Wrócić trudno. Poza tem literatura to nie jest lekki chleb. Gdy czytam p. Nachalnika, wydaje mi się, że jego pierwszy fach był lżejszy. W każdym razie byłby wskazany jakiś racjonalny płodozmian.

Ale faktem jest, że przestał kraść, a zaczął pisać i teraz notowany jest w kronikach... literackich. Was unsterblich im Gesang soll leben, muss im Le-

ben untergehen... Zginęły więc w życiu, ale ożyły w pieśni dawne wyprawy, które jako klawisznik urządzał to z maskasem, to ze zwykłym szabrem, to znowuż z rakiem w ręce. Teraz w dłoni trzyma tylko „robaka“ — czyli ołówek i tym instrumentem „grypsa“ czyli pisze. Gdy mu się to znudzi, może, jak inny wielki romantyk zawołać dla odmiany „Zgińcie, me pieśni, wstańcie, wyczyny moje!“

Zresztą niewiadomo, jak to naprawdę było z tem kradzeniem. Fachowcy twierdzą, że był złodziejem na małą skalę, on zaś sam rozszerza akt oskarżenia przeciwko sobie. To jednak stanowić już będzie temat przyszłych biografów i krytyków. O ile, rzecz prosta, literatura potrafi przygarnąć tego polskiego Villon'a na czas dłuższy i podać mu dłoń pomocną. To znowuż sprawa oficjalnych czynników literackich.

P. Nachalnik zapowiada w najbliższym czasie nowy tom, słychać zaś także o scenariuszu i o dramacie dla Teatru Narodowego. Prawdopodobnie jednak, zwłaszcza na terenie filmu polskiego, p. Nachalnik czuć się będzie najlepiej. Jak u siebie w domu. O ile uzna towarzystwo za odpowiednie.

Niczem nie gorszę się nigdy, dlatego też i teraz wstrzymuję się od wydania sądu, czy nagła popularność p. Nachalnika jest objawem złym czy dobrym. Ale, gdy obserwuję siebie, widzę, że coś stało się ze mną. Coś dziwnego. Nie mogę przejść

spokojnie koło wystawy jubilerskiej! Dotychczas wystarczało mi kilka złotych i srebrnych wieńców, ofiarowanych mi przez wdzięczną publiczność za to, że przestałem występować na scenie, teraz zaś... Nie! To okropne! Godzinami stoję przed pewną witryną przy ul. Sławkowskiej, wpatrzony w brylanty, perły, złote zegarki... I mówię sobie: „Jesteś frajer!“...

Potem oglądam zamek, czyli t. zw. „pietrówkę“. Wydaje mi się, że robota „na kaber“ będzie niewygodna. Zresztą „skower“ pilnuje całą noc. Prawdopodobnie z tego wszystkiego wybiorę podkop. Ale to jeszcze wymaga namysłu.

Gdy kiedyś jak zahipnotyzowany patrzyłem na te brylanty, stanęła obok mnie jakaś nieznajoma, obrzucając zalotnym wzrokiem mą atletyczną postać, która znamionuje wielką siłę fizyczną... I szepnęła:

— Widzisz tę kolję?...

— Widzę i będziesz ją miała! O, moja dziro!...

Chwila jeszcze a byłbym popełnił szaleństwo. Na szczęście, przechodził tamtędy t. zw. „skieł“, który kazał nam rozejść się, mówiąc, że dawno już ma nas na oku. To mnie chwilowo uratowało...

U KSIĘDZA KUZNOWICZA

W pewnych momentach muzyka robi ze mną, co chce. Rozkleja mnie, rozkręca wszystkie śrubki i muterki, demontuje na drobne kawałki. Zwłaszcza, gdy jestem na czczo i gdy tą muzyką jest chór. To właśnie stało się ze mną w białej, przejasnej kaplicy wielkiego domu, który zbudował dla młodzieży ks. Kuznowicz. Mała, drobna figurka i taki wielki, wspinały dom! To jakaś bajka o mądrej mrówce, która na początek miała... pięć koron całego majątku. Za te pieniądze nawet kupić drukowanej bajki nie można a coś dopiero zbudować ją z żelazo-betonu!

Jak ja się tam znalazłem? Poprostu wybrałem się na nabożeństwo żałobne za zmarłego przyjaciela, Józefa Sosnowskiego. Poszedłem i — wstyd przyznać — rozrzewniłem się w najnieprzystojniejszy sposób pod słońcem. Nerwy, panie dobrodziejku... Na szczęście, w kaplicy było pusto, jak wymiótł, i nikt nie zauważył. Przyszło sześć osób z teatru, jedna z miasta i ja. Razem, nie licząc domowych, ośm sztuk.

Było więc pusto, ale jasno ogromnie, bo ks. Kuznowicz zapalił wszystkie świece. Orkiestra grała Beethovena i chór śpiewał piękne, posępne pieśni, które jak delikatne smugi dymu pięły się po bielutkich ścianach i opadały sennie na posadzkę. I jakże tu oprzeć się muzyce? Nie potrafię! Ksiądz mówił po łacinie o „anima Josephi“, ja zaś mruczałem po niemiecku. Przyplątał mi się Schiller „Dem Mimen flicht die Nachwelt keine Kränze“... Ale wzruszyłem ramionami, przechodząc na inny motyw: Ks. Kuznowicz i Sosnowski! Wielki Jałmużnik Krakowa i wielki aktor... Cóż za kombinacja?

— „A wszystkie moje graty, więc garnitury, frak, smoking, płaszcze, buty, selskinowy futerał (tj. futro), bielizna, książki, radjo itd., itd., — to już niech pójdzie na ks. Kuznowicza“ — tak sobie życzył.

Stało się więc wedle woli. „Na“ ks. Kuznowicza... I podczas nabożeństwa myślałem o dziwnej metamorfozie... tychże aktorskich fraków, smokingów czy futer. Wędrówka dusz tejże garderoby. Ubrania wysłużyły się scenie, a teraz, sprzedane, posłużą innej, jeszcze lepszej sprawie. Aktorzy mówią o swych ubraniach, jak o żywej istocie. Więc „ten frak grał w „Weselu“, albo „ta jasna kamizelka grała ostatnio w takiej a takiej farsie, te spodnie zaś grały w Kiedrzyńskim“ itd., itd.

A teraz wszystkie owe kawałki przestały grać. Frak, dobrze skrojony frak, ten frak, który kochał, zabijał, który był w tysiącu sytuacjach, jakże sprzecznych, jak nie licujących z pośmiertnem przeznaczeniem, ten frak... To jakaś poniekąd ekspiacja! Dziwne!... Pomyśleć, że nie dzięki rołom wspaniałym i niezapomnianym (!?), ale jedynie dzięki tej grzesznej odzieży tak jasno było w białej kaplicy ks. Kuznowicza. I muzyka grała! I chór śpiewał! A ja, ja, wzruszyłem się poprostu skandalicznie!

Później jednak zachowałem się jeszcze gorzej. Bo ks. Kuznowicz zaprosił obecnych na skromne (nie wymawiam!) śniadanie, gdzie zresztą było wszystkiego za dużo. Bystrem spojrzeniem rzuciłem na stół i oko moje spoczęło niechętnie na kieliszku. O, nie lubię o tej porze! Ale ks. Kuznowicz wygłosił piękną mowę, na którą, jako właściwy, choć niezasłużony adresat, musiałem odpowiedzieć. O dziesiątej rano lichym jestem pijakiem, ale mówcą jeszcze gorszym.

Jednak trzeba rzec słów kilka. Umoczywszy tedy usta w kieliszku (o, dobre, niezłe, bardzo dobre, doskonałe, ho, ho...), wziąłem asumpt od czystych ścian, od białego obrusa, od chudej, ascetycznej postaci gospodarza. I wyznałem ze skrucą na wstępie, że stosunkowo rzadko oddaję się praktykom religijnym. I rzadko na moje wargi wypływa wielkie słowo „Bóg“. Ale tu, w tych czystych ścianach

czuję Boga. Nie myślę się! Widzę bowiem mądrość, ład, sens, dobroć.

Teraz już mowa popłynęła stosunkowo łatwiej. Wypiłem do dna i zamilkłem na chwilę. Ktoś skorzystał z tej pauzy artystycznej, aby napęlić kieliszek, ku czemu zresztą podświadomie zdążałem. (Zupełnie dobre to wino). Poczem ciągnąłem dalej, mówiąc, że niedawno z dumą i triumfem pokazywano mi w Moskwie domy młodzieży studjującej, młodzieży, która otrzymuje porcje jedzenia zależnie od... stopni w nauce. Demonstrowano mi jako cudzoziemcowi z wielkim hukiem rozmaite instytucje, podnosząc rzekome zdobycze techniki i postępu, na które wysadziło się olbrzymie państwo w swej czteromiljonowej stolicy. A naprawdę widziałem tam tylko brud, nędzę i zaniedbanie. W olbrzymich gmachach nie było ani Boga, ani... człowieka. Tu zaś, w biednym Krakowie, u ks. Kuznowicza...

Ale poco ja będę powtarzał moją nieudolną, na czczo zaimprovizowaną mowę? Lepiej przyjść i zobaczyć! Względnie przyjechać nawet z daleka! Opłaci się, bo to jest jedyna rzecz w Polsce! Drugiej takiej bursy niema u nas nigdzie. Można by zrobić „pociąg popularny do ks. Kuznowicza“. To warto widzieć! To jest pałac młodych rzemieślników! I niech nikt nie pyskuje, nie urąga na „lüksus“, twierdząc, że natryski, że umywalnie, że sala

teatralna dla stolarzy, ślusarzy itd. to zbytek i zgorzenie. Że się tym chłopcom poprzewraca w głowie. Nieprawda! Trzeba iść tam i zobaczyć, jak dzieci rosną na ludzi. Jak się o nich dba! To jest piękna rzecz! Przepiękna! Chodziłem po tych salach dumny, że to właśnie jest w Krakowie. I że robi się to właśnie dla rzemieślników! O, zachwycał mnie ten przybytek do tego stopnia, że, jak zwykle hojny i nieopatrzny, przyrzekłem... feljeton. (Może tam jeszcze coś innego wydłubię.) I muszę go napisać. Słowo się rzekło. Zresztą piszę z rzetelną satysfakcją! I „większą“ połowę już właściwie mam.

Otóż ks. Kuznowicz ma spore długi. Jak każda dobra firma w tych czasach. Potrzebuje pieniędzy. Niema rzeczy nudniejszej niż filantropja, niż apelowanie do cudzej kieszeni. I w wielu wypadkach niema rzeczy głupszej. Łażą po domach rozmaite delegacje, zaczepiają na ulicy, w kawiarniach, proszą do komitetów, na bal itd. Daje się parę złotych, myśląc: „A, niech cię djabli wezmą! Bierz, co daję, zabieraj się sam i nie męcz więcej!“ Daje się bez wiary, bez przekonania. Bo wypada, bo jakaś znajoma uśmiecha się, bo nudzą. 99% tych pieniędzy rzuca się prościuteńko w błoto. Daje się rozmaitym paniusiom, które nie mają ani talentu organizacyjnego, ani energii, ani jasno postawionego celu.

Mam wrażenie, że większość naszych stowarzyszeń

i dobroczynnych instytucyj powinno się zlikwidować. I byłoby to bez najmniejszej szkody dla społeczeństwa. O pewnych stowarzyszeniach, które kryją się za plecami rozmaitych świętych patronów, wiemy tylko tyle, że umieją żebrać. Ale przez dziesiątki lat nie zrobiły ani jednej pozytywnej rzeczy. Nie dotyczy to wszystkich stowarzyszeń, ale na pewno są takie, które tylko dziadują. I wystarczy popatrzeć na tych prezesów, czy te panie prezesowe, aby zgóry wiedzieć, że na dziadowaniu kończy się cała działalność. Dodajmy, że są bursy, przytuliska, przy których żyje znacznie więcej opiekunów niż ubogich.

Z t. zw. miłosierdziem jest jeszcze gorzej. Jeżeli idzie o żebractwo, bierzemy gładko rekord. Jakiś śmierzący wschód rozwała się po ulicach, któremi nie sposób przejść. Nędza prawdziwa obok żelganej. Widok, który albo rozdziera serce, albo też taki, że miałoby się ochotę wziąć kija i sprać. Natoryczni pijacy, których każdy zna jak zły szeląg od dziesiątków lat, a obok tego bieda straszliwa, wyjąca wielkim głosem. Zresztą jak tu skontrolować, jak odróżnić prawdę od kłamstwa? A przecież nikt o tem nie myśli, nikt się tem nie zajmie!

Naogół dają zawsze. Człowiek ma miętkie serce, zresztą tych parę groszy wielkiej różnicy nie robi. Poza tem są dziady poniektóre bardzo sympatyczne. Lubię ich. Gdy przeprowadzałem się przed



Wszystkie moje dziady już są...

kilku miesiącami, zdarzyła mi się rzecz niesłychanie zabawna: moje graty jadą wozem meblowym, ja zaś, żeby być prędzej, wziąłem maszynę na kolana i pojechałem taksówką na nowe mieszkanie. Patrzę i oczom nie wierzę! Wszystkie moje dziady już są! Byli pierwsi! Czekają! Myślałem, że pękne ze śmiechu. No, i jakże im nie dać?

Ale to są spryciarze wyjątkowi, którzy robią sobie sport z żebrania. Stale dzwonią dopiero wtedy, gdy moja „pracownica domowa“ wyjdzie na miasto. Bo ona zazwyczaj daje im bułkę i garnuszek herbaty, lub co najwyżej pięć groszy — ja tylko w gotówce i najmniej dziesięć. Wykombinowali zatem, że należy czekać, aż ona wyjdzie na zakupy. Ledwo znajdzie się za bramą, oni zaczynają dzwonić, sznurkiem, jeden za drugim. Czasem co minuta muszę wstawać od roboty. Nawet proponowałem im lojalnie, żeby wszyscy przyszli odrazu, jednakże nie chcą. Może ich to żenuje?

Dajemy więc na prawo i lewo, ale to nie jest system. Dajemy na ślepo. Firmom, o których prawdę nie wiemy nic. Legitymacją ich jest tylko puszka. Natomiast ksiądz Kuznowicz to dobra firma, solidna. Oddaje z procentem lichwiarskim. Jemu nie daje się, ale pożycza. I jest go na czem poszukiwać. Mianowicie na tym wspaniałym domu.

Filantropja ks. Kuznowicza nie nudzi głupią żebranią, ale... imponuje. Cele jego zamiast budzić

litość, budzą... podziw, szacunek. To człowiek, który coś zrobił. Nie sam, naturalnie, bo byli także inni ofiarodawcy, choćby prof. Krzyżanowski, który gratis zaprojektował i zbudował cały gmach, ale on rzucił fundament, pamiętał o każdym szczególe, umiał trafić do ludzi i wreszcie, gdy gmach już stanął, objął go całego, nakrył — jak kopułą — myślą swoją mądrą, jasną i wściekle... upartą. A na gmachu samym nie skończył, tworząc jeszcze park sportowy i letnią kolonję nad morzem, w Jastarni. Co więcej, zdolniejszych chłopaków wysyła za granicę. Taki jest ten ks. Kuznowicz! O, to... Jezuita! I taki mądry, że nie męczy chłopców nadmiarem dewocji. To przebiegłość wyjątkowa do prawdy i spryt niesłychany. Nawet mnie wziął i przekonał — całego, bez reszty!

To też wczoraj, chodząc po pięknych salach, myślałem sobie, że chętnie zaprosiłbym tu moich moskiewskich przewodników. I jabym dopiero pokazał im wanny, umywalnie i prześcieradła! Poczekałbym, aż ochłoną z pierwszego wrażenia i... kazałbym się im umyć.

Prawdopodobnie — zgorszeni czystością, ładem, porządkiem tego domu, gdzie żyje i kształci się krakowski rzemieślnik — nie mogliby prędko znaleźć odpowiedniego słowa. I dopiero po namyśle zawyrokowałiby w najwyższym oburzeniu, że to jest po prostu... bolszewizm!

Tego dnia wielki upał panował w Moskwie, a żar przenikał nawet grube mury Kremlu. Bojarczy roztapiali się w olbrzymich szubach, w szpiczastych, futrzanych czapkach. Na tronie siedział Iwan Groźny. Ponury, posępny, straszny. Z morderczą laską w ręce. Nagle jeden bojar trącił drugiego i szepnął:

— Zygmunt, spadła ci czapka. Leży za tobą, na lewo!

Schylił się więc dyskretnie ten drugi stary bojar i podniósł czapkę, korzystając z tego, że Iwan Groźny, zajęty rozmową z posłem polskim, patrzył w inną stronę. Nasadził zatem bojar futrzaną czapkę na głowę, aliści nie minęła nawet minuta, gdy spostrzegł, że czapka znowu leży na ziemi. Schylił się tedy ponownie, podniósł i włożył na głowę.

— Zygmunt, masz dwie czapki na głowie! Oddaj, bo ta druga to moja!

— Rany Boskie!

Zdjął więc tę drugą czapkę i oddał ją sędziwemu bojarowi Nr. 1, ale tym razem cała manipulacja

z czapkami nie uszła uwagi Iwana Groźnego, który natychmiast wyciągnął jak najdalej idące konsekwencje.

Iwanem był Solski, bojarem pierwszym Wiktor Biegański, bojarem-Zygmunt... ja. W gorącu, poprzez wściekłą, „kaszerowaną“ perukę, nie czułem ani tego, że mi spadła czapka, ani że mam dwie na głowie.

Strasznie dawno temu. Tak mniej więcej sto dwadzieścia kilka lat.

I właśnie dzisiaj ranna poczta przynosi mi list od tegoż Wiktora Biegańskiego, a w liście... Własnym oczom wierzyć nie chciałem. W liście jest engagement! Na reżysera! Jak Boga kocham! Do teatru Ateneum! Jeszcze przed czterema laty miałem trzy propozycje z rozmaitych teatrów, w następnym roku dwie, potem przez dwa lata właściwie żadnej, odwykłem więc od tego rodzaju niespodzianek, które w spokojną moją egzystencję spadają niczem piorun. Engagement!...

Chciałbym kpić, ale nie mogę: jestem — do diabła ciężkiego — jestem porządnie wzruszony! Cóż to za idjotyczna rzecz ten teatr!...

Kochany Wiktorze! Niech Ci Pan Bóg da jak najłepiej, ale ja już nie wrócę. Jest mi strasznie

miło, gdy czasem któryś z dyrektorów przypomni sobie o mnie, jednak... Widzisz, to tak trudno powiedzieć...

Okropnie trudno! Podarłem list. A ta propozycja engagement wytrąciła mnie zupełnie z równowagi. Miejsca sobie znaleźć nie mogę. Teatr! Teatr... Jakby cała janczarska kapela ozwała się z dzwonekami, z zelami, z hębenki... Buchnęło we mnie olbrzymią falą wzruszenie. W oczach mam coś, jakby... E, cóż się będę spowiadał!?

Kochany Wiktorze! Dziękuję Ci bardzo za propozycję. Jeżeli idzie o zaliczkę, bądź łaskaw takową przesłać telegraficznie...

Zkolei podarłem i ten list. Cóżto za słowo „engagement“! Widzę się małym, biednym, skurczonym. W domu zostawiłem popłoch, panikę, lży, a sam stoję przed starym tragikiem, Rygierem, w kancelarji Teatru Ludowego w Krakowie. Oczy dyrektora przewierciły mnie na wylot.

— Mogę panu dać — obok wskazówek i sposobności rozwoju — trzydzieści koron...

W rok później takauje mnie Solski. Jego małe oczy, to poprostu Roentgen. Sto koron i korona „feu“. Potem Pawlikowski. Sto dwadzieścia i ko-

rona „feu“. Potem wojna. Powrót: Siedlecki, Trzciński, Szyfman. Jestem w Warszawie. Początek sezonu i Szyfman patrzy na mnie z jakimś nieukrywanym zawodem:

— Pan przytył nad morzem, panie Zyguncie...

Znowuż Kraków, Łódź i zpowrotem Warszawa. Trzciński, Dąbrowski, Wroczyński, Szyfman. Po chaosie marek zdevaluowanych — budżet łódzki wyraża się w gaży tysiąca złotych, która w rok później skacze w Warszawie do 1.800 miesięcznie. Pieniądzy jak lodu!

Nagle sytuacja zmienia się w sposób zawrotny: teraz ja siedzę w kancelarii teatru i witam przybyły z urlopu personal.

— Panno Ewo, nie wiem, co pani robiła w tej Krynicy, ale zdaje mi się, że pani odrobinę...

Nie dała mi dokończyć, mówiąc:

— Ale nigdy w życiu, panie dyrektorze, straciłam conajmniej trzy kilo...

Straszna rzecz angażować się, ale angażować kogoś może jeszcze gorsza. Trzeba mieć specjalne zdrowie i nerwy. Opowiadano mi, że przed jakimś dwoma czy trzema laty dyrektor Teatru Narodowego prosił Solskiego, aby go wyręczył w pewnej dość drażliwej sytuacji. Szło o obniżenie gaży jakiegś doskonałego, ale przekraczającego lat południe aktorki. Solski, zastępując dyrektora, poprosił ową

aktorkę do kancelarii i zagaił rozmowę następującymi słowami:

— Starzejemy się, pani Zofjo, starzejemy...



W pokoju ozwały się tajemnicze trzaski...

Zdemoralizowała mnie ta propozycja do krzty, rozluźniła całą wewnętrzną dyscyplinę i teraz, choćbym nie chciał, muszę myśleć o teatrze. Muszę! W domu moim niema niczego, coby przypominało teatr. Ani strzępka fotografii czy recenzji, ani

szarfy, ani liścia lauru. Porozdawałem wszystko aż do peruk, które dostały się jakimś biednym dzieciom z suteryn. Bawiły się potem na podwórku i miałem prawdziwą *commedia dell'arte*.

Nagle, gdy tak błędzę po domu, wzrok mój pada na półkę, pełną niebieskich książek. Boy! Obok książek niebiesko oprawnych inne, broszurowane. To „Flirt z Melpomeną“ w komplecie. Spuściłem story, zapaliłem małą żarówkę i urządziłem sobie seans. Ręce moje leżą na poślódkach tomach recenzji Boy'a i zaczynają drgać. Nie upłynęło nawet pięć minut i w pokoju ozwały się tajemnicze trzaski. Jakby ktoś chodził po podłodze... Teraz jest nade mną... Czuję oddech zimny, trupi na karku... Włosy stają dębem...

— Jeżeli jesteś, zapukaj trzy razy, jeżeli cię niema, zapukaj raz! — odezwałem się, używając znanej formy grzeczności, przyjętej w stosunku do duchów.

Zrobił się bałas niepojęty. To role tłukły się jak opętane. Kazałem im wreszcie stanąć w ogonku i czekać swej kolejki.

Boy okazał się tysiąc razy lepszym medjum niż Guzik. Miejsca zabrakło w domu. Jakaż to jednak zabawna a zarazem ciekawa rzecz, przeczytać o sobie samym jakąś recenzję z przed lat! Piszę o „sobie samym“, ale to nie odpowiada prawdzie. Sto-

sunek mój do tego „p. Nowakowskiego“ z recenzji jest niezmiernie daleki, luźny, mglisty. Czytam np. takie zdanie: „Staranny reżyser sztuki, p. Nowakowski, grał może bardziej inteligencją artystyczną, niż sercem, ale grał trafnie, z miarą i gustem. Szczерze zabawny był w czwartym akcie...“ Poprzez spienioną rzekę zapomnienia widzę tego szczerze zabawnego p. Nowakowskiego i jakoś głupio robi mi się na sercu. A może nie na sercu, tylko na inteligencji? Już nic nie wiem... Czytam znowu: „Miłym, inteligentnym humorem zabłysnął nasz gość, p. Nowakowski“ i zaczyna mnie ta inteligencja irytować. To znaczy: „p. Nowakowski“ właściwie nie mnie nie obchodzi, ale wolałbym, żeby mu niekiedy przyznano także i trochę talentu. A zresztą!...

Czasem przy czytaniu występuje już nie rozdwojenie jaźni, ale zupełna zaturaś świadomości. Wogóle piekielna lektura! N. p. „Przerażającą postać męża dusiciela (*maritus constrictor*) sumiennie przeprowadził p. Nowakowski“... Jezus Marja! Co ja zrobiłem!? Uduśiłem własnoręcznie... I to kogo? Piękną Pancewiczową... Robi mi się zimno, a upióry zabitych płaczą się po domu, kwilą, jęczą, ścisakają się po kątach, macają...

Won! Przegnałem wszystkie mary precz. Bo oto nagle w drugim tomie „Flirtu“ trafiłem na prze-

dziwny kawałek p. t. „Niezwykła promocja“. Czytam i widzę siebie we fraku, na tle olbrzymiej, przepelnionej po brzegi auli...

„Uniwersytet Jagielloński a zarazem teatr krakowski święcił w dniu wczorajszym wspólną a niezwykłą uroczystość, mianowicie promocję p. Nowakowskiego na doktora filozofji. P. Nowakowski, wybitny artysta naszej sceny, odtwórca wielkich postaci poezji Mickiewicza, Krasińskiego, Wyspiańskiego, dał się poznać także jako utalentowany literat... Jako promotor i główny egzaminator przemówił prof. Chrzanowski, podkreślając wartość naukową dotychczasowych prac młodego doktora i zachęcając, aby nie ustawał...”

Tak, to jest nekrolog, ciepła wzmianka pośmiertna, nie co innego. Ale, o ile czytając poprzednie recenzje, widziałem „p. Nowakowskiego“ niejako osobno, o tyle tym razem złączyliśmy się razem.

A po promocji nawet zalali! I jak!? Mój Boże...

Brnę jednak dalej w tym niebezpiecznym „Flircie“. Lecz z każdą kartką coraz mniej obchodzi mnie teatr, a coraz bardziej rozkoszuję się samym Boy'em. Lata mijają. Tym razem figuruję już w spisie autorów. Zygmunta Nowakowskiego „Tajemniczy pan“, komedia w 3 aktach... Premjera u Szyfmana. Stałem wtedy w Bristolu i ktoś rano rzucił mi na koldrę cały stos gazet z recenzjami.

— A Boy!?!... Powiedz odrazu! Bez znieczulenia! Złał!?

Nie, nie złał! Raczej namaścił mnie na dalszą drogę. Pasował na rycerza. Posmarował miodem, podkadził, aż mi się — smarkacz byłem wtedy — zawróciło we łbie. Czy może być dla debiutującego komedjopisarza większa rozkosz, jak czytać: „...błysnął tak pysznym temperamentem scenicznym, sypnął takim bogactwem humoru sytuacyjnego, słownego, łajdackiego wreszcie, że bez najmniejszych już wątpliwości rozstrzygnął o zwycięstwie...”

Epitet o „humorze łajdackim“ kazałem sobie oparwić w szczere złoto i ten amulet od Boy'a noszę na piersiach, jako najdroższą relikwię.

Ale złał w kilka lat później. Zerznął, schlapał, przejechał się. Mianowicie za drugą komedję „Puhar wędrowny“. Wtedy, pełen goryczy, pomyślałem sobie, że to było ostatnie święństwo...

Obecnie patrzę nieco łagodniej na świat Boży i myślę, że przecież miał odrobinę racji...

Kochany Wiktorze! Bardzo cię przepraszam, ale...

Ale mi okropnie żal! Teatr to wspaniała rzecz! Najpiękniejsza ze wszystkiego! Jedyna!

LECHICKA LITERATURA

(Dla młodzieży i dzieci surowo wzbronione).

Wybieram się temi czasy do Warszawy i jestem w ogromnym kłopotcie na myśl, co mam zrobić, jeśli przypadkiem zobaczę Makuszyńskiego: czy udać, że go nie widzę, czy poprostu zerwać wszelkie stosunki, czy też przywitać się, jakby nigdy nie i przejść nad całą sprawą do porządku dziennego. Wydaje mi się jednak, że to ostatnie byłoby wysoce niemoralne... Są rzeczy, którym trzeba raz urwać głowę! Znam Kornela od dawien dawna i nagle dowiaduję się... Nie, to okropne! Kornelu, jak ty mogłeś!? Jak mogłeś!? Płakać mi się chce na myśl, że stoczyłeś się tak nisko!

Niedalej jak wczoraj naczałem się o Makuszyńskim takich rzeczy, że mało mnie piorun nie strzelił. „Apologeta pijaństwa, czuje się najswobodniej w atmosferze nieczystości. Cnota spędza mu sen z powiek; rozpusta, kłamstwo i oszustwo to według niego składniki życia codziennego nieuniknione i nieocenione“... Tak pisze o Makuszyńskim p. Czesław Lechicki w najnowszym, czterystustronicowym, a wydanym u św. Wojciecha, „Przewod-

niku po beletrystyce". Ponura to księga, zrodzona jakby w mrokach średniowiecza. A właściwie nie księga, lecz policyjna kartoteka przestępczości naszych pisarzy. I to nazwisko jak z „Lilli Wenedy"! Hm, Lechicki! Może się mylę, ale mam wrażenie, że na tem nazwisku niby perły rosy skrzą się niewyschłe jeszcze, świeżuteńkie krople wody święconej...

Więc Makuszyński jest „apologetą pijaństwa i najswobodniej czuje się w atmosferze nieczystości"! Co więcej: „Niema u nas może autora (znów poza Boyem) mniej wyklarowanego pod względem moralnym i dwuznaczniejszego od Makuszyńskiego... stracony dla rzetelnego poczucia moralnego" (str. 278—279). Tam do licha! I tego człowieka drukuje Kurjer Warszawski! Skandal! Gdzie my żyjemy!

A Grzymała-Siedlecki? Zdawałoby się, że kto jak kto, ale on chyba nie naraził się Wielkiemu Inkwizytorowi literatury polskiej. A jednak i tu myliłem się! P. Czesław stwierdza bowiem w sposób bezapelacyjny, że Grzymała to człowiek „o chwiejnym poczuciu moralnym, mający powierzchowne uświadomienie religijne (O, horror!)... na swawolę obyczajową patrzy przez palce, bo ma słabość do tęgiej męskości — czytaj niekiedy: samczości"... Bagatela! Coraz to nowych rzeczy dowiadujemy się!

Ciekawy jestem jeszcze, co myśli p. Lechicki o jednym z czołowych feljetonistów tegoż dziennika, t. j. o Wacławie Grubińskim. Użył sobie nasz poznański Savonarola: „Jeden z najniemoralniejszych pisarzy polskich. Hedonista czystej wody, wyznaje optymizm sytego burżuaja... Materialista zupełnie pierwotny, nazywa prawa moralne przesadami. Drapując się w togę pięknoducha, arbitralny ten a niedouczony megaloman, szerzy nawpół świadomie wytwornisiowski snobizm nie mędrców lecz mydlaków. Talencik swój wygadanego i sprytnego pozera-kabotyna zużytkowuje na propagowanie zgniłego defetyzmu ideowego, rozbrojenia moralnego i zwyrodniałego panerotyzmu, który posiada w nim osobliwie cynicznego poplecznika. M. in. opowiada się za kultem nagości..." (str. 243). Czy spalenie Grubińskiego na stosie wystarczy w tym wypadku? Sądzę, że nie zawadziłoby przedtem spróbować P. A. L-a i łamania kołem. Prawdopodobnie p. Lechicki ma takie środki profilaktyczne w zapasie.

Zerknąłem jeszcze na Kadena-Bandrowskiego. Jest on „dekadentem organicznie niezdolnym do metafizyki i etycznego ustosunkowania się wobec życia"... Ale cóż mówić o Kadenie, skoro nawet pocziwemu Sewerowi (Maciejowskiemu) „brakło rzetelnego poczucia moralnego"! Na dobrą sprawę wszyscy ludzie piszący to banda oprychów, zwyrod-

nialców, sutenerów, alfonsów, nierządnic, heter, stręczycielek i t. d., i t. d. Najlepiej byłoby ich izolować, jak np. Przybyszewskiego, którego według recepty p. Czesława „winno się było odosobnić“...

Nałykawszy się do syta tyłu miłych nowin o bliźnich, wstrzymałem się przezornie na progu litery „N“. Ogarnął mnie paniczny lęk. Czegóż ja się dowiem o sobie samym? W ręce mam sztylet do przecinania kartek. Może a priori pchnąć się nim w serce i zakończyć to życie zbrodnicze? Przetnę odrazu pasmo występków!

Lecz narazie nie przeczytałem wyroku na samego siebie. Lepiej zachować tę przyjemność do rana. Była mniej więcej północ, gdy zamknąłem tego „Tajnego detektywa literatury polskiej“ i wsadziłem go sobie pod poduszkę. Sen nie chciał skleić powiek, choć nie żałowałem bromuralu. Koło pierwszej chwyciły mnie dreszcze. Termometr wskazywał 38 z kreskami w cieniu. Całe moje życie stanęło mi nagle przed oczyma. Życie i uczynki, więc powieści, artykuły, komedje. Właściwie jestem nędznikiem. Skoro świt, własnoręcznie zakuję się w kajdany i pojadę osobiście do prokuratora. Zgniję dobrowolnie w kryminale. Będzie to ekspiacją za wszystkie łajdactwa, jakie dotąd wypisywałem bezkarnie. Och, biada mi! Gorzko płakałem do godziny 3.25. Potem zasnąłem smacznie.

I dopiero rano przy śniadaniu chwytam za nóż, aby rozciąć złowróźbne karty. Spotyka mnie jednak bolesne rozczarowanie: wcale nie jestem taki zły, jak mi się zdawało! „Powieści jego nie wymagają większych zastrzeżeń ideowych“... Och, jak to dobrze! Uratowany, uratowany! Za to „komedje były wprost niemoralne...“ Rumienię się ze wstydu, ale chyba nastąpiło już przedawnienie, ostatnio bowiem splamilem się taką „wprost“ niemoralną komedją przed laty dziesięciu i chwilowo nie chcę być recydywistą.

A wogóle p. Lechicki obszedł się ze mną nad wyraz łagodnie. Pochwalił wcale gęsto, gdzie niegdzie zganił po ojcowsku. Więc mój „Przylądek dobrej nadziei“ to „zbyt rozwodnione, nudnawe, psychologicznie jednostajne“. Dzięki i za to! Przykro mi tylko, że sąd o „Starcie Sulimy“ wypadł następująco: „sporo pierwiastku zmysłowego, amoralizm, w sumie niezdrowe“. Ostatecznie, jeszcze nienajgorzej. Gdyby za te rzeczy groził kryminal, dostałbym od p. Lechickiego najwyżej trzy lata z pozbawieniem praw. A możeby mi zawiesił wykonanie kary na jakiś rok. P. Czesław bardzo łaskaw na mnie...

Moralne i niemoralne. Autor przewodnika po bezdrożach sztuki upraszcza sobie to zagadnienie do ostatnich granic. Moralność u niego jest tylko jedna. I to bynajmniej nie katolicka, ale... lechicka.

Nie zna pardonu i nie bawi się w subtelności. Pierwszy śmiało rzuca kamieniem. Kamieniem młyńskim. P. Lechicki traktuje całą literaturę jak opętana przez diabła. Chciałby z niej wypędzić złego ducha metodami, stosowanymi niegdyś wobec czarownic. Sam zaś jest opętany przez demona zelo-tyzmu. To najstraszniejszy z demonów.

A jego książka? Mniemam, że właśnie ten „Przewodnik po beletrystyce“ jest dziełem wysoce... niemoralnym. Jest książką w najwyższym stopniu gorzącą, pełną sądów krwawych, doraźnych, lekko-myślnych i krzywdzących, przede wszystkim zaś jest czarną księgą insynuacji. P. Lechicki nie zadaje sobie trudu, aby oddzielić autora od dzieła. Utożsamia temat z autorem. Ktoś, opisujący np. kradzież, jest już przez to samo złodziejem. Autorka, która bierze za temat ulicę, powinna by ipso facto dostać policyjną książeczkę.

Cóż dostało się n. p. Zapolskiej? Warto przytoczyć te pikantne kryteria! Więc autorka „Moralności pani Dulskiej“: „bujny temperament wyładowywała jako miłośnica... już na ławie szkolnej musiała być sans gêne... urodzona hetera. Seksualizm był właściwym sensem życia Zapolskiej i kierowniczą ideą jej twórczości. Tu źródło jej konsekwentnego amoralizmu, alogiczności i kłamliwości. Skandalicznie pisała, skandalicznie żyła“...



Literaci polscy w oczach Lechickiego...

U góry: Jwaclaw Sieroszewski, Zygmunt Nowakowski, Tadeusz Żeleński-Boy; w środku: Kornel Makuszyński; u dołu: Wacław Grubiński i Adam Grzymała-Siedlecki.

Mam wrażenie, że temi słowami delektowałaby się sama pani Dulka... Ale czy to jest „przewodnik po beletrystyce“ czy... romans brukowy?

Zobaczmy, co pisze nasz Tartufe o p. Krzywickiej: „Reprezentuje z urodzenia odcień heteryczny kobiety weiningerowskiej. Punktem środkowym jej osobowości jest *sexus* w znaczeniu idei stręczycielstwa, jako kobiecego przeznaczenia. Służy mu Krzywicka, dążąc do wyniszczenia płoniek idealizmu... Krzywicka jest naprawdę konsekwentną w posłannictwie idei spółkowania bez ograniczeń, ono jest jej transcendentną funkcją, a kult fallusa jedyną religią“...

Przy czytaniu tych słów narzuca się pamięci scena, gdy Tartufe chusteczką zasłania biust Doryny:

Pierś przysłonić, co sterczy nieskromnie;

Duszy spokój widokiem takim zmącić można

I w ten sposób najłacniej przychodzi myśl zdrożna...

Oślawiony poradnik „Co czytać?“ Ks. Pirożyńskiego rozszedł się podobno w 2.800 nakładu, obawiam się zaś, że ideowy przewodnik p. Lechickiego będzie miał jeszcze większy sukces, zwłaszcza wśród młodzieży, a to głównie ze względu na pikantną treść, na bogate słownictwo.

Ani o zmarłych, ani o żyjących autorach polskich nie wolno tak pisać, jak pisze p. Lechicki. Ludzie, których tak bezceremonjalnie, tak arogancko potępił, zasługują na szacunek, praca ich stanowi poważną pozycję w naszym życiu. Dlatego, czytając, miałoby się ochotę zawołać: „Czapkę ze łba, panie Lechicki!“

Wyrok na Sieroszewskiego wypadł następująco: „Światopogląd utylitarny, obcy wszelkiemu chrześcijaństwu i jakiegokolwiek religijności“. I takie rzeczy drukuje się bezkarnie! Przecież to nie krytyka, tylko obelga!

Wracam jednak do Makuszyńskiego. To człowiek pełen dobroci i niefałszowanego słońca, które p. Lechicki próbuje zgasić a bodaj przykręcić. Makuszyński szuka w ludziach dobra, p. Lechicki doszukuje się w człowieku przedewszystkiem zwierzęcia. Pierwszy cieszy się, gdy znajdzie rzecz piękną i dobrą, drugi ma zmysłową satysfakcję w wynajdywaniu rzeczy złych. P. Lechicki obchodzi się z artystami, jak rosyjska ochrana, czy też czerezwiczajka.

I pisze przytem, że ani jedna książka polska nie figuruje na rzymskim indeksie. Otóż właśnie „Przewodnik po beletrystyce“ powinien się tam znaleźć jak najrychlej. Jest bowiem książką gorszącą, nieprzyzwoitą, pełną kalumnij. Jest dziełem społecz-

nie niemoralnem. To akt oskarżenia całego prawie piśmiennictwa.

Książka szkodliwa. W czasach upadku czytelnictwa, p. Lechicki usiłuje popsuć kredyt literaturze, podrywa zaufanie czytelnika, odstręcza od czytania, skazując 99 proc. beletrystyki polskiej na auto-dafé. Dziełem tem powinien zająć się prokurator, ponieważ „Przewodnik“ może przynieść nieobliczalne straty kulturze polskiej.

Przedewszystkiem jednak powinien zbudzić się najwyższy organ literatury naszej, a więc PAL. Powinien wziąć w obronę ludzi piszących. Szkoda tylko, że „akademicka“ dyskusja, którą toczą ci panowie na temat teatru, zajęła im tak wiele czasu...

Z wiosną radzono pod Wawelem o t. zw. „Dniach Krakowa“, przyczem z wielu stron podniosły się głosy, że programowi „Dni“ brak wielkiego hasła, że pomimo przeróżnych atrakcyj wypaść mogą szaro. Że nie ściągną do Krakowa tak wielkich rzesz, jakby to było pożądane. Podniosłem dwa palce i w krótkim, rzeczowym przemówieniu dałem wyraz opinji, że w Krakowie jedna jedyna rzecz może liczyć na prawdziwy sukces, oraz że tylko ta jedna rzecz będzie pod gwarancją dobrze wykonana, a to ze względu na wielowiekową rutynę miasta w tej materji. Rzeczą tą może być wyłącznie pogrzeb.

Mianowicie pogrzeb królewski. To mówiąc, zwróciłem uwagę na samotną, próchniejącą w Petersburgu trumnę Stanisława Augusta. Wielki to był król. W pewnej mierze jeden z największych.

Słów moich nie wzięto pod uwagę, marnując tę okazję. Natomiast — w jakże złą godzinę! — powiedziałem inny pogrzeb. Więcej niż królewski.

Pogrzeb, który wytworzył zupełnie wyjątkową koniunkturę dla Krakowa. Zwrócił uwagę całej Polski i poniekąd całego świata na zapomniane miasto. Czy Kraków umiał wyzyskać tę koniunkturę?

Gorzkie słowa, jakie nastąpią teraz, podyktowała mi tylko miłość. Centusie, centusie i jeszcze raz centusie! W tej osobliwej chwili, jaka się już chyba nigdy nie powtórzy, miasto pozwoliło sobie odebrać wszelką inicjatywę. Zapomniało o tem, że ma odwieczną praktykę zarówno w kwestjach pogrzebów jak i w sypaniu kopców, oraz że jest gospodarzem. Tak jak obecnie przedstawia się sprawa, Kraków nie ma w niej nic do gadania. Na Sowińcu rządzi „Orbis“, wojsko, komitet centralny, wszyscy, tylko nie Kraków. Oczywiście, jest to problem, który obchodzi całą Polskę, niemniej udział Krakowa powinien być zaakcentowany jak najsilniej, i to nie tylko ze względu na dochody, ale przede wszystkim dla prestige'u. Znowuż abdykacja, pomniejszanie własnej roli.

Rozkopywanie kopca Krakusa przeprowadza Kraków niejako we własnym zarządzie, i już tam, zdaje się, śladu nie zostało. To charakterystyczny szczegół: w dziele zniszczenia pośpiech i gorliwość jak najdalej posunięta przy równoczesnem désintéressement wobec dzieła tworzenia. Jak było przy sypaniu kopca Krakusa i Wandy, nie wiem, ale wydaje mi się, że mieszkańcy już wtedy byli bar-

dziej uświadomieni pod względem regionalnym. Coprawda, wtedy jeszcze Warszawa nie istniała.

Kraków lubi słuchać. Zmumifikował się w postawie na baczność. Tak było w kwestji roli, jaką mógł i powinien odegrać wobec Śląska, tak było w momencie gdy wypadało postawić się hardo i wywalczyć właściwą pozycję choćby w kolejowym czy powietrznym rozkładzie jazdy, tak było w epoce planowej dewastacji Uniwersytetu Jagiellońskiego. Przed laty blisko trzydziestu krakowska rada miejska stanęła gorąco w obronie polskiej szkoły w zaborze rosyjskim i uchwaliła nawet subwencję dla strajkującej młodzieży — obecnie zaś w tej samej radzie nie podniósł się ani jeden głos protestu w obronie najstarszej uczelni, rujnowanej w sposób wandaliski. Kraków milczał posłusznie.

Zjeżdżają tu dzień w dzień tysiące pielgrzymów z całej Polski i z zagranicy. A miasto nie uczyniło literalnie nic, aby tych przybyszów zatrzymać bodaj o godzinę dłużej. Taktyka zasadza się na tem, aby ich wyekspedjować jak najprędzej, bo zajmują miejsce i robią tłok. Niech przyczynią się kilku łopatami ziemi do budowy i — wio! Koniunktura nie słabnie od pięciu miesięcy, ale w związku z nią nie powstał ani jeden, choćby prowizoryczny, dom wycieczkowy, ani jedna jadłodajnia, ani jeden nowy kiosk, ani jeden... Nie zbu-

dowano niczego! Poznańska Pewuka była więcej niż ryzykiem, i zgóry przewidywano, że skończy się deficytem, a jednak zabrano się do niej po amerykańsku. Sowiniec zaś, to sprawa pewna, murowana, z gwarancją na szereg lat. Powinien zostać jakiś trwały ślad w postaci inwestycji, które zamortyzowałyby się na pewno, wobec tego, że Kraków żyje i przez długi jeszcze okres żyć będzie tylko z wycieczek. Bo i cóż mu innego pozostało?

Na rozmach całej Polski Kraków odpowiedział w sposób pełen rezerwy, ostrożności i dyskrecji. Kiedyż, jeśli nie teraz, była szansa na inwestycje, na jakieś korzystne a niezbędne pożyczki, a może i na subwencje? Przecież to moment przełomowy, który mógł zadecydować o przyszłości Krakowa! Ale... Ach, centusie!

Podczas gdy równocześnie w związku z budową pomnika w stolicy i mauzoleum na Rossie słyszymy tak w Warszawie jak w Wilnie o szerokich planach, o kolosalnych przekopach, w Krakowie o tych inwestycjach głucho. Nawet drogi na Sowiniec, któreśdy wędrują w kurzu i błocie tysiączne rzesze, nie zrobiono. Pichci się tylko drobny jej odcinek. Au ralenti. Po krakowsku.

Natomiast ci i owi przebakują, że budowę przyszłego mauzoleum na Wawelu znowuż i niezmien-

nie przeprowadzi ta sama firma, która obok niezaprzeczonych zasług dawniejszych ma na koncie wiele minusów świeższej daty. „Wszystko Bohusz”! Niedawno widziałem w Tarnowie mauzoleum Bema, dzieło więcej niż chybione i już po sześciu latach walące się w gruz. I niestety, znowuż to samo nazwisko wypływa, gdy mowa o mauzoleum wawelskiem. Jakby naprawdę nie było nikogo innego w Polsce! A nuż spróbować raz odmienić?

Z drżeniem serca patrzymy na narożnik ulicy Wiślniej i św. Anny, gdzie lęgnie się drugi Feniks. Widocznie jeszcze niedość było skandalu i kompromitacji z jednym Feniksem przy rogu św. Jana i A-B! Powiadają na mieście, że tym razem projekt ma być piękny. Możliwe, bo autor jest człowiekiem wysoce utalentowanym, ale już nie wierzymy na słowo. Opinia publiczna powinna była bezwarunkowo wypowiedzieć się w tym względzie i równocześnie powinno się odebrać głos tym estetom, którzy dali placet na Feniksa nr. 1. Przecież i wtedy zapewniano powszechnie, że najmniejsza krzywda nie spotka rynku krakowskiego. Rozmaite spece badały projekt, poprawiały, przeinaczały, i wreszcie zrodziło się to cudo, na które poradzić może tylko dynamit.

W konspiracji odbywa się budowa tegoż nowego Feniksa, równie jak w atmosferze zamknię-

tych misterjów dzieją się przeróżne dziwy na Wawelu. Dziwy, które potem trzeba likwidować.

Taksamo w hermetycznym zamknięciu przechowywany jest plan budowy nieszczej wikałówki. Architekt Mączyński jest naturą bujną, szczerze artystyczną, to prawda, lecz właśnie dlatego nie wadziłoby śmiało wystawić projekt na widok publiczny. Sama budowa jest już katastrofą, którą znowuż Kraków dał sobie narzucić w pokorze. Aż z Warszawy przyjechał jakiś naczelnik... Wolelibyśmy jednak przygotować się bodaj zgrubsza na to, co ma nastąpić. Niestety, wskrzeszenie tego parawanu dokonywa się w jak najściślejszej dyskrekcji. Znowuż będziemy zaskoczeni. I znowu może być za późno.

Ach, byłbym zapomniał! Jeśli mowa o zabytkach i zwiedzaniu Krakowa przez tysiące, tysiące pielgrzymów, nie od rzeczy będzie wspomnieć, że miasto wypuściło z rąk nawet oprowadzanie turystów. Nasłuchają się ci biedni ziomkowie z Polski coniemniara bzdur od przeróżnych guide'ów. Przysłano mi bogaty spis nonsensów, na których wysłuchiwanie skazani są pielgrzymi. Więc np. Podkowińskiego „Szał“ w muzeum Narodowym przedstawia... Polskę na skraju przepaści. Portret Modrze-

jewskiej Ajdukiewicza, to... królowa Jadwiga we własnej osobie. Z Wawelu widać piękny... fotomontaż miasta. Prof. Radwański, który ocalał przed burzymurkami resztę obronnych murów Krakowa, był... pasamonikiem. Przy zwiedzaniu kościoła Marjackiego guide pokazuje ołtarz Wita Stwosza, objaśniając, jak następuje: „A oto w głębi, na pierwszym planie, sprawca tego cudu, Bóg Ojciec, siedzący jak gdyby w gniazdeczku“... W gniazdeczku! Może jeszcze na jajach...

Trafiają się i grubsze kawały. Więc pod pomnikiem Mickiewicza dowiadują się pielgrzymi, że jest to autor „Potopu“, „Trylogii“ i „Pana Tadeusza“...

Słowem, tumanią i kołują tych biedaków nie na żarty.

Wybory krakowskie? Znowuż dokonano ich w postawie na haczność. Rzecz prosta, nie wzbudziły więcej zainteresowania niż w reszcie kraju, ale ich rezultat przeszedł najśmielsze nadzieje złośliwych pesymistów. Oczywiście, wiadomo, że nikomu nie chciało się tem zająć, że nikogo to nie obchodziło, lecz bodaj dla formy można było uratować resztkę ambicji. T. zn. „wybrano“ ludzi skądinąd zacnych i pocziwych, ale... Ale to nie to. Rzecz ciekawa, że wśród wybranych nominatów brak ludzi z... Krakowa. Naprawdę z Krakowa.

A jednak właśnie to miasto swego czasu dostarczało nieboszczce Austrii reprezentacyjnych mężów stanu, których mowy w parlamencie wiedeńskim wybijały się korzystnie na tle austriackiego gadania innych ludów. Zresztą umieli nie tylko gadać ale i robić. Obecny team poselsko-senacki, złożony w Krakowie, jakoś mi nie pasuje do wielkich tradycji miasta.

A wogóle dziwne, przedziwne miasto! Wicewojewoda zdaje doktorat! W pełnym toku urzędowania! Trudno już dziś prorokować, czy mu to zaszkodzi w dalszej karierze administracyjnej, ale fakt ten świadczy niezmiernie charakterystycznie o krakowskiej atmosferze, gdzie bez „dr.“ ani rusz. Wicewojewoda zdał doktorat a wojewoda miał zostać kasztelanem. Niestety, ledwo obywatele przywiązali się do p. Raczkiewicza, poszedł w ministery, zdoławszy tylko przez cały ciąg urzędowania posiedzieć trochę w Meranie i przemeblować zgrubszą prywatne apartamenty wojewódzkie. Może mu nie w smak poszła promocja subalterna?

I od dobrych kilku miesięcy jesteśmy bez wojewody. Człowiek czuje się jak bez głowy.

Pozycję in plus niewątpliwie jest obecnie teatr im. Słowackiego przy ul. św. Ducha. Naprawdę

nowy duch wstąpił w ten gmach. Pracuje się tam solidnie, bez natchnionej blagi, bez reklamy. Nowy dyrektor, artysta całą gębą i człowiek wyjątkowej kultury, sprawił rzetelny zawód pod jednym względem: okazał się indywidualnością silną, nieustępliwą. Wszystko sam trzyma w garści.

Jeśli mowa o kurczeniu się frontu krakowskiego, nie od rzeczy będzie wymienić kasatę Michalika. Niema już „Michalikowej Jamy“! Ten przedziwny rezerwat czasów Młodej Polski zniknął, rozszarpany wrzemi rękami komorników. I jakoś nikt nie pomyślał na czas o ratunku. To znaczy, owszem, i województwo i magistrat pokiwały palcem w bucie, ale... E, co to kogo obchodzi! I w tym samym czasie wyłonił się pomysł założenia w nowopowstałym Domu Plastików przy ul. Łobzowskiej kawiarni wzorowanej na warszawskim Ipsie. Więc nie można bodaj zgalwanizować dawnej, brudnej coprawda ale opromienionej blaskiem „Zielonego Balonika“ knajpy, a już ma się urodzić nowa. Także paradoks!

Stare, podobno już grubo niekompletne, lary i penaty michalikowskie gdzieś się poniewierają, Jama zaś, oznaczona trzema gwiazdkami w krakowskim bedekerze, poszła na szmelc. Słysząc, że ktoś wystąpił z projektem wskrzeszenia jej i zre-

konstruowania jako bufetu w nowym muzeum Narodowym. Nie będzie to jednak prawdziwa, dawna Jama!

Swego czasu zobowiązałem się pisywać co pewien czas „Listy z Krakowa“, jednak rozmaite okoliczności stanęły na przeszkodzie. Dlatego dziś nagromadziło mi się ogromnie wiele spraw o bardzo niejednorodnym ciężarze gatunkowym, które przecież poruszyć wypada. Wszystkiego za jeden raz nie wyczerpię. Ale n. p. radio krakowskie. Stacja wyjątkowo sponiewierana. Sam nie palę się do zarobków radiowych, sądzę jednak, że w Krakowie znalazłoby się sporo prelegentów i artystów, którzy z powodzeniem bodaj od czasu do czasu mogliby złuzować stołeczny „kąsert“ płyt gramofonowych“. Cóż, kiedy nie chcą nas nawet za darmo! Oto przed kilku tygodniami zaproponowałem dla eksperymentu, że wystąpię gratisowo. Nie mogę doczekać się odpowiedzi. Prawdopodobnie chcą, żebym jeszcze dopłacił.

Dwa miesiące temu przeszedł przez Kraków złośliwy huragan, który zniszczył Planty-niedobitki magistrackie. Zdawałoby się, że resztę nieszczęśliwych drzew ułaskawi zarząd miasta. Gdzietam! Widocznie ideałem magistrackim jest Somali, kraj,

posiadający jedno jedyne drzewo, mianowicie palmę przed pałacem gubernatora. I jest to palma, którą trzeba rokrocznie malować na zielono. Re-



...widocznie ideałem magistrackim jest Somali...

prezentacyjna palma... z żelaza. Do tego, zdaje się, zdążył magistrat, pragnąc z bujnych jeszcze niedawno Plant zrobić jakiś Ogaden. Jest już niedaleko od celu.

Huragan zrujnował także tę gałąź życia krakowskiego, która kwitła szczególnie zielono i bogato.

Mam na myśli sport. „Wisła“, przedewszystkiem jednak „Cracovia“ ucierpiała boleśnie. I jakoś nikt nie myśli poważnie o odbudowie rozwalonych trybun. Rośnie natomiast wielki reprezentacyjny stadjon, który, jak większość takich zgliszczowanych ośrodków sportowych, stać będzie na pewno pustką. Odnosne czynniki zapominają, że sport nie da się scentralizować, że jego właściwą odżywką jest rywalizacja poszczególnych a starych klubów, pracujących na własnych śmieciach, gdzie króluje genius loci, wyładowujący się w okrzykach nieparlamentarnych ale i w wybuchach entuzjazmu. Duch żywiołowy, zrośnięty nierozzerwalnie z miejscem. Sport nie może rozwijać się jak państwo na klasycznych zasadach jedności miejsca, czasu i akcji. Wręcz przeciwnie, im więcej indywidualizacji, tem lepsze rezultaty.

Cóż, kiedy miastu nie zależy na takich drobiazgach. Najlepsza polska rakietka, p. Jędrzejowska, wyjechała na zawsze, bo te sprawy nikogo nie ziębią ani nie grzeją. Cierpliwie zatem i spokojnie patrzmy na powolną zagładę „Cracovii“. Już ledwie zipie.

Uwagi moje są gorzkie i kwaśne. Zresztą, gdy np. czytam patetyczne hasło „Czysty Kraków chlubą Polski“, nie mogę w tym szlagworec widzieć nic innego jak tylko ironję. W chwilach zwątpie-

nia byłbym skłonny twierdzić, że jedna jedyna rzecz rozwija się w Krakowie porządnie: Z. O. Z., czyli Związek Opieki nad Zwierzętami, którego jestem prezesem. Nawet podpisuję się Z. O. Z. Nowakowski...

Złośliwi utrzymują, że wsadziłem nos w Z. O. Z. i niczego więcej nie widzę...

W DOBROCZYNNYM KIERACIE

Gdy miłosiernem okiem patrzę na niezorganizowanych dziadów podwawelskich, zawsze przychodzi mi na myśl ks. Piotr Skarga. Cóż za głowa! Jaki zmysł praktyczny! Już w szesnastym wieku sporządził kataster tychże dziadów krakowskich, podzielił ich na kategorie, dał odznaki, a nie porzostając na tem, puścił w ruch wizytatorów, czyli — jakbyśmy wzorem belgijskim albo skandynawskim określili tę instytucję — „siostry społeczne“. Przed trzystu kilkudziesięciu laty! Wychodził zaś z założenia, że w wielu wypadkach ludzie nawet skłonni do filantropji „wątpiąc, w co się ona jałmużna obróci, a pewności o jej pożytku nie mając, kurczą rękę i miłosierdzie swoje powściągają“...

Święte słowa! Czasem skurczy się ręka i powściągnie miłosierdzie w jednej sekundzie. Ot, miałem taki wypadek: przed kilku laty poniosło mnie na jakiś wieczorek do „Sokoła“. Na balkonie w głębi sali przygrywała orkiestra pewnego zakładu dobroczynnego dla młodzieży. Grali podłe. Ale to głupstwo, rzecz ważniejsza w tem, że co pewien czas ucho moje odróżnia w chaosie instru-

mentów jakieś charakterystyczne odgłosy, niby klaśnięcia. Oglądam się i widzę, że dyrygent w trakcie popisu hojnie rozdziela policzki pomiędzy młodocianych muzykantów. Krew mnie zalała. Chciałem zrobić użytek ze stołka. Zakład dobroczynny dla młodzieży! W Krakowie! Odrazu przychodzi na myśl Studzieniec i inne skandale.

Gdybym już wtedy był starszym „IKC“ feljetonistą, zrobiłbym piekło, lecz jako szary człowiek ograniczyć się musiałem do piekielka. Jednakże do dziś dnia, gdy tylko widzę kwestarza owego zakładu, „kurczy“ mi się ręka według wyrażenia Skargi. Ale kurczy się w... pięść.

Idzie nietylko o pożytek z jałmużny, ale o miarę, o przerost akcji społecznej, o chaos filantropijny. Niekiedy ma się ochotę kupić złego psa, Cerbera, specjalnie tresowanego na rozmaitych dobroczynnych komitadzi. Gdyby to nie poskutkowało, chciałoby się strzelać. Także do panius od akcji społecznej. Niezbędne są jakieś najostrzejsze sankcje skierowane pod adresem tej hydry blagi filantropijnej, pętającej się z posiedzenia na posiedzenie, z komitetu na komitet. Życie nasze trzeba radykalnie odspołecznić. Jeżeli mamy żyć. Dość już tej gorliwości, tej rozproszkowanej na ćwierćatomu filantropiji!

Niedawno umarł pewien szlachetny człowiek, który przed rokiem dał mi anonimowo tysiąc złotych na budowę Domu Y. M. C. A. dla opuszczonych chłopców, ale pod słowem honoru zażądał absolutnej dyskrekcji. Zgon zwolnił mnie od słowa. Ofiarodawca, ś. p. St. Kremer, powiedział mi tak:

— Panie, gdyby nazwisko moje przedostało się do wiadomości publicznej, wtedy zamiast złożyć tysiąc złotych na konkretny cel, musiałbym zmienić tę sumę na bilon i dać tysiąc razy po jednym złotym na przeróżne, niezawsze godne poparcia, cele. Zresztą, choćby wszystkie cele były szlachetne, najszlachetniejsze nawet, pieniądze rozdrobnione do tego stopnia, muszą pójść na marne. Wolę dać raz i tym datkiem pomóc naprawdę, niż przypiąć sobie do kłapy marynarki tysiąc znaczków złotych, czy nawet dwa tysiące po pięćdziesiąt groszy...

W powyższem rozumowaniu jest najzupełniejsza racja. Na pewno ściągnę na siebie gromy potępienia, lecz nie przestanę twierdzić, że pewien odsetek towarzystw dobroczynnych powinno się zlikwidować. Gdy przed rokiem napisałem entuzjastycznie o Bursie ks. Kuznowicza, podnosząc, że jest to jedna z niewielu akcji pozytywnych, celowych, prowadzonych z głową, rozpętałem burzę. Zasyczało całe kłębowisko jadowitych, dobroczyn-

nych żmij. W redakcji kłęli na mnie z powodu najrozmaitszych protestów, sprostowań, artykułów polemicznych, insynuacyj itd., które napływały masowo. Poczta zaś przynosiła mi przez cały tydzień całe kupy anonimów. Jeden z nich przechowuję na pamiątkę. Użyła sobie autorka na mnie, głównie z powodu, że w feljetonie wspomniałem o kieliszku wina, którem poczęstował mnie ks. Kuznowicz. Zaczyna dama twierdzi, że się upiłem. Ja!!! Po jednym kieliszku! Niesłychane... Oto tekst anonimów w cenniejszych wyjątkach: „Jezuici spili pana i napisał pan, co panu podyktowali, krzywdząc inne stowarzyszenia chrześcijańskie... Niech pan odwoła natychmiast swoje kalumnie, bo matka pańska katoliczka, a brat lekarz“...

I podpisała się dyskretnie słowami „prawdziwa filantropka“... O, jędz z piekła!

Inna rzecz, że do dziś dnia pojąć nie mogę, jaki zachodzi związek pomiędzy ks. Kuznowiczem a faktem, że mam brata lekarzem. Tego już nigdy nie dojdę... Ale naprzekór anonimowi śmiało podnoszę tę samą tezę, twierdząc, że trzeba raz skończyć z dziadowaniem, a zacząć robotę solidną, w poważnym stylu, z programem. Obecnie sprawa przedstawia się tak, że policja usuwa z głównych ulic plagę żebraków, równocześnie zaś puszczamy na miasto całe kohorty innych dziadów, różniących się od poprzednich tylko porządkiem ubraniem. Co

krok podtykają ci puszkę pod nos, wbijają szpilkę w mankiet. Filantropja, pojmowana serio, nie może polegać na wzajemnej, niezawsze lojalnej



...przeróżne paniusie żywcem wydzierają sobie uliczną klientelę...

a męczącej konkurencji przeróżnych panius, które żywcem wydzierają sobie uliczną klientelę.

Prosi się właśnie tutaj, na tem polu, jakaś ustawa scaleniowa. Słowo przykre, bolesne, wywołujące samorzutnie szereg najgorszych przekleństw na wargi. Więc jeżeli nie ustawa scaleniowa, to przy-

najmniej jakiś Związek związków dobroczynnych. Jakaś organizacja naczelna, któraby wytyczyła pewnego rodzaju piatiletkę filantropijną. Któraby poprowadziła planową „Armenpolitik“, zorganizowała całe „Armenwesen“, jak określa to zagadnienie ekonomista niemiecki, Wilhelm Roscher.

Zagadnienie wyjątkowo trudne. Ani mi w głowie podrywać kredyt filantropji prywatnej czy filantropji nawet najdrobniejszych towarzystw, bo właśnie ta dobroczynność jest najsilniejszym motorem zarówno pod względem materialnym jak i moralnym. Przeciwnie, z radością powtarzam za Skargą: „Rzadki jest, którego by nędza bliźniego, brata, sąsiada nie bolała, rzadki, który by jej pomocy dać nie chciał; ale jedni nie mają, drudzy mało mają, drudzy, komu pierwszej uczynić nie wiedzą“. Idzie tu więc o organizację, bynajmniej zaś nie mam zamiaru hamować odruchów serca. Zresztą przykład Krakowa, który szczególnie jest bogaty w instytucje dobroczynne, dostarcza pierwszorzędných argumentów w obronie filantropji niescalonej, niezetatyzowanej. Przecież gmina wydaje rocznie na opiekę społeczną półtora miliona, podczas gdy budżet towarzystw dobroczynnych operuje sumą trzech, czasem trzech i pół milionów. To mówi samo za siebie.

Niemniej przydałoby się jakieś mądre pociągnięcie ołówkiem, jakieś cesarskie czy bolszewickie

cięcie, któreby przeprowadziło surową rejestrację towarzystw i związków, skontrolowało ich działalność, zostawiając tylko te instytucje, które potrafią wykazać się pozytywnymi rezultatami. I niech wie prawica, co daje lewica. Powinna się tem zając władza administracyjna, a odetchnęlibyśmy z ulgą i skoncentrowali naszą dobroć, skoordynowali ruchy serca.

W samym Krakowie jest zarejestrowanych 37 zakładów dla młodzieży, a 17 dla dorosłych, przy czem bardzo wiele towarzystw działa sporadycznie, np. wiosną czy jesienią, poczem układają się do snu zimowego, by znowuż w jakimś upatrzonym momencie wyjść z puszką na ulice. I czy w tych warunkach może być mowa o planowej akcji? Przecież to jest wzajemne deptanie sobie po piętach, uprawiane przez najszlachetniejszych zresztą kwestarzy i jałmużników.

Sprawa dotyczy nie samej tylko filantropji, ale przerostu organizacyj wogóle. Niedawno mówiła ze mną pewna przeznacna, prawdziwie zasłużona osoba, pełna najlepszych intencji, proponując mi wysoką godność w związku pracującej inteligencji, który to związek istnieje od lat kilkunastu. Pytam, ilu ma członków. Otóż płacących wkładkę jest niespełna... stu. I to się nazywa związek inteligencji! W Krakowie! A przekonany jestem, że

w tej setce płacących na pewno połowa płaci z nalogu, z przyzwyczajenia. Żeby się opędzić. Żeby się kursor odczepił.

Pojawiają się zaś ci inkasenci z reguły w takim dniu, gdy służąca mówi, że wyszła kawa, wyszła herbata, wyszły węgle. I ta kobieta nie wie, że pieniądze także wyszły... Inkasent czeka w przedpokoju, a tu odzywa się nowy dzwonek: to kursor z innego związku. A, żeby cię jasna...

A tempo dzwoni telefon, przypominając o jakimś posiedzeniu. I poczta przynosi całą stertę zaproszeń. „Obecność Sz. Pana niezbędna“...

Z przekleństwem na ustach idzie człowiek na to posiedzenie. Trzecie z rzędu tego samego dnia! I wszędzie, wszędzie spotyka niezmiennie te same twarze, tych samych statystów od dobroczynności, od akcji społecznej. Tych, o których można powiedzieć słowami wieszczki „nakoniec bez potrzeby pełnią swą powinność“. Ciemięgi komitetowe, specjaliści od kwestji formalnej, uroczyste piły, lenie, figuranci, którzy nie dają ani realnej roboty ani też grosza z własnej szkatuły.

Władza, która tak surowo pilnuje statutów każdego stowarzyszenia, która domaga się drukowanych sprawozdań, powinna przedewszystkiem zarejestrować prezesów. Kto bowiem piastuje godność prezesa w dwóch pokrewnych związkach, jest

blagierem, kto zasiada w trzech wydziałach, jest kłamcą, kto pracuje w dziesięciu dobroczynnych komitetach, ten poprostu kradnie drugim czas, zdrowie i pieniądze. Pęta się po posiedzeniach, nie robiąc nic. Wbija chorągwie do każdego sztandaru, włóczy się po uroczystych akademjach, łązi w deputacji do władz, prezyduje. Upada z nadmiaru pracy społecznej. I będzie miał bogato upstrzoną klepsydrę. Na razie ma wspaniały bilet wizytowy z dziesiątkiem tytułów. Tu zaznaczam, że ktoś przysłał mi istne curiosum, mianowicie bilet, gdzie pod nazwiskiem figuruje tytuł następujący: „prezes Zw. inw. Cyw. Rz. P., Kum P. Prezydenta Rz. P. i p. Unruga, Kontradmirała Marynarki Woj.“...

„Jałmużników między nami z łaski Bożej nie brak“ — mówi złotousty kaznodzieja. Słusznie, ale tam, gdzie kucharek sześć... Co mówię „sześć“! Gdzie tysiąc nierutynowanych kucharek na tysiącu kucharek pichci dobroczynny obiad, tam marnuje się bardzo wiele węgla i przypala wiele potraw. Śwąd idzie na cały kraj. I niema co jeść. Nawet miłosierdzie, jak mówi czterokrotnie cytowany Skarga, powinno być „dzielne“.

PADEREWSKI! PADEREWSKI!...

Przed kilku dniami, dokładnie mówiąc, ośmna-
stego bm. postanowiłem sobie uczcić Paderew-
skiego. Bez hałasu, dyskretnie, w konspiracji, aby
nie zwracać niczyjej uwagi. Był to obchód ściśle
prywatny, ograniczony do czterech ścian mego do-
mu, a polegający na tem, że poprostu zabrałem się
do czytania rozmaitych książek o Paderewskim.
Sądzę, że nikt mi tego nie weźmie za złe, a nawet
Mistrz sam zaprotestować i wyprosić sobie takiego
hołdu nie może. Na wszelki jednak wypadek mó-
wię o tem jedynie Wam, o, Czytelnicy, i to w zau-
faniu, prosząc, abyście nie powtarzali byle komu,
bo mogę jeszcze mieć jakieś nieprzyjemności.

Na pierwszy ogień poszła sympatyczna a popu-
larna książka Rom'a Landau'a, niestety, w prze-
kładzie polskim, który miejscami woła o pomstę
do nieba. Stąd wrażenie zmęczone, niejednolite,
ciągłość zaś lektury — zwłaszcza przy wyrażeniach
jak np. „kolację serwowano o dziesiątej“ — prze-
rywana bojowymi okrzykami, niekiedy zaś prze-
kleństwem, które samo wypływało mi na wargi.
Bo przecież serwuje się piłkę w tenisie, ale

kolację!!! Czyżby w Riond Bosson serwowano półmiski? Na samym serwisie nie kończy się, obok partyj bowiem zupełnie gładkich i poprawnych, a nawet ładnych, trafiają się w przekładzie rzadkie coprawda, ale takie kawały, że skakałem pod sam sufit. No, ale to nie należy do rzeczy.

Sam nie słyszałem nigdy Paderewskiego, lecz widziałem go, jak grał. Jednakże nie na fortepianie, ale na instrumencie o wiele kosztowniejszym i zarazem niebezpiecznym. Było to tak: siedziałem na lazurowym brzegu, w Beaulieu. Pewnego razu, późnym wieczorem wpadły do hall'u dwie Angielki, stałe mieszkanki tejże „Pension Frisia“. Włosy w nieładzie, suknie zmierzwiłone, w zachowaniu podniecenie i entuzjazm, graniczący z obłędem. Biegały po hall'u, po jadalni, po salonie, krzycząc jak opętane:

— I have seen Pad'rouski! We have seen Pad'rouski!... She has seen Pad'rouski!...

Pytam, kiedy, gdzie, przeprowadzam śledztwo, leję wodę na głowę tym „zimnym“ córom Albjonu i wreszcie dowiaduję się, że Paderewski w godzinach popołudniowych odwiedza pałac ruletki w Monte, bawiąc się grą przy stołach najtańszych, pięćciofrankowych. Ostatecznie, w tem niema nic złego, skoro nie gardził grą świątobliwy akademik, Karol Hubert Rostworowski, pod którego doświadczeniem okiem straciłem akurat poprzedniego roku

kilkaset tysięcy franków. No, jeżeli nie kilkaset tysięcy, to w każdym razie kilkaset franków. Pierwsza przegrana upoiła mnie do tego stopnia, że spróbowałem szczęścia dnia następnego, aby nazajutrz poprosić o rachunek w hotelu i taniusio, trzecią klasą, wrócić w domowe progi, przyczem za dorożkę w Krakowie zapłaciła już najbliższa rodzina. Znalazłszy się po roku znowuż na Riwjerze, manewrowałem tak, aby przypadkiem nie spojrzeć nawet na Pałac Gry.

Ale te Angielki mówią, że przy zielonych stołach można ujrzeć Paderewskiego. Zresztą, któż mi każe grać? Od czego silna wola? Pokręcę się tylko po salonach i napatrzę Paderewskiemu, a wrócę pierwszym pociągami.

Skończyło się w sensie finansowym jak najgorzej pod słońcem, natomiast rzeczywiście widziałem grę Paderewskiego. I nie żałuję, choć kosztowało mnie to drogo. Zwłaszcza, że ślepo zawierzyłem szczęściu Mistrza i prawie ramię w ramię obstawiałem te same pechowe numery. Straciwszy, co się tylko dało, wycofałem się z godnością i z jakiegoś kąta patrzyłem na tę niebywale frapującą sylwetkę.

Mam ją do dziś dnia w oczach: na tle wszechświatowej hołoty, która przepełnia duszne salony Monte, wyrastała postać niezwykle i jakby nierealna. Ktoś nie z tego świata. Ubrany był — chyba

mnie pamięć nie myli — w jasno-popielaty, długi, bardzo *démodé*, a przecież wytworny tużurek, w białą kamizelkę i takiż dziwaczny krawat. Twarz blada, w aureoli złotych, nieco już bielących się włosów, uśmiech trochę sarkastyczny, ale bardzo przyjemny, oczy skupione... Ktoś taki, na kogo musi się patrzeć. Bawił się tą grą, nie traktując jej poważnie. O ile zdarzyło mu się wygrać (nie przy mnie, zaiste, nie przy mnie!...), wygraną zostawiał jakimś niedbałym gestem krupierom. Po kwadransie zabawy oddalił się. Myślałem, czyby nie spróbować szczęścia i nie prosić o chwilę rozmowy. Może jednak dzisiaj dać już pokój hazardowi? Pewnie Paderewski wziąłby mnie za jakiegoś do nitki zgranego rodaka i, nawet nie dosłuchawszy prośby do końca, dał paręset franków...

Paderewski był tak przyzwyczajony do dawania, że stało się to u niego funkcją niejako fizjologiczną. Jak oddychanie czy obieg krwi. Dawał, dawał i dawał. Jeśli wypada użyć porównania z dziedziny rulety, sytuacja przedstawiała się tak, że wszyscy potrzebujący naprawdę, wszyscy biedacy i wszyscy naciągacze całego świata stali nad zmęczonym śmiertelnie artystą, wołając: „*Mon-sieur faites votre jeu!*“ Gdy zaś pod palcami genialnego wirtuoza wyrastały góry złota, równocześnie ze wszech stron widać było drapieżne ręce,

które niczem grabki krupjerów w mgnieniu oka rozdrapywały wszystko. Dla Paderewskiego nie stawało nic.

Mimo to dawał, dawał i dawał. Przypuszczam, że musiało go dziwić, gdy znalazł się jakiś oryginał, który odeń niczego nie potrzebował. Pewnego dnia Paderewski domacał się dna kalety. I — starym już będąc — wyruszył na podbój świata, aby po raz drugi odnieść świetne zwycięstwo. Zwycięstwo bezapelacyjne. Znowuż góry złota. I znowuż drapieżne grabki, wyciągające się ze wszystkich stron.

Gdy czyta się o jego koncertach w Anglii, Paryżu, w Nowym Jorku, o szaleństwie, które ogarnęło tłum złożony z szesnastu tysięcy słuchaczy w Madison Square Garden (cały dochód w wysokości 50.000 dolarów oddał Paderewski na pomoc dla bezrobotnych), gdy śledzimy jego triumfalny pochód przez wszystkie stolice świata — ogarnia nas wielkie wzruszenie. Ale mnie szczególnie „wziął“ jeden koncert. 21-go października 1918 r. jedzie Paderewski na wojennym okręcie angielskim do Polski. Jest w tem jakiś wielki sens: angielski krążownik ma na pokładzie Polaka. I tenże Polak, jako nieoficjalny, a przecież uznany przez cały świat, ambasador Polski, jedzie do ojczyzny. Oficerowie proszą, aby zagrał. Przy akompanja-

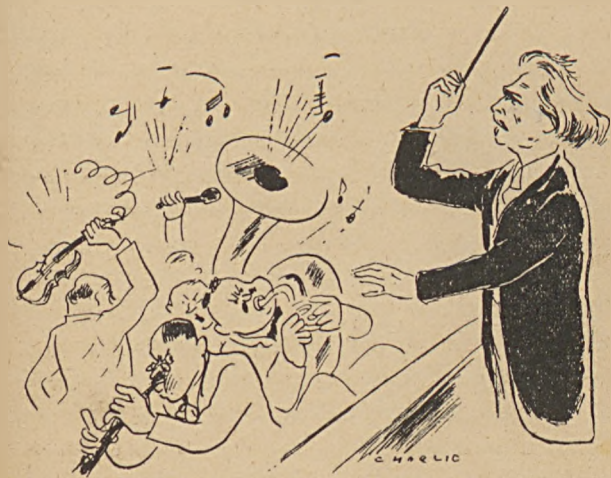
mencie burzy jesiennej, przy huku huraganu Paderewski zaczyna grać. Niestety, fortepian odma-
wia posłuszeństwa: pedał jest złamany. Po dłuż-
szych wysiłkach Paderewski przestaje grać, rezy-
gnuje...

Zresztą jedzie zagrać coś zupełnie innego. Ge-
njalny artysta tworzy... gabinet. Staje przed sej-
mem... I „czy instrument niestrojny, czy się mu-
zyk myli?“ Trudno rozstrzygać, faktem jest jed-
nak, że mistrz tonów opanować kakofonji sejmo-
wej nie potrafił. Lecz sprawiedliwość każe przy-
znać, że nie udało się to także nikomu innemu.

Żywot Paderewskiego czyta się jak bajkę. Jak
bajkę o... Polsce. I dlatego warto czytać. Nasyci-
liśmy się już widokiem Polski, przyzwyczaili, otrza-
skali z faktem Jej istnienia, stała się nam chle-
bem powszednim, czasem chlebem suchym i czer-
stwym, ale — powtarzam — chlebem, który poży-
wamy dzień w dzień. Dlatego też ze zdumieniem,
prawie z niewiarą spoglądamy na minione, a prze-
cież niedawne chwile, gdy się ten chleb dopiero
piec poczynął. I czasem, czasem spytać musimy:
„Więc to tak było!? Ejże, czy to aby prawda!?“

I cóż za konflikt na miarę wielkiego tragika,
który może kiedyś pochwyci ten motyw w nicomyl-
ne dłonie: z Magdeburga wraca Piłsudski, a pra-

wie równocześnie na pokładzie angielskiego krą-
żownika Paderewski przybija do portu w Gdań-
sku. Dwa żywioły, dwa „kwanty“ o zupełnie ró-
żnorodnej emisji promienistej energji, dwie dja-



„Czy instrument niestrojny, czy się muzyk myli...?“

metralnie sprzeczne kategorie. Szabla i harfa. Je-
den przebiegł świat cały, od Londynu po Japonję,
od Sybiru po Szwajcarję, konspiracyjnie, pod fał-
szywem niekiedy nazwiskiem, i zduszonym głosem,
w którym kipiała wola, szeptał słowo „Polska, Pol-
ska!“ Drugi, niczem Bernard z Clairvaux, objechał
również świat cały, podkładając pod to samo sło-

wo „Polska, Polska!“ melodję głośną, jasną, taką, która znalazła echo wszędzie.

I Obaj mogą o sobie powiedzieć jak Konrad „Ja i ojczyzna to jedno!“

To głośno rozdzwaniane słowo „Polska“ budzi entuzjazm, ale niekiedy także uśmiech powątpiewania, uśmiech szyderczy. Gdy jej byt, wyśniony w poetyckich kategoriach, wydaje się ludziom czemś nierealnem. Gdy trzeba nie tyle szabłą wyrywać jej granice na mapie, ile wywalczać dla niej miejsce w... słowniku.

Na ustach mam uśmiech, ale w oku coś jakby łzę, gdy czytam o przyjeździe Paderewskiego do Paryża na konferencję pokojową. Reprezentanta Polski spotyka Clemenceau, pytając nie bez złośliwej intencji, czy ma zaszczyt mówić z krewnym wielkiego pianisty.

— Nie, to ja sam! — odpowiada Paderewski.

Któregoś z cesarzy rzymskich wynieśli legioniści na tron dla gładkości lic. Paderewski był wielkim artystą. Ale zmusił sceptyków do zmiany sądu. Amerykański podsekretarz stanu, Robert Lansing, początkowo jak najniechętniej do politycznej kariery Paderewskiego usposobiony, pisze później: „Paderewski jest większym mężem stanu niż muzykiem“. Późem dodaje: „Tem, co Paderewski uczynił dla Polski, zasłużył sobie na zawsze na jej

wdzięczność“... No, o tej wdzięczności to może już innym razem... Ale podobnie jak Lansing, wyrażają się inni: Wilson, Clemenceau, Orlando, Cambon, płk. House, nawet, nawet Lloyd George.

W lustrzanej sali Wersalu zjawia się, aby podpisać traktat. I jakże jest ubrany: czarny, niemodny anielez, biała kamizelka, biały, hiperartystyczny krawat i staroświeckie trzewiki, pamiętające chyba ancien régime... To jest napewno dziwaczne. I głęboko wzruszające zarazem. Widzę w tem znamię wielkości i symbol jakiś, który może następne dopiero pokolenia ocenić potrafią. Na traktacie, wprowadzającym nas między narody wolne, składa podpis Sztuka. Ona właśnie, która zagwarantowała nam na przeciąg przeszło wieku byt niepodległy w właściwych jej tylko a pozbawionych praktycznego zastosowania wymiarach...

Wydałoby się napozór, że Paderewski jest ekskluzywnie tylko i tylko Polakiem. A tymczasem jest on ekskluzywnie... człowiekiem. Na najszerzą miarę. Mieści się w nim, w artyście, wszystko, co ludzkie w najlepszym znaczeniu. Gdy ktoś w rozmowie z Paderewskim chciał udowodnić, że np. Beethoven nie był Niemcem, lecz Holendrem, Paderewski odpowiada krótko „Nonsens! Beethoven w każdej nucie jest Niemcem!“... To bardzo charakterystyczne, równie jak i fakt, który dzisiaj

właśnie, przy nowej fali ekscesów, przypomnieć wypada: recital paryski na dochód żydowskich uchodźców z Niemiec. Bo wszystkim poczynaniom Paderewskiego przyświecało zawsze hasło humanitaryzmu w pojęciu jak najszerszem i najszlachetniejszym.

Żyje od nas zdala, ale jest blisko. I niema rzeczy w Polsce, którejby nie ogarniał szerokim swym umysłem. Oto np. taki drobiazg, jak reforma ortografji. Występuje stanowczo przeciw tym, którzy „swojami reformami podcinają korzenie fonetyki polskiej. Poetów i prozaików pozbawiają wielu możliwości, a tem samem stwarzają coś zasadniczo sprzecznego z duchem, z muzykalnością języka polskiego“... O, święte słowa!

Kto wie, czy uważne przeczytanie jakiejś dobrej książki o Paderewskim, więc choćby książki wspomnianego Landau'a, nie jest także formą hołdu?

W każdym razie polecam gorąco...

Przed kilku dniami doniosły gazety, że pewien nadzwyczaj wybitny urzędnik ministerstwa oświaty poszedł „w odставку“. To było w jednej rubryce. Następna rubryka poinformowała nas, że tenże sam utalentowany dygnitarz ministerstwa oświaty a tempo, błyskawicznie otrzymał jedno z kierowniczych stanowisk w M. S. Z. Jednego i tego samego dnia.

Żywo przypomina się taktyka gwiazd teatralnych. W zamierzchłych, dobrych czasach, a więc jeszcze przed jakimś pięciu-sześciu laty bywało tak, że poróżnił się z Szyfmanem jakiś znakomity aktor i przechodził do Narodowego, równocześnie zaś inna siła opuszczała Narodowy, aby uszczęśliwić koncert Szyfmana. Ten kontredans był fundamentem powodzenia aktorów, ale i teatry uskarżać się nie mogły. Dziś jednak wobec scalenia teatrów upadł ów system, w związku z czem wystąpiła pauperyzacja aktorstwa, teatry zaś bankrutują.

Te właśnie obyczaje teatralne bujnie kwitną w urzędach. Jednego i tego samego dnia ktoś przestaje być szefem wydziału w danem minister-

stwie, aby natychmiast objąć kierownictwo resortu w innem. Taka gwiazda ministerjalna, a major W. P., musi być niewątpliwie utalentowaną jednostką i jej osobistych walorów kwestjonować nie myślę. Idźcie mi o coś innego. Kontredans, czy też „passez“ ministerjalne można uznać za fakt gorszący, choć równocześnie niepozbawiony pewnych cech wesołych. Pokazuje się bowiem, że przy najdalej posuniętych oszczędnościach etat zawsze się znajdzie. Że zarówno w ministerstwie oświaty jak w ministerstwie spraw zagranicznych nie potrzeba żadnych studjów, żadnej praktyki, rutyny, żadnej znajomości fachu. Utalentowany amator może każdej chwili sięgnąć przy biurku i rządzić. Kierować ludźmi, którzy na tych samych sprawach zębę zjedli.

Nie pesymizm lecz doświadczenie każe nam przypuszczać, że dla tejże samej jednostki (a jest ich legion) znajdzie się w każdej chwili dogodny wakans w ministerstwie skarbu, przemysłu i handlu czy jakimkolwiek innem. Gdy zaś dany osobnik zwiedzi całą serję ministerstw, może jeszcze objąć kierownictwo np. radja. Albo teatru. Zostać ambasadorem, wojewodą lub prezesem banku aż do czasu, kiedy nie znajdzie czegoś lepszego.

W momencie rozkwitu nadziei, jakie wiążemy z nowym rządem, wesoły epizod z owym majorem podrywa odrobinę zaufanie obywatela. Wydawało

się, że przy alei Szucha nastąpiła demobilizacja i że majorowie wrócą do koszar. Ale cóż, kiedy są niezbędni w pałacu Brühlowskim! Metoda kwitnie po dawnemu...

Jakże się na to może zapatrywać urzędnik? Szary urzędnik, przedmiot wszystkich działań arytmetycznych, głównie odejmowania i dzielenia? Wyobrażam sobie, że musi być jeszcze bardziej zgorszony niż przeciętny obywatel. Bo on rozumie się na służbie, na pracy. Pewnego dnia widzi nowego szefa, który o niczem nie ma pojęcia, który nie może wydać żadnej dyspozycji. Szefa, który ma kierować, a musi sam uczyć się od podwładnych.

To jedna strona. Ale jest i druga. Mianowicie kwestja awansu. Wydawałoby się, że istnieją jakieś szczeble, jakaś wytknięta droga kariery, nagle jednak taki epizod z latającym majorem przekonuje pracowitego urzędnika, że był w błędzie, że rachuby na awans okazały się mylne. Nigdy, przenigdy nie dostanie wyższego stopnia, te bowiem stopnie zarezerwowane są na zawsze dla wybrańców losu.

Nie! Nic się nie zmienia i wszystko jest po dawnemu. Weźmy taki drobiazg, jak np. cło. Będą to dzieje pewnej książki angielskiej. Doprawdy „habent sua fata libelli“!... Dnia 21 września pewna

krakowska księgarnia zamówiła w Londynie książkę „Vanity Fair...” dla pewnego asystenta U. J. Dnia 11 października księgarnia otrzymała z urzędu pocztowo-celnego wiadomość, że na cle zalega przesyłka o wadze 2 kg. 900 gr. i nie może być doręczona z powodu braku pozwolenia na „wvóz“, które to pozwolenie może wystawić tylko ministerstwo przemysłu i handlu.

Patrzmyż teraz, jak rozwija się owo szaleństwo celne! Studjując przebieg sprawy, można dostać obłędu. I można zacząć strzelać do urzędników... A więc księgarnia pisze podanie do ministerstwa, oczywiście za pośrednictwem Izby handlowo-przemysłowej. Wysła je 14. X. Odpowiedzi niema, klient zaś niecierpliwi się. Trzeba pisać ponownie i telefonować do Warszawy. Wreszcie po dwóch tygodniach przychodzi odpowiedź: ministerstwo pozwoli na wvóz książki, lecz księgarnia musi przedłożyć urzędowi celnemu świadectwo pochodzenia książki. Musi udowodnić, że ta książka z Anglii jest... angielska. Dobrze! Firma londyńska jest nieco zdziwiona, ale wysła zaświadczenie, podając, że książka jest „of British origin“. Podpisane z pieczęciami „Davson et Sons, Ltd.“ Zdawałoby się, że tu już chyba koniec tej operetki. Mamy 9 grudnia, czyli, że od zamówienia minęło grubo więcej dni niż u Ojca zadżumionych. Dwa razy tyle, bo ośmdziesiąt...

Niestety, urzędowi celnemu takie świadectwo nie wystarcza. Pismo przesłane z Londynu musi być jeszcze potwierdzone (słuchajcie, słuchajcie!) przez Izbę przemysłowo-handlową w Londynie. Ale to mało! Przecież ta londyńska Izba mogłaby skłamać, wobec czego potrzebne jest jeszcze potwierdzenie tego potwierdzenia przez Konsulat Polski w Londynie. Zobaczmy teraz, co to kosztuje na razie! Cena książki wynosi 67 zł. 50 gr. Jakie „chwilowo“ są wydatki poboczne, nie wchodzące w samą cenę katalogową? Liczmy!

Składowe	8 zł. — gr.
Stempel na podanie do minist.	5 „ 50 „
Druk na podanie	30 „
Izba Handlowa w Krakowie	2 „ — „
Pozwolenie przywozu	7 „ 55 „
razem	23 zł. 35 gr.

Wcale nie „razem“, bo tu jeszcze nie wliczono ani telefonów do Warszawy, ani listów exprès do Londynu, ani samego cła, ani kosztów doręczenia przesyłki, ani kosztów świadectwa, wystawionego przez londyńską Izbę handlową itd. itd. W sumie koszt przekroczyły 40 zł. I książka nie tylko ciągle jest na cle, ale nawet według wszelkiego prawdopodobieństwa wróci do Londynu. Nie dalej bowiem, jak przed trzema dniami księgarnia angielska doniosła, że konsulat polski w Londynie uznał

tę książkę za zakazaną w Polsce (prohibited in Poland). Idzie o poważne wydawnictwo artystyczne, mające ustaloną markę w całym świecie...

Zdaje mi się, że słowo „błazeństwo“ będzie jeszcze bardzo łagodnym określeniem tej zabawy. Zresztą książka — książka. Widocznie możemy się bez niej obejść.

Znam wypadek jeszcze ciekawszy: Muzeum Czartoryskich wypożyczyło niedawno na brukselską wystawę gobelin o niezwyklej wartości. Oczywiście, postarało się o wszystkie gwarancje, że gobelin wróci do Polski. Istotnie, dyrekcja wystawy odsyła cenny eksponat. Lecz urząd celny w żaden sposób nie chce wpuścić tej przesyłki do Polski. Farsa, przy której współdziałają najrozmaitsze urzędy krakowskie, lwowskie oraz ministerstwo, ciągnie się przez trzy tygodnie. Gobelin lekko zapleśniał na cie...

Jakże przedstawiają się analogiczne szykany przy dostawie naukowych aparatów? Co dzieje się z lekarstwami? Przecież, jeżeli idzie o pewne specyfiki, od których niekiedy zależy życie chorego, dostawa odbywa się wyłącznie drogą sprawiedliwego szmuglu.

I przy podobnych szykanach zatrudniona jest cała armia pracowitych darmozjadów. Czy nie le-

piej byłoby użyć ich w jakiejś sprawie pożytecznej? Np. mogliby osuszać błota poleskie.

Inny kwiatek, właśnie poleski, o którym donosi mi Macierz Szkolna. Znowuż fakty stwierdzone, udokumentowane (List Zarz. Głównego M. Szk. z dnia 6. XI., L. 7272/35 i z dnia 10. XII., L. 7385/35). Wiadomo, że szkół mamy grubo za mało, że nauka odbywa się w kurnych chatkach, a zgórą pół miliona dzieci wogóle nie ma się gdzie uczyć. Już to militarna epoka oświaty zastała szkołę drewnianą, ale zostawiła ją bez dachu! Jakże wygląda w praktyce szkolna polityka budowlana?

Otóż w pewnej wsi poleskiej znaleźli się inicjatorzy, mianowicie osadnicy, którzy postanowili zbudować szkołę. Ofiarowali plac i wnieśli podanie do inspektora. Inspektor ze swej strony dał plan budowy. Oczywiście wykombinował, że to będzie pałac, nie szkoła. Na Polesiu... Plan przekroczył możliwość osadników. Nie dali jednak za wygraną, lecz po cichu, konspiracyjnie przystąpili do budowy, trzymając się zasady „wedle stawu grobla“. I na wzgórzu stanął wesoły dom, z czerwonym, łamanym dachem. Duże, jasne izby, mieszkanie dla nauczyciela. Mało tego: dali nauczycielowi krowę. Żeby nie zdychał z głodu. Dali nadto ogród i przyrzekli pomoc w ogrodzie.

Wydawałoby się, że dzielnym tym ludziom tylko przyklasnąć należy. Ale cóż? Przyjeżdża inspektor i oświadcza stanowczo, że nie uzna tej szkoły, ponieważ budynek nie jest zbudowany wedle przepisów...

Więś nazywa się Kaluchy, w powiecie kobryńskim. Fakt. Dopiero po długich korowodach, staraniach, zabiegach udało się w kuratorjum uzyskać zgodę na otwarcie tej szkoły, którą n. b. gorąco polecam P. T. Czytelnikom. (Idzie o książki i t. d.). Z racji tej szkoły w Kaluchach pisze mi Macierz Szkolna: „Wypadek z budynkiem nie jest pierwszy w działalności M. Szk. Nie stać nas na pałace... Ponieważ inspektorowie szkolni nadmiernie te sprawy formalizują, żądając zatwierdzonych planów budynków szkolnych, których koszt wielokrotnie przerasta siły takich Kaluch, przeto stosuje się taki trick: bez wiedzy inspektora szkolnego wyjednuje się w starostwie zatwierdzenie planu domu oświatowego (ludowego), a po wybudowaniu robi się wielką uroczystość poświęcenia szkoły“...

Czyż to nie szczególne? Przy tak małej ilości szkół w Polsce trzeba uciekać się do „trick’ów“? O, zabawa trwa w dalszym ciągu...

— — — — —
Mamy ustalony kierunek we wszystkich dziedzinach. Dlatego mój feljeton dostał nagłówek „Ni-



...informacja jakoby równocześnie ks. Żongółłowicz objąć miał komendę któregoś z pułków artylerji...

hil novi..." Wczoraj przeczytałem, że wojewodą nowogrodzkim został pułkownik X, dzisiaj zaś dowiedzieliśmy się, że wiceministrem oświaty będzie pułkownik Y...

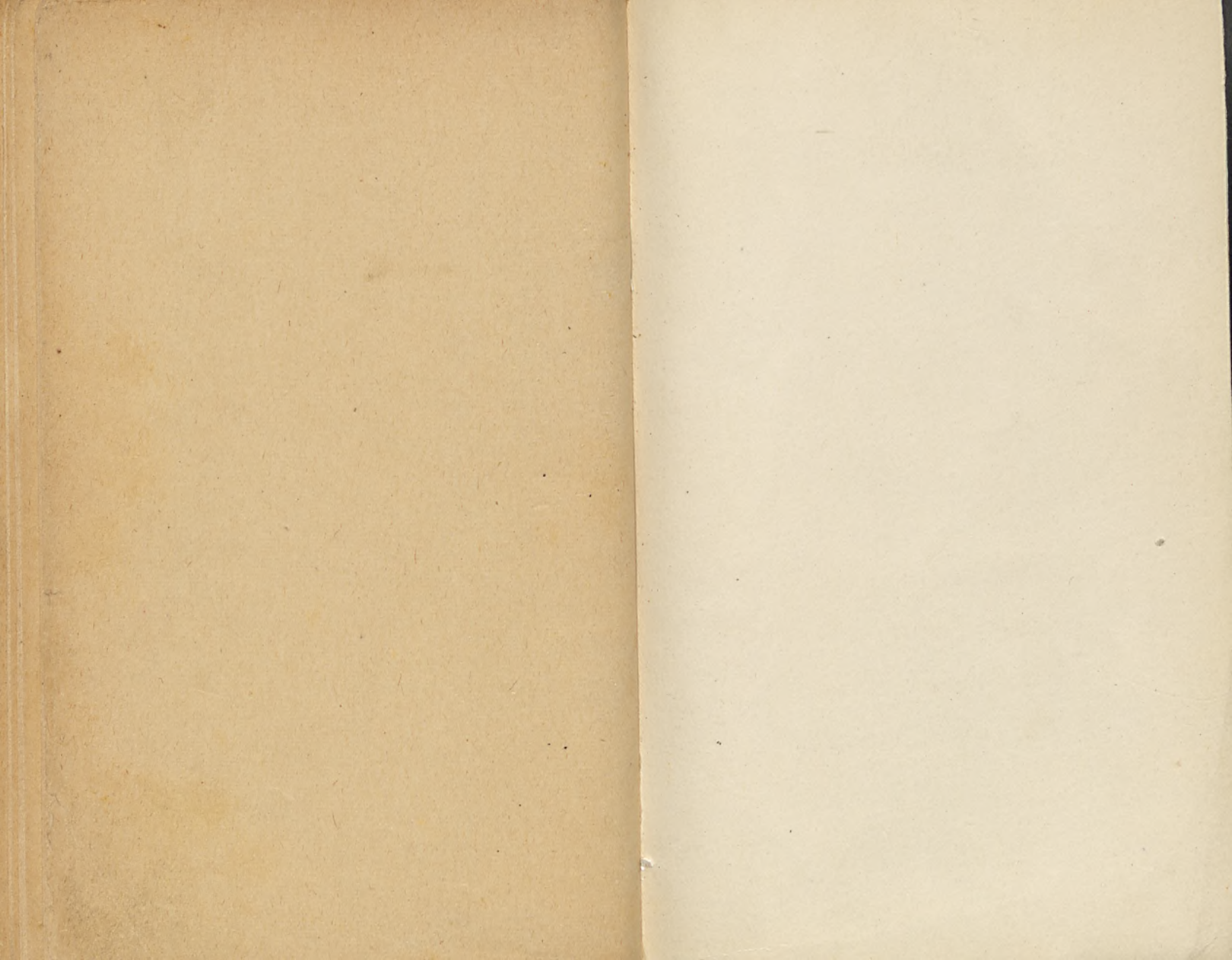
Jednakże informacja, jakoby równocześnie ksiądz Żongołłowicz objąć miał komendę któregoś z pułków artylerji, okazała się plotką.

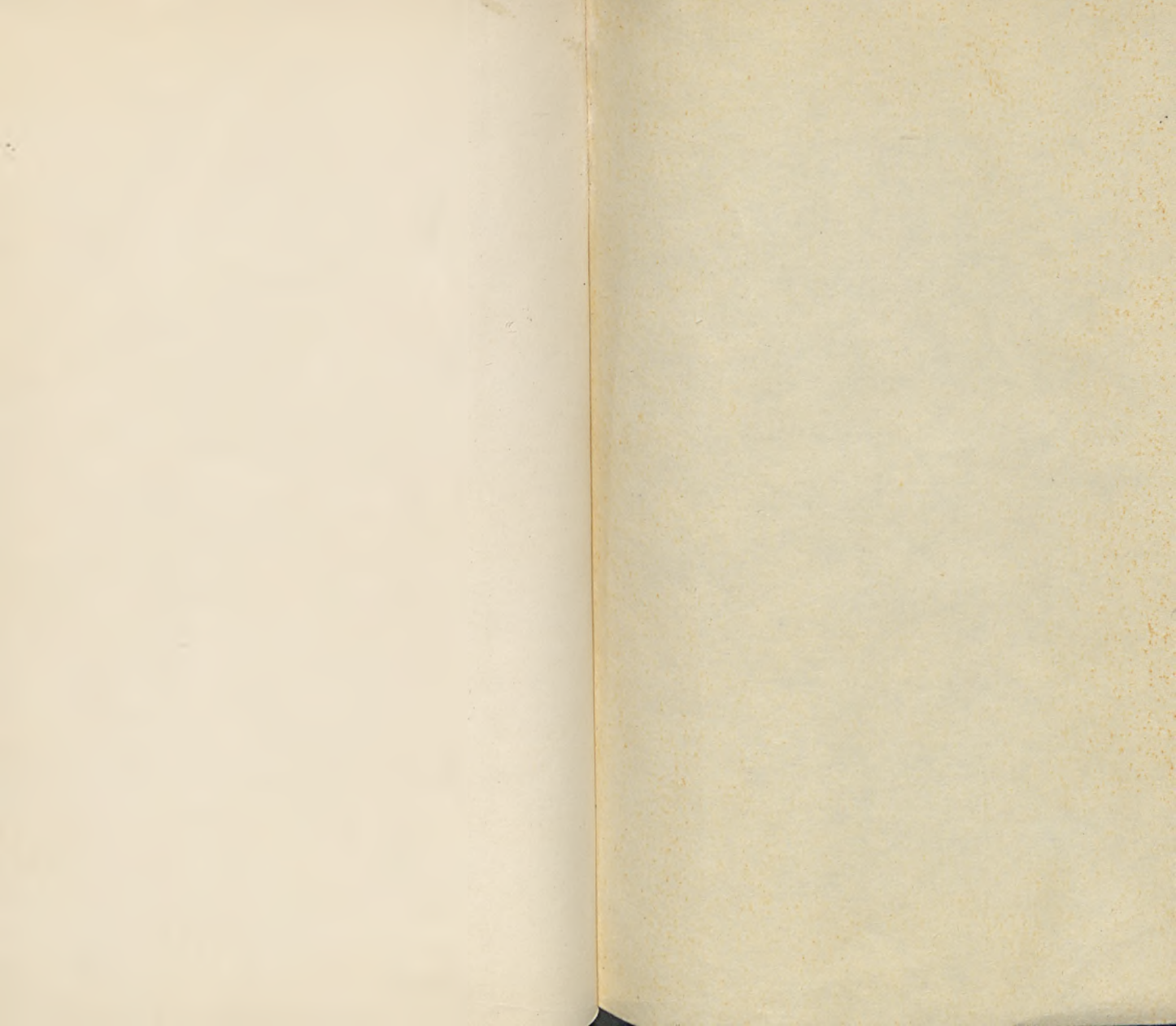
Szkoda, byłoby przecież coś nowego...

TREŚĆ

	Str.
Familja	5
+ Konrad a Konstytucja	15
Moje pół liścia bobkowego	25
Placz dziecka	33
Cygan-jubilat	45
Barbara Ubryk	55
Kompleks Podbiپیءy	65
Ilorazy urzędnicze	77
O Ministerstwo Propagandy	87
Abecadło i Hieroglify	97
Mowa	109
W znaku byka	119
Pacyfikacja pisowni	129
Votum separatum	141
Literatura i wytrych	151
U księdza Kuznowicza	161
+ Mój seans z Boy'em	171
Lechicka Literatura	181
Otrzęsiny	193
W dobroczynnym kieracie	207
Paderewski, Paderewski!...	217
+ Nihil novi...	227







280

112,962/131283

